

SAMUEL BECKETT	5	Nienazywalne, fragment w przekładzie Marka Kędzierskiego
PIOTR MATYWIECKI	17	Ornament
	18	*** (<i>Przejąłem się sobą...</i>) • Rude trawy przy torach
	19	*** (<i>W każdym miejscu...</i>) • Eurydyka
PIOTR MATYWIECKI	20	Spotkania

10. ROCZNICA ŚMIERCI TADEUSZA RÓŻEWICZA

TADEUSZ RÓŻEWICZ	30	*** (<i>Czas na mnie...</i>)
------------------	----	--------------------------------

GŁOSY I GŁOSY

KAZIMIERZ BRAKONIECKI	31	Słowo o Tadeuszu Różewiczu
ALEKSANDER FIUT	32	Różewicz – głosy
BOGUSŁAW KIERC	34	Trzecie drzwi
PIOTR MATYWIECKI	40	***
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	40	Ocalony
ANNA NASIŁOWSKA	45	***
KRYSTYNA RODOWSKA	46	Poeta (bez) tajemnic
KRZYSZTOF SIWCZYK	48	Stracona dekada
LESZEK SZARUGA	50	„Szczęśliwy naród, który ma poetę”
PIOTR SZEWC	54	Słowo o Różewiczu
TADEUSZ RÓŻEWICZ	56	dlaczego piszę?
ARTUR SZŁOSAREK	58	Magiel (właściwa wersja wydarzeń)
	64	Czytając Kawafisa
JERZY ANDRZEJEWSKI	65	Dziennik czechosłowacki fragment w opracowaniu i z komentarzem Piotra Sobolczyka
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	79	Materia <i>Miazgi</i>

KRZYSZTOF SIWCZYK	94	Czwarta
	95	Posadzki • Kompost
	96	Bastion • Przeddzień
	97	Syreny • Do upadłego
ze STEFANEM CHWINEM	98	Zachwyt i żal
rozmawia		
MACIEJ WRÓBLEWSKI		
MIROSŁAW DZIĘĆ	118	Muchy
MICHAŁ CZORYCKI	122	Zola w Lourdes
	123	Tydzień
	124	Pięćdziesiątnica • Obłoki nad Spargi
		VARIA
KAZIMIERZ BRAKONIECKI	127	Widnokrąg (14)
STEFAN CHWIN	133	Dziennik 2024
MAREK KĘDZIERSKI	143	Marginalia (5)
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	151	Komora (9)
LESZEK SZARUGA	160	Świat, w którym żyłem (12)
PIOTR SZEWC	170	Z powodu i bez powodu (72)
ARTUR SZŁOSAREK	173	Notatki do zapomnianych podróży (18)
		RECENZJE I NOTY O KSIĄŻKACH
ROBERT PAPIESKI	183	Poezja dotyku
ADRIANA SZYMAŃSKA	185	Nieustępliwość serca
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	188	Dwie krzyżujące się linie
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	193	„...pisarz? sztukmistrz? lub myśliciel?...”
ANDRZEJ ZAWADA	196	Porozumienie
ALEKSANDER FIUT	200	Szyfrogramy Wisławy Szymborskiej
ARTUR SZŁOSAREK	207	Mroźek w półpancerzu
NOTY O AUTORACH	214	
BIBLIOTEKA	216	
„KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”		
NOWE KSIĄŻKI	220	

Pierwszy tegoroczny numer „Kwartalnika Artystycznego” otwiera długo oczekiwany fragment *Nienazywalnego* Samuela Becketta w brawurowej próbie przekładu Marka Kędzierskiego, tej dziwnej i wspaniałej powieści, od której powstania minęło siedemdziesiąt lat, będącej jedynym nieprzełożonym w całości na język polski tomem tzw. Trylogii.

Prezentujemy wiersze i esej Piotra Matywieckiego, wiersze Artura Szlosarka, Krzysztofa Siwczyka, Mirosława Dzienia i Michała Czoryckiego.

W 10. rocznicę śmierci Tadeusza Różewicza publikujemy głosy dziesięciorga poetek, poetów i pisarzy, przypominamy wiersze Poety i późne portrety wykonane przez Elżbietę Lempp.

Po zapisach paryskich, tym razem fragment czeskosłowackiego *Dziennika* Jerzego Andrzejewskiego oraz szkic niżej podpisanego o *Miazdze* i dziennikach.

Stefana Chwina słyszymy w rozmowie, która odbyła się w Bibliotece Uniwersyteckiej w Toruniu, mówiącego o tożsamości, regionie i Europie.

W *Variach* stałe cykle, omówienia książek, które zwróciły naszą szczególną uwagę i zachęta do Biblioteki „Kwartalnika Artystycznego”.

Zapraszamy!

Krzysztof Myszkowski



ULICA KSIĘŻYCOWA



AWATAR



FOTO: M. KĘDZIERSKI

SAMUEL BECKETT

Nienazywalne

fragment w przekładzie Marka Kędzierskiego

A w mojej głowie, którą zaczynam powoli lokalizować, tam na górze i lekko na prawo, pryskają iskry, by za chwilę bez życia rozbić się o ścianki przepierzenia. Czasami mówię sobie, że ja też, ja też jestem w głowie, ze strachu, wielki strach każe mi to mówić, no i pragnienie bezpieczeństwa, żeby z każdej strony otoczyła mnie masywna kość. Dodam, że to idiotyzm, dać się przestraszyć nie swoim wściekłym myślom, dać im poryc moje niebo wątlami błyskami i osaczać mnie wrzaskiem, nic nieznaczącym. Ale wszystko po kolei, we właściwym czasie. A tu często wszystko jest snem, śpi, jak wtedy, kiedy faktycznie byłem Wormem, wszystko, z wyjątkiem tego głosu, który mnie wynaturzył, który nawet na chwilę nie ustaje, choć czasami staje się niewyraźny i słaby, jakby zamierał, jakby miał mnie porzucić. Ale to tylko chwila słabości, chyba że to robi umyślnie, żeby nauczyć mnie, co to jest nadzieja. Dziwne, że choć tak sfatygowany, a młodzieniaszek w nędzy, w którą oni mnie wprowadzili, wydaje mi się, że pamiętam, jak to było, kiedy byłem Wormem, zanim wydano mnie im na pożarcie. Dlatego kusi mnie, by powiedzieć, że chyba jednak jestem Wormem, kusi, by wierzyć, że on mógł przecież dojść do tego stanu, do którego i ja doszedłem. Ale to nie wyszło. Pewnie znajdą inny, mniej infantylny sposób, żeby zmusić mnie do przyznania, bądź udawania, że przyznaję, że jestem tym, którego imieniem mnie nazywają. A może odczekają, aż, z powodu wyczerpania i coraz mocniejszych razów, których mi nie szczędzą, zapomnę, wtedy uda im się wymazać tego, którego nie można doprowadzić do tego, do czego mnie teraz doprowadzili. Nie mówiąc o wczoraj, nie wspominając o jutrze. A jednak wydaje mi się, że pamiętam i że nigdy nie zapomnę, jakim byłem, kiedy byłem nim,

Samuel Beckett, *L'innommable*, Editions de Minuit, Paris 1953, strony 106–125.

Fragmenty *Nienazywalnego* ukazały się w „Kwartalniku Artystycznym”: 2006, nr 3–4, 2007, nr 1, 2008, nr 4, 2012, nr 4, 2013, nr 3, 2014, nr 4, 2015, nr 1, 2016, nr 4 i 2019, nr 4.

zanim wszystko się pomieszało. No, ale to jest oczywiście niemożliwe, jako że Worm nie mógłby wiedzieć, jakim był, ani kim – i tak mam, według nich, rozumować. Wydaje mi się także, co jest jeszcze bardziej godne ubolewania, że mógłbym znowu stać się Wormem, jeżeli tylko zostawiłoby się mnie w spokoju. To naprawdę świetna metamorfoza. Zastanawiam się, czy dokąś to wszystko nas zaprowadzi. Gdyby tylko przestali mówić, niczego nie mówiąc, czekając, aż zatrzymają się na dobre. Niczego? Łatwo powiedzieć. Szybko się mówi. Nie mnie to osądzać. Za pomocą czego niby miałbym osądzać? To kolejna prowokacja. Chcą, bym zaczął się niecierpliwić, żebym, nagle nie mogąc się opanować, pośpieszył im z pomocą. Jakie to wszystko grubą nicią szyte. Czasami mówię sobie, oni mi mówią, Worm mówi, podmiot nie ma tu znaczenia, że tych, którzy chcą wepchnąć ten towar, jest kilku, czterech, pięciu. Jednym zastępem idą, ale pewnie gęsiego. To jednak chyba jeden brudny brutal dla zabawy udaje, że jest ich wielu, zmienia rejestr głosu, akcent, ton i treść bzdur, które opowiada. Chyba, że to mu przychodzi w sposób naturalny. Nagi, zardzewiały hak, owszem, może bym zaakceptował. Ale żadnych na nim smakołyków. Są jednak też dłuższe okresy milczenia i ciszy, z długimi odstępami, podczas których, już nic nie słysząc, już nic nie mówię. To znaczy, nadstawiając ucha, słyszę szept. Ale to nie do mnie, to wiadomości wymieniane między nimi, na nowo się zmagają. Nie słyszę tego, co mówią, wiem tylko, że wciąż tam są, że nie skończyli, ze mną. Odeszli trochę dalej. Sekrety. A może to tylko jeden, jeden on, zasięga rady u siebie samego, mamrocząc, podgryzając wąsa, gotuje się na kolejną porcję idiotyzmów. Może podsłuchać coś pod drzwiami, jak tylko nastaje milczenie. O Boże, nieźle mnie urządzili. Choć to wszystko z nadzieją, że już nie będzie nikogo. Ale to nie jest chwila, by o tym opowiadać. Zgoda. A na co jest teraz chwila, by opowiadać? O Wormie, w końcu. Trzeba się cofnąć, aby zacząć, powrócić do jego źródeł, a potem kontynuując, postępować za nim, cierpliwie śledzić kolejne stadia rozwoju, wciąż mając na uwadze ukazanie fatalnej reakcji łańcuchowej, która przeobraziła go w to, czym ja teraz jestem. I wszystko to przekazać z diabelską brawurą. A potem wszystko notować, dzień za dniem, aż dam za wygraną. A na koniec pieśń dziękczynna wraz z tańcem w wykonaniu ofiary, która zawodzi i kwili. Mam nadzieję, że nie będzie komplikacji. Jako Mahood nie wiedziałbym, jak umrzeć. Jako Worm, czy dam radę się urodzić? Problem jest identyczny. Może to jednak nie ta sama postać, mimo wszystko? Przyszłość to rozstrzy-

gnie, ma dobry temat. Ale trochę cofnijmy się, plecami do stoku, aby lepiej upaść na twarz. Trzeba by chyba powiedzieć coś na odwyrtkę. Gdyby jednak trzeba było powiedzieć wszystko, czegoż to nie trzeba powiedzieć! Do góry, na dół, nieważne, zaczniemy od ucha, jest dobre na wszystko. Wcześniej to była noc dziejów. Ale później, jaka świetlistość! No, w każdym razie wiem, na czym się skupić, na moich początkach, jako temacie konwersacji, rozumie się, tylko to się liczy. Począwszy od chwili, kiedy można powiedzieć: Ktoś, jakiś inny jest na drodze, wszystko idzie według planu. Może mam jeszcze przed sobą całe milenium. Nieistotne. Jest już w drodze. Wreszcie zaczynam rozgryzać to miejsce. Zastanawiam się, czy mógłbym się stąd ulotnić, przez podwaliny, któregoś ranka, wraz ze śniadankiem. Nie, nie ruszam się stąd, jeszcze nie mogę. Raz w głowie, raz w brzuchu, jakie to dziwne, raz wreszcie nigdzie, w niczym specjalnym. Może to przez dziurę Botally, może przetrwały przewód, tętni wciąż, wszystko wokół kurczy się i kołacze. Tak na przyszłość. Czyżbym miał przyjaciela, pośród nich, co potrząsa smutno głową, nic nie mówiąc, no może od czasu do czasu tylko: już starczy, starczy. To może nie są początki, może to jeszcze przed jego początkami, chyba im na tym zależy. Chcą może mówić także o korzeniach. Ten czas, który biegnie, pędzi galopem, jest też tym, co sobie drzemał. A to milczenie, przeciw któremu ujadają, na próżno, i które pewnego dnia na nowo zapanuje, jest tym, co niegdyś. Ewentualnie nieco po drodze poobcierane, odarte. Zgoda, niech będzie, mnie, który jest w drodze, słowa dmą w żagle, z żaglem pełnym słów, jestem też owym niepojętym antenatem, przodkiem, o którym nic nie da się powiedzieć. Może jednak o nim jeszcze opowiem, i o tych czasach nieprzeniknionych, kiedy nim byłem, ja, pewnego dnia, kiedy oni zamilkną, na zawsze przekonani wreszcie, że nigdy się nie urodzę, ponieważ nigdy nie dałem się począć. Tak, może jeszcze o tym opowiem, o nim, przez chwilę, jakby w echu, co przedrzeźnia, zanim dołączę do niego, tego, którego nie wiedzieli, jak ode mnie odłączyć. Zresztą już słabną, to się wyczuwa. Choć to tylko wybieg, by wzbudzić we mnie entuzjazm, oszukańczy fortel jak to u nich w zwyczaju, po to, bym pod wpływem smutku przyjął ich warunki, chcąc pokoju za wszelką cenę. Ale ja przecież nie mogę już nic zrobić, co krok wciąż o tym zapominają. Nie mogę się radować, nie mogę się smucić, choćby mi tłumaczyli, jak to się robi, i w jakich okolicznościach, i tak nic nie zrozumiem. I na jakich warunkach? Nie wiem, czego chcą. Mówię o tym, ale tego nie wiem. Wydaję dźwięki, coraz lepiej, jak się wydaje. Jeżeli

to im nie wystarcza, za mało im tego, ja nic nie poradzę. Jeśli mówię o głowie, mówię o sobie, to dlatego, że słyszę, że o tym mowa. Dość już jednak gadania wciąż, w kółko, o tym samym. Myślę, że któregoś dnia to się zmieni, to całkiem naturalne. Że któregoś dnia wepchnie mnie do tchawicy, albo w coś innego – przeniesie, umieści gdzieś indziej na drogach oddechowych, z pomysłem w głowie, że powstanie tam śliczniutki ropień, od którego zacznie się rozprzestrzeniać infekcja całego organizmu. Co pozwoliłoby mi radować się, jak każdemu człowiekowi, skoro udało się ustalić przyczynę. I w mgnieniu oka stałbym się siecią przetok transportujących ropę błogosławionej racjonalności. Och, gdybym tylko był z krwi i kości, czego zapewne sobie życzą, nie wiem, może i nie byłoby to takie głupie, ta ich drobna myśl, mała idea. Mówią, że mam ból, tak jak jakieś prawdziwe myślenie mięso, ale niczego nie czuję, przykro mi. Jako Mahood, owszem, coś tam czułem, chwilami, ale jaki z tego oni mogliby mieć pożytek? Lepiej, żeby sobie poszukiwali czegoś innego. Czułem gąsior na szyi, muchy, trociny pod kikutami, derkę na czaszce, w momencie, kiedy mnie o tym informowano. Ale czy to jest życie, to, które ucieka, kiedy zmienia się temat. Nie widzę powodu, dlaczego by nie. Oni jednak musieli chyba osądzić, że nie. Zbyt są wymagający, za dużo sobie wyobrażają. Chcą, by mnie kark bolał, bolała szyja, niezaprzeczalny dowód ożywienia, kiedy się słucha o niebie. Chcą, bym miał rozum, wiedząc, że mnie kark nawala, że żerają mnie muchy, a niebo niczego tu nie może zmienić. Niech mnie biczują bez ustanku, w nieskończoność, coraz mocniej, biorąc pod uwagę nawyk przyzwyczajenia, w końcu chyba z nadzieją, że zacznie się wydawać, że coś z życia zrozumiałem. Mogą nawet wtedy od czasu do czasu zrobić krótką pauzę dla wytchnienia, bez obawy, że przestanę wyć. Przecież uprzedzali mnie, nim się zaczęło. Trzeba wyć, rozumiesz, inaczej to niczego nie dowodzi. A kiedy będę złamany wyczerpaniem, już nic nie mogąc, kiedy nie mogąc już krzyczeć, z braku pożywienia, oni będą mieli prawo uznać mnie za zmarłego, z wszelkimi pozorami prawdziwości. I nie będę musiał już się poruszać, aby zasłużyć sobie na to, iż ze znużeniem poklepując się wzajemnie starymi, suchymi rękami, jakby chcąc strząsnąć z nich kurz, stwierdzą: On już się nie poruszy. To byłoby zbyt proste. Potrzeba tu nieba i nie wiem już czego, światła, światłych ludzi, nadziei trzymiesięcznej, zabawy w pocieszenie, i czego tam jeszcze? Zamknijmy więc ten nawias, abyśmy mogli zadeklarować otwarcie, z lekkim sercem, otwarcie następnego. Dźwięki. Jak długo pozostawa-

łem wyłącznie uchem? Odpowiedź: Dopóki już nie mogło to trwać dalej, zbyt piękne, w porównaniu z tym, co nastąpiło. Miliony różnych dźwięków, wciąż takich samych, powracających bez wytchnienia, nie trzeba więcej, by wyrosła wam głowa, najpierw pęk jeno, potem monstrualnie duża. Najpierw wyciszała, następnie wygaszała, kiedy przyszła kolej na oko, gorsza niż zło, cała skarbnica zła. I nie ma co tu uściślać i precyzować. Nie ma znaczenia z użyciem czego, pod warunkiem, że uda mi się powiedzieć, zanim stracę słuch: To jest głos, głos mówi do mnie. I pytać, zuchwale, czy nie mój. I stwierdzić, nieważne jak, że ja go nie mam. Dmuchając od zimnego do gorącego, w ciemno, od mrozu do wrzątku, z podobnym efektem. Taki jest punkt wyjścia, to człowiek, on już ruszył, oni mnie nie widzą, ale mnie słyszą, jak dyszę, pod nitami, nie wiedzą, że to nity trzymają mnie w całości. On wie, że to są słowa, nie wie, czy to nie jego, tak to się zaczyna, nikt nigdy się nie zatrzymał na tak dobrej drodze, robi z tych słów własne, myśląc, że jest sam, z dala od wszystkich, poza zasięgiem jakiegokolwiek głosu, i ujrzy światło dnia, o którym ciągle mu gadają. Tak, wiem, że to są słowa, był czas, kiedy nie wiedziałem, wciąż nie wiem, czy moje. Oni mogą więc nie tracić nadziei. Na ich miejscu wystarczałoby mi, że wiem to, co wiem, nie wymagałbym, żeby wiedzieć coś więcej o sobie niż to, że to, co słyszę, to nie niewinny i przemożny odgłos niemych rzeczy, zmuszonych do trwania, lecz strachliwa paplanina skazanych na milczenie. Miałbym litość, rozgrzeszyłbym się, nie paliłoby mi się, by robić z siebie własnego kata. Ale oni są równie, jeżeli nie bardziej, surowi niż wtedy, gdy robiłem z siebie Mahooda. Zamiast obniżyć dla mnie poprzeczkę. Przecież ja jeszcze nic nie powiedziałem. Schwytane przez jedno ucho, od razu wycieka mi przez usta, bądź przez drugie ucho ucieka, to też możliwe. Nie ma sensu mnożyć okazji do błędu. Dwa otwory, a ja pośrodku, lekko zaklinowany. Albo jeden otwór, wejście z wyjściem, przez które przepychają się słowa, jak mrówki, w pośpiechu, obojętnie, nic niewynoszące, niczego niewynoszące, za słabe, by odcisnąć po sobie ślad. Już nie powiem ja, już nie powiem nigdy, to zbyt głupie. Na jego miejsce będę wstawiał, za każdym razem, kiedy tylko je usłyszę, trzecią osobę, jeśli przyjdzie mi na myśl. Jeśli ich to bawi. I tak niczego to nie zmieni. Jestem tylko ja, ja, który nie jestem, tam, gdzie jestem. To słowa, mówi, że wie, że to są słowa. Ale jak on może to wiedzieć, on, który nigdy nie słyszał czegoś innego? Co za logika! Ale te światła, które gasną z sykiem. To prawda. No, a te inne rzeczy, mnóstwo innych rzeczy, do których, jak

dotąd niestety, obfitość materii nie pozwalała czynić najmniejszych aluzji. Nasamprzód zajmijmy się przykładowo oddychaniem u delikwenta. Proszę, oddycha, teraz pozostanie mu już tylko się dusić. Klatka piersiowa wznosi się i opada, nadyma się i zapada, proces zużycia ruszył pełną parą, rozkład postępuje od góry w dół, niedługo zacznie toczyć nogi, niebawem delikwentowi przyjdzie tylko pełznąć. Nieprawda, on jeszcze nie oddycha, nigdy nie będzie oddychać. Więc co to tak świszczy, skąd ten odgłos jakby potajemnie wprawianego w ruch powietrza, przypominający oddech życia, tym, których zżera. To niedobry przykład. A te światła, które syczą, gasnąc? To raczej chyba wielki wybuch śmiechu w reakcji na orgię przestרחu i rozżalenia. Zalać go jasnością, a potem nagle wtrącić w mrok, może nie mogą się oprzeć takim żartom. Ale oni, odkąd tam są, wszędzie wkoło, mogli przecież wywiercić otwór, w tej ścianie, i wlepić weń oko, jeden po drugim. A te światła, to są te może, którymi go omiatają, od czasu do czasu, aby śledzić postęp przez niego czyniony. Kwestia światel wymaga oddzielnego zbadania, tak jest intrygująca, że wypadałoby przyjrzeć się temu dłużej, w spokoju ducha, hmm, zostanie zbadana przy pierwszej nadarzającej się okazji, kiedy nie będzie już tak piliło, na spokojną głowę. Rezolucja numer dwadzieścia trzy. Jaki z tego wiosek? Że jedyny wydawany przez Worma dźwięk dobywa się z ust, które czkają, śmieją się, ssą, plują i bulgoczą na kilka sposobów. Słusznie! Nie zapominając o trenie uginającego się pod brzemieniem powietrza. On się uczy, to najważniejsze. Jeżeli później na ziemi rozpęta się burza, zatapiając w jednej chwili wolność opinii, będzie wiedział, od czego wraca, że koniec świata znowu nie jest tak blisko. Nie, w miejscu, w którym teraz jest, nie może się uczyć, głowa nie działa, nie więcej wie niż pierwszego dnia, on tylko słyszy i cierpi, nie rozumiejąc, to powinno być możliwe. Z ucha wyrosła mu głowa, aby już na dobre go rozżłościć, coś w tym rodzaju. Jest więc głowa, przyklejona do ucha, wypełniona wyłącznie gniewem, tylko to jest ważne, w tej chwili. To transformator, który, bez pomocy rozumu, zmienia hałas w gniew i przerażenie. Tylko tego trzeba, w tym momencie. Wprowadzaniem hałasu w zwoje zajmiemy się później, jak się go stamtąd wydostanie. Do czego więc w takich okolicznościach człowieczy głos? Czy nie lepiej wycie hieny albo kucie młotów? Odpowiedź: Żeby nie bał się zanadto, kiedy zobaczy, jak wykrzywają się prawdziwe wargi. Oni mają na wszystko odpowiedź, we własnym gronie. I kochają mówić, wiedzą, że to najgorsza piła, dla niewtajemniczonego. Jest ich wielu, wszę-

dzie wokół, może trzymają się za ręce, łańcuch bez końca, połączeni łańcuchem, mówią jeden po drugim, każdy po kolei. Krążą, poruszając się w nagłych podrygach, co sprawia, że słowo dochodzi zawsze z tej samej strony. Często jednak mówią jednocześnie, jeden przez drugiego, wszyscy mówią wszystko dokładnie w tym samym czasie, tak perfekcyjnie razem, że jakby jednym głosem, jednymi ustami, jakby ktoś nie wiedział, że tylko Bóg może być wszędzie, w jednym czasie. Ktoś owszem, ale nie Worm, który nic nie mówi, niczego nie wie, jeszcze teraz. Tak samo jeden po drugim po kolei korzystają z judasza, ci, co chcą. Kiedy jeden mówi, inny patrzy, pewnie ten, co ma za chwilę mówić, którego uwagi nie będą, w danym wypadku, odnosiły się do tego, co ewentualnie zobaczy, co zainteresuje go wystarczająco, aby uznał to za godne wzmianki, choćby pośrednio. Ale co sobie obiecują, tak czyniąc tyle czasu, z nadzieją na co? Trudno bowiem wierzyć, że nie ożywia ich jakaś nadzieja. No i jaka jest natura owej zmiany, której postęp chcą śledzić, wlepiając jedno oko w otwór, przysmykając drugie? Nie przyświeca im cel pedagogiczny, to bez wątpienia. Nie idzie o to, by nauczyć go czegokolwiek, w tym momencie. Jedynym językiem, w jakim są zaprawieni, jest katechizm, tkliwy i obłudny, przy tym pełen żółci i jadu. Niech się poruszy, niech spróbuje sobie pójść, daleko od rozdzierającego hałasu, tylko tego żądają, w tym momencie. Dokądkolwiek pójdzie, skoro jest w centrum, pójdzie w ich kierunku. A więc jest w samym centrum, no proszę, wreszcie jakaś informacja o niesłychanej wadze, nieważne dla kogo lub do czego. Patrzą, żeby sprawdzić, czy się poruszył. Jest tylko bezkształtną masą, bez twarzy, na której malowałyby się całe dzieje udręki, lecz układ owej bezkształtnej masy zbitej w sobie i spiętej, zapewne też pełnej ekspresji, pozwala specjalistom odgadnąć, jakie są szanse zobaczenia niebawem, że podskoczy, albo że oddali się niepostrzeżenie, albo się wykrwawi, jak ktoś ugodzony na śmierć. W tej masie bezkształtnej tkwi oko, wymęczone, jak u konia, i wciąż otwarte, oni potrzebują oka, dojrzą w nim oko. Dokądkolwiek pójdzie, pójdzie w ich kierunku, ku ich triumfalnej pieśni, zaintonują ją w momencie, kiedy stwierdzą, że idzie, że jest w drodze, ku tej pieśni triumfalnej, lub ku ich nagłemu zamknięciu, kiedy upewnią się, że jest w drodze, aby go upewnić, że dobrze uczynił, ruszając w drogę, albo w kierunku głosu, który nagle stanie się słabszy, jakby się oddalał, aby on myślał, że głos się zaczął oddalać, aby on się nie zatrzymał, na tak dobrej drodze, aby on myślał, że się oddala, gdy w rzeczywistości, jakiej rzeczywistości! się do nich zbliża,

coraz bardziej. Nie, przecież on nie może niczego myśleć, o niczym sądzić, wszakże ciało, ten rodzaj mięsa bardzo się tu przyda, ono spróbuje pójść tam, gdzie panuje spokój, padnie i legnie tam, gdzie już nie będzie cierpiało, lub choćby mniej, albo już nie zdoła ruszyć dalej. Wtedy głos rozpocznie na nowo, najpierw słaby, ale coraz mniej, cichy, a potem coraz głośniejszy, z tej strony, ku której oni chcą, by on się oddalił, aby myślał, że ktoś go śledzi, i ruszył w ich kierunku. W ten sposób przywiodą go aż do ścianki, a nawet dokładnie do punktu, w którym wywiercili inne otwory, przez które będą mogli przeciągnąć swe łapska i go schwytać. Jakież to wszystko jest fizyczne. Jak tam dotrze, nie mogąc iść dalej, z powodu przeszkody, nie mogąc iść dalej w ogóle, nie mając potrzeby, by dalej iść, w tym momencie, z powodu wielkiego milczenia, olbrzymiej ciszy, jaka nastanie, on padnie, zakładając, że powstał, lecz przecież nawet płaz może paść, po długiej ucieczce, można tak powiedzieć, nie narażając się na zarzut nieprawidłowości. Padnie, w pierwszym rogu, po raz pierwszy tego doświadczy, pierwsze takie schronienie, podpora pionowa, wsparcie w pionie, które wesprze wsparcie naziemne. Tak jak ten, co czeka w zapomnieniu na omdlenie, naraz poczuje jakieś wsparcie, jakąś tarczę ochronną, już nie tylko ze strony jednego z sześciu boków, lecz dwóch, po raz pierwszy będąc wystawiony na niebezpieczeństwo tylko z czterech stron. Ale radości tej Worm zazna jedynie niejasno, będąc mniej niż zwierzęciem, nim przywróci się go do stanu, w jakim znajdował się na początku swej prehistorii. Później schwytają go i wprowadzą między swoich. Jeżeli bowiem mogli zrobić mały otwór na oko, a następnie większe otwory na swe ramiona, równie dobrze zrobią jeszcze większy, aby Worm mógł przedostać się, przecież nie musi być tak duży, z ciemności do światła. Po co jednak mówić o tym, co uczynią, jak tylko Worm zacznie się poruszać, żeby go między siebie wprowadzić, skoro Worm nie jest w stanie się poruszyć, nawet jeśli często ma na to ochotę, jeśli mówiąc o nim, można mówić o ochocie, a nie można, nie powinno się, no ale w ten sposób trzeba o nim mówić, jakby żył, jakby mógł rozumieć, nawet gdyby to było bezużyteczne, a to jest bezużyteczne. Zresztą ma szczęście, że nie może się ruszać, nawet jeśli z tego powodu cierpi, bo byłoby to podpisaniem wyroku życia, bo tym jest poruszanie się z miejsca, gdzie się jest – w poszukiwaniu odrobiny spokoju, odrobiny milczenia, jak za dawnych czasów. Ale może pewnego dnia się poruszy, w dniu, kiedy drobny wysiłek z wczesnego stadium, wielce słabowity, w nieskończoność ponawiany i powtarzany, stanie się

wielkim wyczynem, na tyle silnym, żeby go stamtąd wyrwać, z miejsca, gdzie leży. Ale może któregoś dnia dadzą mu spokój, opuszczą ręce, zaczopują otwory, i sobie pójdą, gęsiego jak Indianie, zajmą się czymś bardziej opłacalnym. Ponieważ decyzja musi zapaść, jęczyczek wagi musi wskazać na jedną lub drugą stronę. Nie, można tak spędzić życie, nie mogąc żyć, nie mogąc dawać życia, i umrzeć nadaremno, niczego nie uczyniwszy, nikim nie będąc. Dziwne, że sami nie pójdą do niego po niego, bo chyba mają dostęp do jego nory. Nie mają odwagi, nie dla nich powietrze, pośród którego leży, choć chcą, by pooddychał ich powietrzem. Mogliby poszczuć na niego psa i kazać mu go do nich zawlec. Żaden pies jednak by tam nie przeżył, choćby przez sekundę. Może zatem przy pomocy długiego kija zakończonogiego hakiem. Ale miejsce, w którym on leży, jest ogromne, jest od nich daleko, za daleko, by go dosięgnąć, nawet wyciorem. Ta mikroskopijna plama, sama w środku otchłani, to on. Proszę bardzo, wylądował teraz w otchłani. Wszystkiego spróbujemy. Trzeba wypróbować wszystkie opcje. Oni mówią, że go widzą, mówią, że to on. Mówią, że ich słyszy, a przecież nie wiedzą, może i słyszy, tak, słyszy, tylko to jest pewne, Worm słyszy, choć to nie jest odpowiednie słowo, ale niech będzie, musi być. Więc butnie na niego patrzą z góry, według najświeższych informacji, będzie musiał teraz się wdrapywać, aby do nich dotrzeć. Hmm, mogą się jeszcze zmienić, te informacje na gorąco. Stoki są łagodne, łagodnie się w nim z sobą spotykają, pod nim się płaszcą, to nie spotkanie, to nie żadna otchłań, nie długo to trwało, jeszcze moment, a zostanie wyniesiony na wzniesienie. Nie wiedzą, co powiedzieć, aby móc wierzyć, że istnieje, co jeszcze wymyślić, żeby się upewnić, nic nie widzą, widzą szarość, jak nieruchome dymy, jednolite, które go kryją, w których się znajduje, jeżeli ma gdzieś być, gdzieś się znajdować, w których przysięgliby, że się znajduje, do których kierują swe głosy, jeden po drugim, w nadziei, że go stamtąd wypędzą, że usłyszą, jak się rusza, na odległość ich bosaków, haków, kłów, chwyta, i sprowadzą do domu, ocalonego. No ale dość już o nich, ich rola dobiegła końca, nie, jeszcze trochę, trzeba ich zatrzymać, jeszcze się przydadzą, zostawmy ich, jak się kręcą wokół, kierują swe krzyki, przez ten otwór, musi być chyba i otwór na krzyki. Ale czy właśnie ich słyszy? Czy są potrzebni naprawdę, by mógł ich słyszeć, oni i im pokrewne kukły? Odtąd już żadnych ustępstw, jak w prawach geometrii. Słyszy, i to wszystko, on, który jest sam, bez głosu, zagubiony w oparze dymu, bez ognia, nie szkodzi, dziwne piekło, bez palenia, niezaludnione, może to

raj, może to światłość raju, i samotność, i ten głos pewnie błogoszczących, którzy wstawiają się, niewidzialni, za żywych, za zmarłych, wszystko możliwe. To nie jest ziemia, to tylko się liczy, to nie może być ziemia, to nie może być dziura w ziemi, zamieszkiwana jedynie przez Worma, albo przez innych, jeśli ktoś chce. Przycupnęli, jak on, niedaleko od niego, niemi, bezgłośni, niezachwiani, niewzruszeni, zaś ten głos, głos tych, którzy ich oplakują, im zazdroszczą, ich wzywają, zapominają, to by wyjaśniło brak logiki, wszystko jest możliwe. Tak, tym gorzej, wie, że to jest głos, nie wiadomo, skąd, w jaki sposób, nic nie wiadomo, nic z tego nie rozumie, rozumie trochę, prawie nic, to niezrozumiałe, ale tak musi być, tak lepiej, lepiej, by jakąś małą część rozumiał, prawie nic, jak pies, któremu rzucają wciąż te same odpadki, te same rozkazy, te same groźby, te same czułości, pieśczętliwe słowa. No więc to już załatwione. Chyba będzie można zamykać, kończyć. Ale oko, zostawmy mu to oko, żeby widział, owo wielkie oko dzikie, czarno-białe, wilgotne, aby płakać, aby weszło mu to w zwyczaj, nim wybierze się do Killarney. Co z nim robi, niczego nie robi, trzyma otwarte, oko pozostaje otwarte, to oko bez powieki, niepotrzebna powieka, tu, gdzie nic się nie dzieje, albo tak niewiele, gdyby był w stanie mrugać, mógłby przeoczyć jakieś jakże rzadkie tutaj zdarzenie, gdyby opuścił powieki, co dla takich typowe, pewnie by już go nie otworzył. Łzy cisną się do oka i z niego wypływają praktycznie bez przerwy, nie wiedzieć dlaczego, niczego się nie wie, czy z gniewu, czy ze smutku, tak już jest, to może głos sprawia, że ono płacze, z gniewu lub innej pasji, albo ponieważ musi, od czasu do czasu, widzieć coś, przed sobą, to może właśnie to, może on płacze, aby nie patrzeć, nie widzieć, chociaż trudno, jak się wydaje, przypisywać mu inicjatywę o takiej złożoności. Staje się ludzki, a to bestia!, przegra, jeśli przestanie uważać, ale za pomocą czego, jakim cudem miałby uważać i w jaki sposób miałby sobie wyrobić nawet najslabszą ideę losu i postaci, w której chcą go uwikłać, z wszystkimi tymi ich uszami, oczyma, płaczem i rodzajem czaszki, gdzie wszystko może się zdarzyć. To jego siła, jego jedyna siła, to, że nic nie rozumie, że nie jest w stanie uważać, że nie rozumie, czego od niego chcą, że nie wie, że tam są, że niczego nie czuje, ale uwaga, przecież on czuje, on cierpi, ten dźwięk sprawia mu cierpienie, i wie, wie, że to głos, i rozumie, parę wyrażień, od czasu do czasu jakieś intonacje, niedobrze to wygląda, niedobrze, no nie całkiem, tak mówią oni, nic o tym nie wiedząc, mówią to, bo tego sobie życzą, być może on niczego nie wie, może przez nic nie cierpi, zaś to oko to czysta

fantazja. Słyszy, owszem, choć znowu to mówią oni, choć nie można zaprzeczać, lepiej temu nie zaprzeczać, Worm słyszy, tyle tylko można potwierdzić, nie można negować, choć był czas, kiedy nie słyszał, więc nie rozumiał, mówią, że to ten sam Worm, zatem się zmienił, hmm, to jest ważne, poważna sprawa, do czego więc może się posunąć, nieważne, można mu zaufać. Również oko, rzecz jasna, to, żeby wprawić go w bieg, żeby go naszedł strach, tak, aby zerwał to, co go łączy, mówią łączy, chcą go wydać, och, Matko święta, czego tu trzeba słuchać, to może łyż szczęcia. No i jeszcze, idźmy na całego, do samego końca, już chyba blisko, zobaczmy, co mu proponują, tak na postrach. Zobaczmy? My? Kto? Nie mówcie mi tu wszyscy naraz, to też na nic się nie przyda. Wszystko się rozwiąże, u schyłku wieczora, nie zostanie nikogo, na nowo milczenie nastanie. Nie ma co się sprzeczać, tu i ówdzie, o zaimki czy inne części tego bujania na chama. Nieważne na jaki temat, nie ma go. Worm jest w liczbie pojedynczej, tak się złożyło, oni w mnogiej, aby się nie pomieszało, trzeba unikać pomieszania, czekając aż wszystko się pomiesza. Oni to może tylko jeden, jeden wystarczyłby z powodzeniem, ale można by go wtedy mieszać z ofiarą, jego ofiarą, a to byłoby obrzydliwe, istna masturbacja. To posuwa się naprzód, posuwa naprzód. W aspekcie widowiskowym wydaje się słabe. Ale skąd wiadomo, jak człowiek tam nie jest, i tam nie żyje, oni to nazywają życiem, iskra pada, dla nich jest, jedna chwila, a wybuchnie płomieniem, teraz tylko odpowiednie kazanie, a skończy się żywą pochodnią, włącznie z okrzykami. Wtedy będą mogli zamilknąć, bez obawy niezręcznego milczenia, grobowego, jak to się pięknie określa, włącznie z dostojnie kroczącymi aniołami, prawdziwa gehenna. Oko nastawia ucha, naprawdę. Dźwięki się noszą, przenikają mury, czy można jednak to samo powiedzieć o zjawach? W żadnym wypadku, ogólnie mówiąc. Ale to przypadek dość partykularny. Ale jakich zjawach, powinno się wiedzieć, człowiek powinien próbować zrozumieć, o co idzie, o czym mowa, nawet za cenę pomyłki. Owa szarość, na przykład, może wydawać się komuś depresyjna, chyba niewątpliwie. A jednak jest też w niej kolor żółty, i jakby też różowy, to sympatyczna szarość, jak się mówi, pasuje do wszystkiego, ciepła jak mocz. Oko dostrzeże w niej odrobinę – ale nie trzeba tu nadmiernie precyzować, a potem zaprzeczać i się cofać. Człowiek pyta, gdzie kończy się jego królestwo, jego oko sili się, by przeniknąć mrok, oddałby może nie królestwo, ale wiele, za kamień, ramię, palce, co potrafią pochwycić i puścić, w odpowiednim momencie, kamień, wiele

kamieni, i za to, by móc krzyknąć i czekać, licząc, za ile sekund do niego powróci, krzyk, i z pewnością by cierpiał, że ani głosu, ani żadnego pocisku nie ma i że członki nie są mu posłuszne, nie zginają się i prostują na dźwięk rozkazu i być może żałowałby, że jest mężczyzną i człowiekiem w takich okolicznościach, to znaczy zgłową na łasce jedynie dawnych możliwości. Ale Worm cierpi jedynie z powodu hałasu, który nie pozwala mu być tym, kim ongiś był, trzeba smakować się w niuansach. Jeżeli to ten sam Worm, a oni przy tym obstają. Jeżeli natomiast nie ten sam, to bez znaczenia, cierpi tak, jak zawsze cierpiał, z powodu owego hałasu, który w niczym nie przeszkadza, tak też można. Ta szarość nie powinna absolutnie dodawać niczego do wystawienia go na ciężką próbę, do tego dużo lepiej nadawałoby się agiorno, zważywszy, że on nie może zamknąć oka. Nie może też obrócić nim, ani obniżyć wzroku, ani podnieść, oko zostaje permanentnie zwrócone ku temu samemu niewielkiemu polu widzenia, pozbawione dobrodziejstw akomodacji. Pewnego dnia być może jednak nastanie jasność, pomalutku, po trochu, albo naraz, natychmiast, za jednym zamachem, wtedy trudno będzie zbyt łatwo pojąć, jakim sposobem Worm mógłby pozostać na miejscu, niełatwo też pojąć, jakim przemyśłem mógł stamtąd się oddalić. Takie jednak niemożliwe sytuacje, jak wiadomo, nie mogą wydłużać się w nieskończoność, prędzej czy później albo się jakoś rozwiążą, albo okaże się, że jednak są możliwe, co tu dużo mówić, nie wspominając o innych możliwościach. Więc niech nastanie światło, nie musi to być koniecznie jakaś katastrofa. Albo niech go nigdy nie będzie, obejdzie się bez niego. Te światła wszakże, w liczbie mnogiej, które powstają, wzbierają, prą i z sykiem gasną, jak w tańcu kobry, może to moment, by rzucić je na wagę, żeby języczek przechylił się na jedną stronę, raz na zawsze. Nie, to jeszcze nie ten moment. Ha. Nie chcemy tu żadnej nadziei, wszystko by zepsuła. Niech inni żywią nadzieję, życzą mu, by znalazł się na zewnątrz, w świetle dnia, skoro sobie tego życzą, albo muszą, za to im się chyba płaci, tak, na pewno się im płaci za tę nadzieję. Niczego sobie nie życzą, tylko żeby to dalej tak trwało...

PIOTR MATYWIECKI

Ornament

Biblioteka nie odwzorowuje
powierzchni świata –
mam książki ze słowami w środku,
ale zapodziałem album ornamentów.
A poza biblioteką
wieko Ziemi
nie daje się otworzyć słownym kluczem,
roi się wszystkimi liniami –
na wierzchu Ziemi,
bo co w jej wnętrzu linie zaplatają,
tego nie widzę.
Co na Ziemi, to niczyja myśl –
najkunsztowniejszym ornamentem
jest logika opowiadań
bez treści.
Wzorzysty wywód ma tyle miejsca, ile chce,
nie ma powietrza ani płuc,
nikomu nie chce się śpiewać, nikomu wyć.
(Dopiero kiedy wymrzemy
Nie-Osoba narysuje ornament ludzkiej prawdy:
linie ważniejsze i czystsze
niż rytownicy, niż Ziemia i jej wnętrze.
Gdzie?)

Przejąłem się sobą i ze wstydu
zastygłem, bo bezlitośnie
pomyślałem o sobie. Nieruchomo. –
To jest forma nieosoby,
nawet kiedy jej osoba jest ruchoma
w sobie, nieco histeryczna,
wirująca prawdą.
Im szybszy ruch myśli i wyobrażeń,
tym bardziej jest w miejscu
gdzie jestem bez ruchu.
To mi pozwala lepiej przyjrzeć się
kto to.

Rude trawy przy torach

Oddech po oddechu podróż wyblakła,
rdza szybsza od lśnienia szyn,
przez okno rytm las pole las pole
rozrzedził czas,
nie widać co przy kołach, przepadły niżej,
w przedziale zimnoduszny zapach
poprzedniej stacji, nikt nie wsiadł,
oddech po oddechu
nadłamuje sztywne rude trawy przy torach,
niezniszczalny wagon otwiera wszystkie okna,
wpada jeszcze szybszy zaduch,
zamyka kartki podróżnego notesu
na kolanach nastolatka,
którego nikt nie powita na następnej stacji,
tylko na jeszcze następnej, jeszcze następnej,
a może nie.

W każdym miejscu, nawet takim,
które tylko na chwilę poznałem,
byłem od urodzenia do śmierci.
To cień szeolu, miejsce miejsc.
Tam nie pamiętam granic
urodzenia i śmierci.

Eurydyka

Zawrócona mgliście niebyłe, zanim mogła poczuć
szorstkość, zimno i zapach ziemi,
do niepamięci szła przez zwyczajną tam niepamięć,
w ruchu bez ruchu, bez jakiegokolwiek trafu.
Nie miała świadomości, nie było dla niej
spotkania z Orfeuszem, wędrówki do granicy,
to się nie zdarzyło. Ale bez istnienia
nieistnieniem zawracała do granicy Hadesu
i znowu od granicy. Bo wahadło serca Orfeusza
dotkliwiej nie było niż Hades, prowadziło
nawet nikogo.
Orfeusz mógł wędrować po ziemi
tylko naśladując ten swój podziemny rytm,
z nią bez niej, i bardziej jeszcze bezdrożnie,
z sobą samym i z nikim. A kiedy zginął –
bo Menady nie umiały być towarzyszkami
w wędrówce znikąd donikąd, więc go zabiły
w jakimś tu i teraz – po nim my wszyscy
tak w sobie krążymy, i one, zabójczynie,
i my, rodzący się, dochodzący granic,
wracający, znowu umierający, pamiętani,
zapomnieni, pamiętani, zapomnieni.

PIOTR MATYWIECKI

Spotkania

Spotykam się z wierszem, bo go czytam. A jeżeli to jest wiersz o spotkaniu, spotykam się bliżej. A kiedy to wiersz o przypadkowym spotkaniu osób, które nigdy nie będą mogły się poznać? – Wtedy spotykam pustkę, która tak bardzo tęskni za obecnością, że jestem najdalej i najbliżej.

Zdawałoby się, że nie ma w ludzkiej interpersonalności nic bardziej elementarnego od spotkania dwóch osób. A jeszcze bardziej elementarna jest sytuacja, kiedy spotykają się dwie osoby przedtem się nieznające. Poetycki opis takiego zdarzenia powinien objawić największą prostotę ludzkiej społecznej natury. Kiedy moje ja spotyka się z wierszem drugiego ja, z wierszem o takim elementarnym spotkaniu, można by się spodziewać, że dozna aury takiej prostoty. Ale wiersze poetów, które przytoczę, okazują coś zupełnie innego – zagubienie w spotkaniach, które ze swojej istoty stają się spotkaniami osobowego wszechświata z osobowym wszechświatem – i dlatego są nie do pojęcia.

Spotkania są milczące – nikt tu do nikogo nie mówi. Wiersze są jedyną mową tych spotkań. Milczące spotkania wymuszają mowę wierszy – i rozmowę wierszy z czytelnikiem.

Na te wiersze natrafiłem w różnych czasach, spotykałem je, tym samym spotykały się ze sobą czasy ich lektur, a teraz, kiedy o nich piszę, sam w sobie jestem spotkaniem ze sobą w różnych czasach. A przecież teraz!

Te sześć wierszy spotkało się w lekturze pewnego „ja”. Ono dlatego istnieje tylko w cudzysłowie, że tak jak zatracają oddzielność swoich „ja” osoby w tych wierszach, tak poeci i ich czytelnik zatracają się w sobie wzajemnie...

A jednak w każdym z tych wierszy są to nieco inne zatracenia.

Czytelnik staje się miejscem i czasem spotkań z wierszami, a poprzez wiersze z samym sobą – niepoznanym.

Oto sześć spotkań.

Charles Baudelaire

DO PRZECHODZĄCEJ

Miasto wokół mnie tętniąc huczało wezbrane.
Smukła, w żałobie, w bólu swym majestatyczna
Kobieta przechodziła, a jej ręka śliczna
Lekko uniosła wyhaftowaną falbanę.
Zwinna, szlachetna, z posągowymi nogami.
A ja piłem, skurczony dziwaczny przechodzień,
W jej oku, niebie modrym, gdzie huragan wschodzi,
Rozkosz zabijającą i słodycz, co mam.
Błyskawica... i noc! – pierzchająca piękności,
Co błyskiem oka odrodziłaś moje serce,
Czyliż cię mam zobaczyć już tylko w wieczności?
Gdzieś, daleko! Za późno! Może nigdy więcej!
Bo nie wiesz, dokąd idę, nie wiem, gdzieś przepadła,
Ty, którą mógłbym kochać, ty, coś to odgadła!

przełożył Mieczysław Jastrun

„Ja” mężczyzny zatopione w oczach przechodzącej przeżywa burzliwy chaos sprzecznych zauroczeń, które w ostatnim wersie nazywa miłością. Ona rozpoznała stan jego uczuć, ale ani on, ani czytelnik nigdy nie dowiedzą się, jak to przyjęła. I tak oto dwie osoby gubią się w sobie: poeta w przepełnieniu miłosnym, ona w enigmie, w zagadkowej pustce swojego dla nas istnienia. I chociaż zdaje się, że wiele o niej wiemy – jest w żałobie, cierpi, a przy tym świadomie lub nieświadomie kokietuje – coś w uwiedzionym jej widokiem mężczyźnie wywołuje uczucie pustoszącego rozstania. A on dla niej? – Być może w chwili spotkania coś dla niej znaczył, skoro wydaje mu się, że zauważyła jego miłość, ale ta chwila roztapia się w przepadłym czasie, w tętniącej miejskiej niewiedzy osób o osobach. I w okolicznościach tej okoliczności roztapia się też spotkanie czytelnika z wierszem Baudelaire’a – spotkanie wielkomiejskie.

Vladimir Holan

SPOTKANIE W WINDZIE

Weszliśmy do kabiny i było nas tylko dwoje.

Spojrzeliliśmy na siebie i nie czyniliśmy już nic innego.

Dwa życia, chwila, szczęśliwość, pełnia...

Na piątym piętrze wyszła, a ja dalej jadąc

pojąłem, że już nigdy jej nie ujrzę,

że to pierwsze spotkanie już się nie powtórzy,

że nawet gdybym za nią poszedł, poszedłbym za nią jako

martwy,

że nawet gdyby ona do mnie powróciła,

powróciłaby co najwyżej już z tamtego świata.

przełożył Józef Waczków

Chwila spotkania jest niepowtarzalna, bo ostateczna. Zamknięci w windzie, w kabinie odosobnienia, która ich otworzy na wszechświat współbycia, odcięci od świata, zamknięci w chwili, zapatrzeni w siebie, tylko w siebie – a przecież to jest wzrok wspólnoty unicestwiający granice osób. Dla obojga to spojrzenie jest jedyną „czynnością”, odpada od nich wszelka pamięć i teraźniejszość. Ale ostateczność po chwili rozproszy się – miejsce i czas przestaną być wspólne, wtedy odpadnie także istotowa przyszłość, pozostanie jej namiastka. Ostateczność wyraża się także w tym, że spotykają się nie tylko dwie osoby, ale „dwa życia” – to, co stanowi sam rdzeń i summę ich istnienia. Nie tylko dlatego ta chwila się nie powtórzy, bo ona i on już się nie spotkają, ale przede wszystkim dlatego, że znikając dla siebie, są już poza światem. Poza światem ich życia – ten, kto opowiada, czuje się martwy wobec zakończonej wspólnoty. Jak więc możemy, czytelnicy, mieć w sobie ich spotkanie? – Tylko jako osoby zagubione w jakimś nigdzie swojego życia.

Nelly Sachs

Zderzyli się ze sobą na ulicy
Dwa przeznaczenia na jednej ziemi
Dwa krwiobiegi w sieciach swoich żył
Dwoje oddychających każde na swojej drodze
w tym samym systemie słonecznym

Przez ich twarze przepłynął obłok
zarysował się czas
wspominanie zaglądało do wewnątrz
jednym stawały się bliskość i dal
Z przeszłości i z przyszłości
zaiskrzyły się dwa przeznaczenia
i odpadły od siebie –

przełożył Ryszard Krynicki

Początek spotkania jest gwałtowny, „zderzyli się”, a to zderzenie iskrzy radykalizmem – nie natrafiają na siebie osoby w ich przypadkowości, a ich przeznaczenia i wewnętrzne związanie osobnych ciał. Sprawa dzieje się „na jednej ziemi”, w ziemskiej powszechności, ale także w kosmosie. I w takiej nad-przestrzeni, w takiej nad-sytuacji Nelly Sachs pisze o spotkaniu osób. Jedną jest być może ona sama, ale jeśli tak, to patrzy na siebie spoza tej nad-sytuacji, chce tam być i nie być zarazem, tam, czyli w człowieczeństwie spotykających się i w rozstajnym, wykorzeniającym wszechświecie. A może jest to obserwacja osób obcych, obcych dla świata, obcych dla piszącej, ale przecież chwilowo „swoich”, bo dla siebie najbliższych, w ciele i w oddechu, erosowo poza erotyką, z czego pisząca zdaje sprawę. Spotyka się zatem w czytelniczej niepewności uczestnictwa ona bez nich, oni bez niej, i ona we wzajemności z Drugim. A ta nietożsamość i tożsamość osób bliskich sobie i dalekich służą wspomnianiu i przewidywaniu. Takie przeznaczenie, czyli pełnia ludzkiej pospólnej istotowości „odpada” – ale przecież w wierszu – i dla mnie, czytelnika – spotkanie zaistniało na zawsze w chwili spotkania z wierszem. Z osobami, z całą ziemią, z kosmosem.

Adam Ważyk

SPOTKANIE

Niedługo po wojnie trzydziestoletniej
szedłeś nieludnym paryskim pasażem
kiedy młoda kobieta przecięła ci drogę
niewysoka w ciemnym kostiumie
w czarnej przejrzystej woalce na oczach
zagubiona wśród murów i papuzich szyldów
To było w dzień odjazdu w tunelu czy w hali
na dworcu po godzinie znowu ją zobaczyłeś
Żegnała cię zdziwionym spojrzeniem przez woalkę
Byłeś dla niej znakiem i ona dla ciebie
Zdradziłeś ją poemat o pięknych spotkaniach
zniszczyłeś w ciemnych latach i nic nie pamiętasz
Niedawno byłeś tam znowu

Myślałeś o niej idąc

bulwarem Sebasto kręciło ci się w głowie
wiatr zamiatał papiery na chodniku markizy
trzepotały w powietrzu pachniało benzyną

Wiersz gubi spotkanie z nieznajomą w wirach czasu, we wspomnieniu biorącym w obroty teraźniejszość i w wirach przestrzeni – w odjeździe i przyjeździe, wirach, które i poetę wciągają w nieobecność własnego ja. W czasie i przestrzeni gubią się okoliczności – nie wiadomo, czy spotkanie miało miejsce w „tunelu czy w hali”. Paryż to miasto rozstajnych ulic i rozstajnego ja, w którym jedyną orientacją jest znak, enigmatyczny i przepadły, ale przez to ostatecznie osobowy, bo na krańcach istnienia osoby – przecież w tym opustoszałym znaku mieści się dokładny i nie do zapomnienia opis nieznajomej – narrator wiersza jakby poza swoim oszołomieniem i poza dezorientującym miastem, dzięki obiektywizmowi poetyckiej sztuki, mimo pochłaniającego wszystko sentymentowi, ocala tę kobietę. Ale nie siebie... Ich rozstanie ma sens podwójny – potwierdzone w czasoprzestrzeni, zaprzeczone wierszem, a przecież to spotkanie było poematem...

Jakub Ekier

WIERSZ NA SĄSIEDNIM TORZE

w nasiąkniętym nocą świetle małej stacji
mój pociąg stał twój
mignął

nie poznam cię
nie powiem że tobie
z peronu kiwały kwiaty

Czy mógł kogokolwiek zauważyć w przejeżdżającym pociągu, skoro on tylko mignął? Nawet jeżeli tak, było to spostrzeżenie, jeśli wolno się tak wyrazić, „niewspółlistniejące”: miał miejsce swojego patrzenia, pociąg stojący na małej stacji, a więc w bezruchu, chociaż chwilowym, a pociąg z dostrzeżoną lub nie-dostrzeżoną osobą znikliwie mignął, unikając umiejscowienia. I działo się to w zaprzecznym świetle przenicowanym nocą, świetle irrealnym.

A jednak chciałby – daremnie – z tą osobą nawiązać komunikację i to nie powierzchowną, skoro chodzi o jej „poznanie”. Zresztą byłaby to komunikacja nie wprost, nie on wykonałby powitalny gest, a kwiaty niejako reprezentujące świat realnie materialny, pewniejszy od osobowego.

A w tytule innym mianem obiektywnie, poza ludzką komunikacją danej istoty, jest wiersz. Nie można wiedzieć, czy wiersz znajdujący się na torze pociągu, w którym przebywa ktoś mówiący ten wiersz, czy na torze, po którym mignął „twój” pociąg.

Poetycka teoria względności osobowego istnienia.

Paul Snoek

DATOWANIE

Witaj, człowieku, witaj nieznany, świetnie,
że nie musimy się rozpoznawać,
ale w spokoju i każdy sam ze sobą
pozostajemy w dobrej celi ciszy.

Nie powiazał nas lęk ani kochanie.
Dzieli nas żarliwie jakiś dziwny pokój.
Ci zaś, którzy są wrogiem albo przyjacielem,
zazdroszczą nam, bośmy sobie odwiecznie obcy.

Świetnie, że tak się mijamy
jak bar z barkiem, jak cienie albo plecy w deszczu.
Jesteśmy nie do znalezienia. Tworzymy próżnię.
Przyszłość to jest jedyne przypomnienie.

Jesteśmy jednocześnie obojętną równowagą
w skończonym i bezimiennym poruszaniu się
obcych i całkiem nieznanomym
bliźniaków samotności.

przełożył Andrzej Dąbrowka

Wiersz zaczyna się od powitania nieznanomego, a przebiega i kończy się wzajemną obojętnością na to powitanie, a nawet sugestią, że obaj są dla siebie „nie do odnalezienia”, a więc ich spotkanie nie nastąpiło... Jednak powitanie z pierwszego wersu rozpościera się nad ich nieobecnością, bo zostało wymówione nieodwołalnie. Są zatem w tym wierszu dwa splątane, ale nie spotykające się strumienie obecności i nieobecności: obecność w nieobecności jest nieomal cielesna, („bark z barkiem”), nieobecność w obecności „tworzy próżnię”. A ta „obojętna równowaga” jest samotnością, czyli stanem egzystencjalnym łączącym w rozłączeniu. A po przeczytaniu wiersza zdać sobie trzeba sprawę z zaskakującego znaczenia tytułu: *Datowanie*. Oto w międzyludzkim zmieszaniu i w mimoludzkiej samotności jest jakaś czynność, która rodzi się z tych nieokreślonych, ale jak widać, pragnących określenia się stanów: one chcą być *datowane*, mieć miejsce, czas i osobowe istnienie tego miejsca i czasu.

*

W tych sześciu wierszach jedno i to samo spotkanie, w którym znikają osoby spoza spotkań, i *nie*. Znika jakakolwiek inność osób. I znika też cokolwiek, co nie jest spotkaniem. Po przeżyciu, jakie w tych wierszach jest dane, dla uczestników ich świata każde zdarzenie stanie się spotkaniem...

Spotkania sugerują nieprzenikalną wzajemnie podwójność „ja” i jednocześnie uchylają samotność, to jest samotność niesamotna, na krańcach alienacji zjawia się miłosne pragnienie zjednoczenia. W tym pragnieniu, nawet niespełnialnym, jest pełnia, ale enigmatyczna, niepoznawalna.

Dlatego cokolwiek dodać tym refleksjom, czy byłyby to rozważania o granicach i bezgraniczności tego, co osobowe, czy rodzaj uogólnionej socjologii, której dwa „ja” jest atomem, wszystko zagubi się w niejasności, wymuszonej przez sytuację spotkania nieznajomych.

Być może istotą liryki jako bezpośredniego spotkania ja z ja jest ta oszalamiająca niejasność, z której jak z chaosu wyprowadzić się daje wszechogarniający, chociaż mimo słów niewymawialny sens.

Oto objawia się i znika ja i ty.

A nawet więcej: po lekturze tych wierszy trzeba się powierzyć aforyzmowi Stanisława Jerzego Leca: „W każdym z nas jest ja, ty, on, ona, ono, my, wy, oni. Ale jest jeszcze ktoś, kogo nie ma w żadnej gramatyce”. – A chodzi w tym aforyzmie nie tylko o gramatykę języka, ale i o gramatykę ludzkiego istnienia pośród istnień.

Te wiersze transcendują wszelkie teorie komunikacji i wszelkie filozofie dialogu.

We wnętrzu każdego z nich spotykam dwie osoby – jedną, która chce mi być znana, bo jest autorem, i drugą, nie tylko mnie nieznaną, ale i autorowi. Tak te wiersze są dezorientujące, że nie można w nich znaleźć punktu uczestnictwa, z którego byłoby się współodczuwającym świadkiem spotkania, jest się – ze wstydem! – tylko intruzem.

Oto spotkanie szerzy się na świat, świat ogarnia i znika ze świata.

Te spotkania są nagle, momentalne, a przecież tworzą w osobach czas niezależny od jakiegokolwiek jego mierzalności. W jakiś sposób spotykają się przeszłość i przyszłość – omijając teraźniejszość, unieważniając ją.

Miejsca, w których te spotkania się odbywają, są w różnym stopniu socjologicznie określone, wyraźnie lub znikomo, każde wytwarza inną psychologiczną aurę, sprzyjającą zbliżeniu i oddzieleniu osób. Czytane razem te wiersze sugerują miejsce miejsc, jakby oderwane od podłoża okoliczności, nieomal przeniesione w ludzki zaświat.

A przecież, jak w ostatnim wierszu, jest to miejsce i czas marzące o swoim dątowaniu, określeniu się, poznanomieniu. Taka liryka szuka w sobie między-

osobowej energii, a to poszukiwanie, żeby ogarnąć ludzkie wszystko, musi wyjść od stanu elementarnego, od spotkania wzajemnych samotności. Lektura jest marzeniem o niewypowiedzianym spotkaniu wszystkich ze wszystkimi – marzeniu dla każdego samotnym.

Elżbieta Lempp



TADEUSZ RÓŻEWICZ

Pamięci Konstantego Puzyny

Czas na mnie
czas nagli

co ze sobą zabrać
na tamten brzeg
nic

więc to już
wszystko
mamo

tak synku
to już wszystko

a więc to tylko tyle

tylko tyle

więc to jest całe życie

tak całe życie

1989

Pierwszy wiersz Tadeusza Różewicza w „Kwartalniku Artystycznym” 1994, nr 2.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Słowo o Tadeuszu Różewiczu

Pięć tomików polskich autorów zrobiło na mnie, studencie polonistyki w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych minionego stulecia, niezapomniane wrażenie: *Łąka Leśmiana*, *Trzy zimy* Miłosza, *Niepokój* Różewicza, *Obroty rzeczy* Białoszewskiego, *Wiersze* Wata. Z tej listy Miłosz i Wat zagnieździł się w mojej przyszłej twórczości poetyckiej na dłużej: doświadczenie tragizmu historii, zderzenie „obiektywnej” metafizyki z egzystencjalną filozofią pozbawionego zasadności istnienia podmiotu, osobiste świadectwo walki dobra ze złem, przekonujący rodzaj mitotwórstwa własnej autobiografii.

A Różewicz? Który tak samo (ale i bardziej bezpośrednio) tymi okrutnymi i przekłętymi problemami egzystencji i płynnej współczesności się zajmował? Chociaż mniej wzniosłe za pomocą „poetyki szarego człowieka”, lecz chyba bardziej demaskatorsko? Którego najwcześniej poznałem, bo w liceum i jako początkujący rytmotwórca naśladowałem, posiłkując się frazą „Nie wstydzicie się łez młodzi poeci”?

Nigdy mnie nie porzucił, czytałem go zawsze, acz z intensywnymi przerwami (szczególnie w przynoszących nadzieję latach dziewięćdziesiątych), podziwiałem za analizowanie dramatu rzeczywistości i wyprzedzanie jej (konsumpcjonistycznych, nihilistycznych, beckettowskich) „awatarów” (osobliwie w PRL-u!), narzekałem na gadulstwo, aby ponownie docenić późne wiersze, kiedy na starość Mistrz odzyskał wyjątkowy wigor formalny i treściowy. W moich oczach był i pozostanie w powojennej literaturze polskiej i europejskiej najbardziej wiarygodnym, autentycznym, moralizującym świadkiem i uczestnikiem epoki krematoriów, mitów i śmietników dwudziestowiecznych. I dowodem, że po Auschwitz i Gułagu literatura ma moralne i artystyczne prawo zabierać głos w najmniejszych i najważniejszych sprawach ludzkości. I że poezja nie jest lukrowanym kłamstwem, poetyzacyjną ozdobą, narcystycznym mitotwórstwem, nabożną wyrocznią, lecz współczującą wszystkim istnieniom mową pozbawionego ocalającego sensu

(Transcendencji) pojedynczego i żarliwego umysłu. Stąd do Pana Cogito Herberta tylko jeden krok...

Tak na marginesie: Literacka Nagroda Nobla nie zasłużyła na Tadeusza Różewicza (ani na jego najbardziej samodzielnego ucznia Zbigniewa Herberta).

ALEKSANDER FIUT

Różewicz – glosy

Jak dalece Tadeusz Różewicz pilnie i uważnie wsłuchiwał się w to, co piszą o nim krytycy, a także jak ich głos szanował, może świadczyć krótka wymiana listów między nami.

Było to w 1993 roku. Napisałem wówczas szkic pt. *Po śmierci Boga*, który przed opublikowaniem wpierw w „Tekstach Drugich” (1993, nr 3), a następnie w mojej książce *Pytanie o tożsamość* (Kraków 1995), przesłałem poecie z prośbą o uwagi krytyczne. Różewicz natychmiast odpowiedział, wpierw na kartce pocztowej z 22 lutego 1993:

Szanowny Panie,

list i szkic otrzymałem dzisiaj, dziękuję. Przeczytam go po powrocie z sanatorium (wyjeżdżam jutro rano). Być może w kwietniu będę w Krakowie, zadzwonię do Pana. Nie chcę czytać w „gorączce” przed podróżą. Chciałbym przeczytać Pański szkic uważnie i w skupieniu. Myślę, że w sanatorium przyjdę do zdrowia.

Pozdrawiam Pana

Tadeusz Różewicz

Następnie otrzymałem list, z datą 18 kwietnia 1993, tej treści:

Szanowny Panie,

po powrocie z sanatorium przeczytałem uważnie *Po śmierci Boga*. Na marginesie zrobiłem tylko dwie uwagi (drobne – ale bardzo istotne dla mnie – i tych wierszy, które Pan cytuje). Przesyłam. Choruję na oczy – czytanie (i pisanie) sprawia

mi trudność. Muszę się ograniczać – (i leczyć). Stąd też ten list – tak krótki. Choć miałem ochotę napisać bardziej wyczerpująco.

Przesyłam Panu serdeczne pozdrowienia – i może – do zobaczenia w Krakowie

Tadeusz Różewicz

Jego uwagi na marginesie mojego tekstu (napisał je odręcznie na kserokopii) wydały mi się znaczące. Ocenę ich trafności pozostawiam czytelnikom.

Mój szkic skupiał się na tym, że, co usiłowałem dowieść, „występujące w poezji Różewicza, nadzwyczaj obficie, wątki tradycji chrześcijańskiej jawią się zaprzeczone, a zarazem, właśnie przez przeczenie – swoście afirmowane”. Starałem się zatem odczytać wiersze Różewicza jako „poetrykę przeczenia” słownemu i artystycznemu dziedzictwu chrześcijaństwa. Konkluzją moich wywodów było uznanie tych wierszy za „oryginalną, wszechstronnie uargumentowaną, a w polskiej poezji nieznajdującą odpowiednika – fenomenologią nie-wiary”.

Czego zatem dotyczyły uwagi Różewicza? Dla wyjaśnienia: wśród postaci przeczenia w jego wierszach wyróżniłem między innymi „degradujący kontekst”, za jego przykład podając *Płytko, prędzej*, w którym – jak twierdziłem: „słowa wypowiedziane przez Jezusa na krzyżu rozbrzmiewają w knajpie, bluźnierczo podkreślone dość prostackim żartem:

Pragnę
powiedział
niestety duszy nie ma
dusza wyszła
roześmiała się
młoda kelnerka”.

To sformułowanie najwyraźniej oburzyło autora. Napisał na marginesie:

„Tu przypisuje mi Pan błędnie bluźnierczą intencję słowa wypowiedzianego przez Jezusa – (było to raczej pragnę – się napić (może piwa?) przecież to jest knajpa i kelnerka tu Pan naciąga mój wiersz na fałszywe „kopyto” ale o tym wszystkim musiałbym napisać »księgę, bluźnierstwa« nie leżą w mojej naturze (i nie są w moim »guście«) myli mnie Pan z popularnymi pisarzami” [podkreślenia Tadeusza Różewicza – A.F.].

Druga uwaga dotyczyła jednego słowa, które w wersji drukowanej, zgodnie z sugestią poety, poprawiłem. Tekst w pierwotnej wersji brzmiał następująco: „Zbawienna tautologia ustąpiła miejsca tautologii dowolnej, w której pojęcia odklejają się od rzeczy, a słowa od znaczeń. »To się złożyć nie może« – utyskuje poeta w napisanym na przełomie 1955 i 1956 roku *Poemacie otwartym*”.

Różewicz słowo „utyskuje” podkreślił i opatrzył komentarzem: „Ja nie »utyskuję«, ja konstatuje (to wielka różnica)”.

Do naszego spotkania w Krakowie niestety nie doszło. Bardzo żałuję również, że Tadeusz Różewicz nie napisał o moim szkicu „bardziej wyczerpująco”.

BOGUSŁAW KIERC

Trzecie drzwi

„Czy tylko innym (miłym i rozczulającym normalnym ludziom)
przysługuje prawo do dalszego życia, mówienia,
rozwoju i budowania historii?”

Pier Paolo Pasolini

Pasolini, Bacon, Pound, Celan, Wittgenstein, Tolstoj i wielu jeszcze innych „bohaterów” Różewicza. Odmieńcy.

Nie jestem pewien, czy nie nadużywam tego określenia (bądź epitetu), myśląc o Poecie, a jednak, bez uzgodnienia z nim samym, radbym mu je wmówił (czy przypisał). Nie tylko opierając się na zdaniach ze *Śmierci w starych dekoracjach* o chamstwie tkwiącym w osobnikach normalnych. Ani na odwoływaniu się do analogii z Odmieńcem Pasoliniego.

Choć mocno mnie wspierają w takim widzeniu (czy patrzeniu na) Różewicza.

Prostota i pozorna zwykłość i zwyczajność jego poezji (a także prozy i dramaturgii) bywała mylącym usprawiedliwieniem wielu popularnych interpretacji i egzegetycznych redundancji.

Nawet przypisywanie domniemanym epigonom tak zwanego stylu różewiczowskiego okazuje się – w gruncie rzeczy – efektem niedoczytania tej tak

radykałnie odmiennej poezji. Nie dającej się porównywać z innymi tego typu ewokacjami.

Bliskość Staffa, Czechowicza czy Przybosia uwydatniają w jego przyjaźniach bądź predylekcjach lirycznych to właśnie, co u tamtych było ewenementem twórczej niezależności i – nie predestynowanej – odmienności.

Piszę o tym nie tyle z zewnątrz siebie – czułego czytelnika – ale niejako z wieloletniego bywania „medium” różewiczowskich bohaterów. Medium, które miało szczęście po-gadywać z Poetą. Pisałem o tym wielokrotnie i często zdawało mi się, że właściwie to, co chciałem o relacjach z Tadeuszem Różewiczem powiedzieć, już powiedziałem.

Doznaję jednak co jakiś czas przedziwnych spotkań – jakby powiedział Przyboś – we dwulinii. Dawne współbrzmia z nowymi – wzbudzonymi przez wielokrotną lekturę, a zwłaszcza – przez wypowiadanie i czytanie – rzekłbym – intymne.

Tylekroć powracając do *Odejsia Głodomora* w rozmaitych miejscach i czasach, niekiedy niescenicznych; w centrum handlowym Sky Tower we Wrocławiu czy tamże na Dworcu Głównym, albo w Helu, na brzegu morza, w Teatrze w Oknie w Gdańsku i w jeszcze innych, ten jego-mój Głodomór-Odmieniec musiał wewnętrznie akomodować zasady bycia przed patrzącymi na niego i słuchającymi jego wypowiedzi. Wśród których byli pewnie także odmienicy.

Nie przypuszczam, żebym był aktorem szczególnie wyróżnianym przez Poetę. Z pewnością nie. Czasem – docenianym. I tyle. Sam też nie zabiegałem o bycie uznanym.

Nigdy nie rozmawialiśmy o mojej poezji. Nie wiem, co o niej myślał (jeśli ją czytał). Przypuszczam, że mało go obchodziła (czy – w ogóle). Nie przyszło mi na myśl, żeby o to zapytać. Byłem zbyt hardy, by z kimkolwiek rozmawiać o swoich wierszach. Ani z Różewiczem, ani z Wojackiem. Bywało tylko niekiedy, że z Przybosiem i z Karpowiczem.

Odnoszę się do tych faktów (czy raczej – fakcików), żeby sobie samemu przedstawić jakoś relacji i specyfikę naszych przybliżeń czy – lepiej powiedzieć – wieńców o sobie.

Już mówiłem o żalu, kiedy nie odważyłem się zapukać do hotelowego pokoju w Hamburgu, żeby przyjąć zaproszenie na lampkę koniaku, ale także o onieśmieniu wobec – tak bardzo bezpośredniego – Kogoś.

Ceniąc i szanując, miałem Go (choć byłego czeladnika) za stojącego „na słońcu przeciwnym” Przybosiowi. Co jednak przeszkadzało mi w czystej otwartości wobec odmiennej rewelacji jego poezji. Rewelacji obnażania świata z jego pozorów i uzurpacji.

W tych wywodach znać wyraźnie, że nawijam o swoich odczuciach, czy uczuciach wobec spotkań z Tadeuszem Różewiczem, zamiast mówić o nim samym. Choć, jako pierwszy Głodomór, mogę sobie (?) na to pozwalać. Mogę, bo tak mi się (błędnie) wydaje. Wszakże – Głodomorowi-Odmieńcowi.

O niesamowitej niezwykłości fenomenu Różewicza mówią nie tylko słowa Miłosza: „Szczęśliwy naród, który ma poetę”, ale – nadzwyczajnie – kartka-wyklejanka Wisławy Szymborskiej, z wizerunkiem kobiety (minionego, dziewiętnastego wieku) zatykającej sobie uszy, i z wycinkiem z gazety: „wybuch talentu”, a na odwrocie: „Wybuch talentu od *Niepokoju* poczynając!”.

A przecież ani ten wybuch talentu, ani wyjątkowość poezji Tadeusza Różewicza nie stanowią o jego niezbędnej i koniecznej obecności w uświadamianym sobie „losie życia”. Także będącego losem odmieńca.

Ktoś mógłby powiedzieć, że samo bycie poetą (jeśli się jest nim prawdziwie) ma symptomy odmienności:

poeta to zwierzę
zanurzone w świecie
dlatego takie niepewne
wobec świata

Jednak nie o tę dziwiącą odmienną odmienność chodzi, ale o dolegające poczucie nieoczywistości zwykłego (zwyčajnego) przejawiania (objawiania) się rzeczywistości z jej symptomami całkowitego powierzania się światu jego autochtonom. Wszak według (odmienia) Wittgensteina „cała rzeczywistość jest światem”.

No tak, no tak. Ale jeszcze wracając do wybuchu talentu, warto przypomnieć wiersz z 1962 roku zatytułowany *Talent*, wieloznacznie (dwuznacznie?) odwołujący się do talentu:

kiedy podważono
mi zęby otwarto usta
pod językiem

znaleziono czarny
grosz

Talent pomieszczony został w *Twarzy trzeciej*. W tym nadzwyczajnym (przecież nie jedynym takim) tomie Różewicza pojawił się (objawił się) wiersz *Otwierały się drzwi*, przywołujący – ważny dla Poety – motyw *Burzy* z analogiami i paralelami owego *Nic w płaszczu Prospera*, kiedy idącemu za Prosperem, wśród osób siedzących na ławkach, pojawia się jego

[...] Anioł Stróż

był szczupłą dziewczyną
białe włosy spływały na plecy
na młode ramiona
niebieska szata
okrywała tajemnicę
płci

aniele boży stróżu mój
powiedziałem podchodząc blisko
do jej twarzy
oczu ust

młody Szwed roześmiał się

To podejście „blisko / do jej twarzy / oczu ust” łączy mi się z wierszem z *Zielonej róży*, na początku tomu – *Walka z aniołem*:

[...] jego wilgotne
nozdrza dotykały
moich oczu ust
walczyliśmy na ziemi
ubitej z gazet
na śmietniku gdzie
ślina krew i żółć

leżała wymieszana
z gnojem słów

[...]

odchody nasze pokryły
boisko
zmógł mnie wreszcie
skrępował olśnił oślinił
słowem i gawędząc
optymistycznie
wstępował w niebo poezji
złapałem go za nogę
spadł na mój śmietnik
pod mur

tu jestem
istota człekokształtna
z wybitymi na światło
oczami

Nie ośmielałam się myśleć, że w uwrażliwieniu na odmieńczość ma u Różewicza kategoryczna niezgoda na ułagodzenie świata, w którym pytanie: *unde malum?* powinno być zastąpione pytaniem: *unde bonum?*. Czy grzech pierworodny, albo katalizm nazywany grzechem pierworodnym, jest diabelskim skrzywieniem (skurwieniem) stworzenia – pojętym jako zadanie do wykształcania w sobie przeciwstawnej woli powrotu do Obrazu i Podobieństwa? Kiedy licznym wygnańcom Ewy pozostało zaledwie coś „w rodzaju boga / coś w rodzaju miłości”. Kiedy „nic jest w nas”.

Na początku wiersza *Otwierały się drzwi* idzie Prospero „bez płaszcza i laski”. Za nim – poeta.

na ławkach pod afiszami
siedzieli emerytowani przewodnicy
ksiądz nauczyciel policjant,
między nimi jego Anioł Stróż.

Przecież w odczuwaniu, czy w rozpoznawaniu odmienca (czy własnej odmienności), nie jej płciowy walor wydaje się najistotniejszy, lecz to, co w każdym człowieku jest jego – niedającą się zastąpić – jedynością. Nieporównywalną, ani nie – rutynowo – podporządkowaną ustalonym paradygmatom.

Wyobraziłem sobie sytuację, kiedy moglibyśmy się spotkać w rówieśniczym wieku i sobie zwierzać podobne myślenia.

Helmut Kajzar znakomicie to przejął, przyjażniąc się z Tadeuszem Różewiczem. Bycie blisko niezwykle-zwykłego Poety przywracało odczuwanemu uobecnianiu się świata jego codzienną (jaką jest), zaskakującą zwyczajność. (Czy nie pokrewny temu stał się teatr metacodzienny Helmuta?)

Zaskakująca zwyczajność jest wszakże (proszę mi darować określenie) epifanią codziennego odnawiania się tego, co jest.

W Twarzy trzeciej pomieścił Poeta także wiersz Drzwi, gdzie

uchylają się
w oświetlonym krajobrazie
trzecie drzwi
a za nimi we mgle
w głębi
trochę na lewo
albo w środku

nic
nie widzę

Wiersz o rok późniejszy od *Otwierały się drzwi*. Oba wiersze czytają mi się epifanijnie.

No tak, to „nic / nie widzę” odsyła mnie do Pawłowej drogi do Damaszku. Ale też do niezwyklej egzegezy w kazaniu Mistrza Eckharta, a także do interpretacji owego upadku z konia na obrazie Caravaggia. Która to interpretacja ma – w moim mniemaniu – sporo z wartościowania „cudów świata tego” przez Różewicza.

„Nasze Nic nie jest przeciwstawne w stosunku do świata realnego, do »rzeczywistości«. Ono jest rzeczywistością”.

PIOTR MATYWIECKI

Z poezją Tadeusza Różewicza byłem złączony od początku mojej czytelniczej świadomości, czyli od czasów szkolnych. I czy ona była poznawczym szokiem, czy przyzwyczajeniem, czy byłem nimi zniecierpliwiony – zawsze mnie dotyczyła. Najpiękniejsze i najmądrzejsze jego wiersze harmonizowały całą moją wiedzę o życiu i o myślach na temat życia. Te, które budziły sprzeciw, budziły zarazem żal, że nie mogę się z nimi zgodzić, a to było tak, jakbym nie godził się sam ze sobą.

Kiedyś Julian Przyboś sugerował, że poezja Mickiewicza i proza Dąbrowskiej to są centra polszczyzny. Dla mnie poezja Różewicza jest w centrum życia – po to tam się umieszcza, żeby życie dzięki niej poznawało swój fałsz i swoją prawdę. A dzieje się to poza etyczną doktryną, poza racjami – samym równoważeniem się życia z wiernymi obrazami życia, siły życia z bezsilnością słów o nim.

Tylko on tak postępował... Czesław Miłosz hierarchizował świat, Wisława Szymborska świat zaczepiała, Herbert etycyzował. (Zdaje mi się, że pod koniec twórczości Różewicz akcentował raczej bezsilność słów. Uciekał przed nią w ironię i kpinę. Żałowałem, był zbyt autentyczny, żeby uciekać...)

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Ocalony

Prowadzony na rzeź. W pustce. W szarości. Z życiem przed sobą. Rozwiązujący język i tracący milczenie, otwarty i nieznający zakłęcia. Pragnący oczyszczenia. W brzuchu wieloryba. Z kamienną wyobraźnią i ze ściśniętym gardłem. Niemożący się dźwignąć z ziemi do nieba.

Świeci księżyc. Domek z kart. Na krześle przy stole. Jak na wygnaniu. Na dnie. Z gałązką oliwną. Oddzielający światło od ciemności, prawdę od fałszu, stronę lewą od prawej, mający nadzieję na życie w jasności.

Coś i nic. Cień i brak cienia. Obecność, nieobecność. Milczenie, krzyk, pisanie. Litera, serce, rana. Jul, wieszcz Adam, trzeci wieszcz i Cyprian Kamil Norwid. Droga w światło. Tropienie, gra. Ręce i skrzydła. Spustoszenie, mówienie szeptem, łamiący się głos, to, co nowe, szczęśliwa chwila. Służenie dobrej sprawie, pieśń bez miłości jest martwa. Słowa pożegnania i słowa nienawiści, słowa miłości, słowa nadziei i moc sądenia, moc wzrostu i moc tworzenia. Konstanty Ildefons, Staff, Tuwim, Borowski.

Świadek. Palenie wierszy. Wypowiadanie niezliczonych słów. Nagość i bezbronność. Oczy szeroko otwarte i wystrzony słuch. Do towarzystwa. Łuk, mur, pragnienie. To, co ukryte i co odkryte. Dręczenie się milczeniem i słowami, zapomnianie, pamiętanie. To, co się składa i to, co się złożyć nie może. Upiór nicości i karuzela, ostroga z gwiazdy. Drewniany Chrystus z misterium. Zostawiony. W środku życia. Stwarzający siebie, pod milczącym niebem, na milczącej ziemi.

Piszący niejasne wiersze. Stawiający znaki na drodze. Na zewnątrz. „Wiedzący / że nic nie chce być / porównywane do niczego / aby się objawić / wyrazić mocniej / lub piękniej”. Mówiący, że życie bez wiary jest wyrokiem. Nowy człowiek. Bez drogowskazu. Dający drobne ogłoszenia liryczne. Perswadujący. Piszący nieznaną list. Szukający nowych porównań. Obcy.

Zmaga się z aniołem. Walczy o oddech. Kształtuje siebie na obraz i podobieństwo niczego, formuje się na kształt i podobieństwo wszystkiego, zaciera się. Pękają nici, które go łączą, pękają nici, które wiążą obrazy i słowa. W upale, w pustce, w nadmiarze. Krzyki i śpiew, wędrujące dusze i ciała.

Sąd Ostateczny w Kaplicy Sykstyńskiej, podziw, piękno, wstrząs, widzenie, głosy i barwy, w ruchu, odmienienie. Rzeczywistość wypełniona rzeczywistością, przez pęknięcia, przenikająca wyobraźnię.

Termy Caracalli, Katakumby Świętego Kaliksta, Canal Grande w Wenecji, Bazylika Świętego Marka, Lido, defilada w Neapolu, Pompeje i Wezuwiusz, słońce i przezroczysta zatoka, *Et in Arcadia ego*.

Goethe, Shakespeare, Leonardo, Rubens. Chiński mur, skazy i pęknięcia, sny, *Homo ludens*. „Nie mogę się wyplątać z tych zdań / muszę wszystko przepisać raz jeszcze / na czysto”.

O świecie światło, w środku nic. Brak, głód, nieobecność, rozkład. „Ja martwy / tak bardzo zajęty / piszę ciągle / choć wiem że odchodzi się / zawsze / z fragmentem / z fragmentem całości / całości / czego”.

Streszczam, dialoguję, podnoszę i opuszczam kurtyny. Jak w poczekalni. We wnętrzu. Ograniczony, godzący się, zamknięty, ogłuszony, w tym nadmiarze, w tym braku. Późno, za późno, nie za późno, na próżno i nie na próżno. Na odejście, jak na odejście i nie na odejście. Zabiegając, raczej z uśmiechem niż ze smutkiem, gdy powstaje coś nowego.

Tołstoj, anioły, Przerwa-Tetmajer, Rawenna i Dante, *lacrima Christi*. *Sąd ostateczny* Wojtkiewicza i Charon na łódeczce, na drugi brzeg.

„Wiersz / pisze się / aż do milczenia / ale o tym dowiesz się / na końcu”. Krzywe zwierciadła, zmienione formy, kształty, proporcje, pokrewieństwa. Sobowtór, klatka, ciało i dusza, duszyczka.

Przesypywanie się życia, przesypywanie się słów, z martwych wstawanie lub anirusz, jakby ktoś obcy wszedł we mnie i tkwił tak w związku i bez związku, mówiąc, pustosząc pustkę słowa, pisze.

Odwrócony, tyłem do świata, do rzeczywistości, bezbronny, wyrzucony na powierzchnię, pusty, zdumiony, uśmiechający się. Więc tak to jest, w tym NIC, w środku, gdy się słyszy.

Na popiołach Becketta, o którym myśli często, o jego mistrzostwie i zwykłości, niezwykłości, jak to powiedzieć, co i jak, i po co, *sans voix parmi les voix*, mówi, że go uwielbia.

Joyce, Woolf, Iwaszkiewicz, Hölderlin, Ajschylos, Przyboś. Nicowanie nica, z apokalipsy do sielanki i z powrotem, jaka to długa i splątana droga. Światło wierszy, tajemnica okaleczonej poezji. Narodziny i śmierć Boga, bez którego życie jest możliwe i jest niemożliwe.

Wiersz pamięci Puzyny. Rytm, milczenie, cisza. Celan, Klaus Mann i August von Goethe, Miłosz, Nowosielski, Kafka, Schulz. Świat zredukowany i skupiony na sobie.

Przypomnienie. W świetle lamp filujących. Droga do Emaus, Mane – Tekel – Fares, Księga.

W *Posłowie* przytacza w oryginalnym brzmieniu „jeden z największych wierszy Goethego” – *Über allen Gipfeln*, tak brzmi w tłumaczeniu Staffa: „Nad wzgórzami / Jest cisza, / Na wierchołkach / Czujesz zaledwie wiatr; / Umilkły ptaki w lesie / Poczekaj, wkrótce / Umilknieś i ty”. I mówi o wielkiej tajemnicy poezji, jej granicach i bezgraniczności, momencie natchnienia, pomniejszeniu, zapomnieniu o sobie, upokorzeniu swojej dumy. Na stronie tytułowej wpis: „Tadeusz Różewicz / na schodach / Toruń / 1998 r.”. W Dworze Artusa. Schodziliśmy czy wchodziliśmy?

I o polityce, że zjada poezję i poetów: „Słowo dziennikarza i działacza jest martwe, to język zombi. Problem ludzi »martwych«, ale niesłuchanie aktywnych, żywych-umarłych [...] Martwe słowa, martwe idee, martwi ludzie coraz częściej przejawiają – w naszych czasach – aktywność, są agresywni, podstępni, niezwykle ruchliwi”.

W *Zawsze fragment. Recykling – Maison de retraite*. Poświęcił mu kilka wierszy. Miłoszowi – też kilka.

Poezjo-proza czy prozo-poezja? Tyle słów, mówienia, gadania, przytaczania, recytowania. Setki imion, nazwisk, nazw, miejsc, miast, wystaw, książek, wspomnień i nagłych zapisów, powtarzają się, znikają, znowu się pojawiają, po co, po to, i po, o wszystkim i o niczym, „o czym mówić nie można / o tym trzeba mówić”, i tak, i nie, w szarości, pomiędzy dwoma skrajnościami, czarne dni, białe noce, na cztery strony świata, daleko, blisko, aż do końca, w przeszłości, w teraźniejszości i w przyszłości, jak dobrze pójdzie, aż wreszcie się skończy, tykanie zegara, bicie godzin, sen, maligna, majak i znowu rzeczywistość, nadrzeczywistość, sen mara, Bóg wiara, pożytek z książek, nie dla każdego, jeżeli nie ma ani siły, ani wiary i wie, że tak jest, i pisze, z wigorem i z zacięciem, od książki do książki, od festiwalu do festiwalu, od targów do targów, w nieskończoności, nicości, bez kropek nad i, w bieli, w czerni i szarości, wśród zużytych słów, przeżutych, osłabionych, martwych lub jak martwe, pod lawiną, ukamienowany, ze złotymi myślami, na swoją i nie swoją nutę, oddalając się, odpychając i odlatując, z palcem na ustach, biedny, nie w swoim labiryncie, ciągle uczący się chodzić, zaczynający od początku, mówi, milczy, idzie, stoi, z zamkniętymi i z otwartymi oczami, odjeżdża i przyjeżdża, przychodzi i odchodzi, odpływa, znika i znowu coś mówi, przysyła słowa, strachy na Lachy, będziemy żyć wiecznie, w tych papierowych arkach, w jakimś minikosmosie, głowa pracuje, mowa, rozmowa, dialog, wstydzi się, chodzi po cmentarzu wierszy, cóż z tego, że na wodzie,

na piasku, gdzieś, kiedyś, po coś, na słońcu, to tu, to tam, pod księżycem i w kompletnej ciemności, wygłasza swoje *credo*, przelewa z próżnego w puste, rozpyla w kosmosie i w nieskończoności, pod presją, w depresji, przy telefonie, przed telewizorem, jak w obłokach, w szóstym czy w siódmym niebie, w sobie, nie w sobie, jak w akwarium.

I – *Znalezisko*. Jak trwoga to do Boga, teraz najkrótsza droga, wie, że musi umrzeć, znudzony, rozweselony, ożywiony, odległy, dający na zapowiedzi, pełen pokus i niemożności, kret w kopczyku, jednym, drugim i trzecim, u wrót śmierci, czekający na cud, w krwawym trudzie, nie sam, płaczący, uśmiecha się, nie dokończył, i odszedł w sobie wiadomą stronę, na strwon, nie na strwon, co wiadomo.

Kot w worku, parodie i pastisze, a może karykatury, *work in progress*, w kółko, nie do naśladowania, nie zamiast, ale pod przykryciem, fajnie, niefajnie, niekiedy ledwo zipie, aż strach to parafrazować, frazować, fruwać i nakręcać, tym torem, jak to osłabia, paczy i patroszy, tak rozrywkowo i gorzko, chyżo, ale człap człap, a tak fajnie było nie było, klaskali, oznajmiali, wyznawali, w recenzjach i innych interpretacjach, w świetle i bez światła, kolorowo, szaro i minorowo, długo i nie na czas, goło i wesoło, a nawet smutno, z kluczem i bez klucza, w metamorfozach lub rojeniach, urojeniach – w metamorfozach lub rojeniach, urojeniach krytycznych, lirycznych i jakich tam jeszcze, z powiedzeniami eleganckimi i nieeleganckimi, takimi i takimi, a może jeszcze innymi, z pytaniami, rysunkami, bazgrołami, płatanie się w zeznaniach, gry w ciuciubabkę i na pokaz, na tym, na tym drugim, i na trzecim froncie, w biegu i zabieganiu, przekraczając linie czerwone i niebieskie, z oddalenia i z bliska, znowu, gonienie, zbliżanie się, dochodzenie, jakby w poszukiwaniu piękna i prawdy, bez fałszu, w normalności, zdziwieniu, zadziwieniu i przeinaczeniu, przedobrzeniu, na dobre i na złe, z nowym kalendarzem, nowym wschodem słońca, wyprzedzać, jak się da, tylko i dlatego, bez śmiechu, ale z uśmiechem jak sfinks lub jakiś prorok, mag, sztukmistrz.

W *To i owo* na początku jest wiersz *zawód: literat*: „widzę i opisuję / to jest epika / powieść opowieść // czuję i opisuję / to jest liryka / poezja // myślę i opisuję / to jest filozofia / poezja »dydaktyczna« // czuję widzę myślę / i muszę To opisać / to jest natchnienie // czytanie przepisywanie / poprawianie i czytanie / milczenie i wściekłość / odczytywanie / to jest właśnie »zawód« / pisarza poety i / literata”.

ANNA NASIŁOWSKA

Wiele rzeczy w literaturze polskiej złożyło się dobrze, a jedną z nich jest sposób literackiego wykorzystania doświadczeń drugiej wojny światowej. Nie stały się one tylko paliwem dla narodowej martyrologii, ale czymś głębszym, wyrazem wstrząsu egzystencjalnego, cywilizacyjnego, na miarę cezury europejskiej i światowej historii. W tym wyliczeniu paść w końcu powinno także słowo Zagłada, ale świadomie je odłożyłam na bok: i w opowiadaniach Tadeusza Borowskiego, i we wczesnych wierszach Tadeusza Różewicza osobność tego określenia nie jest oczywista, bo ono leży w centrum systemu masowego uśmiercania. Trudno im nie ufać, pewnych doświadczeń nie mogliby wyrazić i zsintetyzować ludzie, którzy nie brali udziału w zdarzeniach. Nie dało się też czekać z reakcjami na lepsze czasy. Różewicz i Borowski – pozostawili dwa sposoby mówienia o końcu pewnego świata, opisali skraj istnienia, etyczną codzienność masowej zagłady, wydobyli dwuznaczności lagrowej egzystencji i przetrwania. Borowski napisał – i cofnął się, a zaraz potem pochłonęła go śmierć. Gdyby namyślał się dłużej, czekał, szlifował – mogłoby nie powstać nic, bo schyłek jego życia zajęła służba dla systemu. Z Różewiczem było inaczej, miał dużo czasu, żył długo, pisał do swoich późnych lat. Nigdy nie odwołał swojego stanu powojennej głębokiej depresji, która pojawiła się już w jego wczesnych tomach *Niepokój* i *Czerwona rękawiczka* (1947 i 1948) i obejmuje w jego poezji dystans wobec kategorii piękna, stosunek do używanych form i środków.

Tuż po wojnie wydawało się, że poezja polska mieścić się będzie między *Ocaleniem* Miłosza a *Póki my żyjemy* Przybosa i wkroczy na wyznaczone przed wojną szlaki konfliktów między optymizmem awangardy a ciemną historiozofią. Różewicz potrafił zakwestionować w swoim maksymalizmie artystycznym wszelkie metaforyczne łamigłówki. Wydawałoby się, że nie sposób posunąć się dalej, bo ostateczna prostota wyrazu nie może pójść jeszcze krok dalej. Iluż młodszych od Różewicza zaczynało od jego typu wiersza! Czuję głęboki szacunek do Różewicza za jego początek i wierność sobie, choć pewnych późnych poematów (jak *Recykling*) nie lubię i wołałabym, żeby użyte w nich i skompromitowane idee,

zostały zrozumiane lepiej, na miarę ekologicznych wyzwań XXI wieku. Nie lubię też późnego Różewicza za używanie i nadużywanie cudzysłowów w wierszach. Nie znoszę dramatu *Białe małżeństwo*. Ale bez Różewicza – nie ma powojennej poezji.

KRYSTYNA RODOWSKA

Poeta (bez) tajemnic

Wspominałam jakiś czas temu na tych łamach, w numerze 3/2021, że przyszło mi wchodzić w poezję Różewicza w przedziwnej roli – tłumaczki na hiszpański garstki wybranych przeze mnie jego wierszy, a także ich komentatorki w tym języku. Chciałabym teraz przyrzeć się uważniej jednemu z tamtych utworów poety, stworzonych przecież w słowach od zawsze mi najbliższych. Zatyłował je *Opowiadanie o starych kobietach*. Po raz pierwszy w edycji książkowej zostało opublikowane w zbiorze *Twarz trzecia* (1968). Odnalazłam je prawie czterdzieści lat później, nietknięte minimalną nawet korektą, w dwujęzycznym, polsko-niemieckim zbiorze *nauka chodzenia / gehen lernen* (2007). Być może powtórzył je jeszcze gdzie indziej (nie sprawdzałam). Wystarczy, by zauważyć wagę tego tekstu dla samego autora. Będzie o tym mowa jeszcze w dalszej części mego szkicu.

Bohaterki poematu są nie tylko „stare”, lecz także „brzydkie” i „złe”. Hejt, zawarty w tych przymiotnikach-epitetach, najwyraźniej słyszany z wielu ust, powtarza się kilkakrotnie, nim zostanie radykalnie, dogłębnie zaprzeczony, wręcz zaskarżony przez autora. Bo „tylko głupcy śmieją się / ze starych kobiet / brzydkich kobiet / złych kobiet”.

Autor nie ogranicza się do odrzucenia twierdzeń „głupców” zdolnych jedynie do powielania i narzucania innym swego płytkiego, kłamliwego obrazu świata; on uwzniośla, umieszcza w strefie niemal laickiego *sacrum* te stare, zapracowane od świtu do nocy i zaniedbane („brzydkie”) kobiety, może plotkary i zawistnice („złe”), bo przecież muszą brać jakiś odwet za to swoje, bez wyższych aspiracji („są pokornymi oczami zwierząt”), podległe wymogom codzienności i dyktatowi świata

mężczyzn („ich synowie odkrywają Amerykę / giną pod Termopilami / umierają na krzyżach / zdobywają kosmos”). Poeta-kreator w hołdzie dla tych anonimowych postaci bez twarzy, bez imienia, pozbawionych jednostkowej podmiotowości, powołuje je do życia w micie, obdarza życiem zwielokrotnionym w metaforach ujawnionej przez siebie świętości. On to, niczym baśniowy książę, który w ropusze dostrzeże uwięzioną piękną królewnę, potrafi zerwać pozór z ich sponiewieranej ciężkim życiem starości i brzydoty. I zaczyna się, rozpędza ekstatyczny rytuał odczarowywania: „bo to są piękne kobiety / dobre kobiety / stare kobiety”. Starość nie zostaje odwołana, bo jest piękna! Poeta stwarza na nowo dostępną tylko językowi poezji prawdę o „starych kobietach”: „są jajem / są tajemnicą bez tajemnicy [...] są mumiami / świętych kotów [...] są wysychającymi / źródłami owocami / albo tłustymi / owalnymi buddami”. Ich „świętość” wymaga odkrycia, zejścia pod powierzchnię zjawisk, mistycznej inicjacji. Definitywnym rewelatorem prawdy o „starych kobietach” – liczba mnoga podkreśla mitotwórczy charakter owej rewelacji – jest śmierć; w chwili śmierci następuje ostateczna metamorfoza, odkupienie cierpień doznanych za życia, widzialne dla poety: „z oka wypływa / łza / i łączy się / na ustach z uśmiechem / młodej dziewczyny”.

Skąd tyle współczującej miłości przeziara przez utwór przeszło czterdziestoletniego poety – niezmiennie, uczuciowe *credo* także w wieku, kiedy sam już przekroczył znacznie osiemdziesiątkę? Liczba mnoga, opiewająca „kobiety”, a nie jakąś pojedynczą kobietę, pozwoliła mu uniknąć tonu osobistego zwierzenia. Skądinąd Różewicz dał nieraz świadectwo swojej wyjątkowej powściągliwości czy „wstydlivosti uczuć”: dość przypomnieć, z perspektywy jednego z ostatnich, opublikowanych przed śmiercią zbiorów, że dopiero w tomiku *Ostatnia wolność* (2021) znalazły się wiersze takie, jak *Listy od W...*, *Na 60 rocznicę ślubu* i *Znalezisko*, dedykowane żonie, Wiesławie, podane do druku przez nią już po jego odejściu (ona sama dowiedziała się o istnieniu tych tekstów „dopiero wtedy”, jak poinformowała wnuczka Julia, podczas wywiadu przeprowadzonego przez biografkę poety Magdalenę Grochowską, zacytowanego z okazji stulecia urodzin Różewicza przez „Gazetę Wyborczą”, 9 października 2021). Takim wierszom, czy zapiskom prozą, badacze twórczości zwykli przypinać łatkę tekstów „okazjonalnych” (znaczy to tyle, co „niepoważnych”).

Wspominałam o wadze, jaką poeta przypisywał do *Opowiadania o starych kobietach*. Pora ujawnić, jak ten tekst był odbierany przez czytelników – słuchaczy

pod inną szerokością geograficzną, w odległej strefie kulturowej. Otóż Różewicz, zaproszony do udziału w międzynarodowym festiwalu poezji, jaki co roku odbywa się w Meksyku (a działo się to w czasie, gdy u nas panował stan wojenny), wysłuchał tego wiersza w języku hiszpańskim (prawdopodobnie w moim tłumaczeniu), recytowanego na scenie amfiteatru w mieście Morelia i przyjętego oklaskami na stojąco przez tamtejszą publiczność. Dowiedziałam się o tym fakcie już w trakcie pisania mojego szkicu od naocznego i nausznego świadka ówczesnego wydarzenia: mieszkającej wówczas od paru lat w Meksyku mojej wieloletniej przyjaciółki – iberystki i poetki Barbary Stawickiej-Pireckiej. Teraz z kolei ona, poruszona tematem, którym się właśnie zajmowałam, przesłała mi skopiowane z YouTube'a nagranie filmiku, na którym młody, najpewniej ukraiński (?) aktor (sądząc po miękkim, wschodnim akcencie), wygłasza – rewelacyjnie! – *Opowiadanie o starych kobietach*, wiersz, jak się okazało, od dawna ulubiony przez moją przyjaciółkę. Tak to *daimonion* poezji, wielce ceniony przez Miłosza, włączył się pięknie do powstającego właśnie tekstu.

Czytając wiersz Różewicza teraz, po latach od chwili jego powstania, dochodzę do wniosku, że nie sposób nie połączyć ruchomych i milczących obrazów „starych kobiet” – które są „solą ziemi” – z jakże sugestywnym obrazem tej, której obiecał niegdyś, że pokaże jej morze, i obietnicy nie dotrzymał. Tej „starej kobiecie”, niepowtarzalnej, jedynej takiej znanej z imienia i nazwiska, udzielił publicznie głosu, on – poeta, zrozpaczony jej śmiercią „człowiek bez serca”, syn.

Książka *Matka odchodzi* otrzymała nagrodę Nike w roku 2000.

KRZYSZTOF SIWCZYK

Stracona dekada

Dekada, jaka upłynęła od śmierci Tadeusza Różewicza, wydaje się dekadą straconą dla tej linii rozwojowej polskiej poezji, która w Różewiczu upatrywała wciąż aktywnego prawodawcy wątplenia w sens uprawiania sztuki lirycznej. Odnoszę wrażenie, że śmierć Różewicza wzmogła falę wznoszącą, która objęła i wyniosła

w świadomości odbiorców literatury zupełnie inne strategie poezjowania, obfitujące w przekonania o nieusuwalnym SENSIE WIERSZA (społecznym, politycznym, metafizycznym etc.), zdecydowanie bardziej inkluzyjne, wolne od historycznych determinant, pozbawione grawitacyjnego ciężaru tematyk, jakie określiły wielkie, rozległe w czasie i wciąż rozrastające się „ciało wiersza” różewiczowskiego. Jestem dziś silniej niż kiedykolwiek wcześniej przekonany do tezy, że było to ciało obce w krwiobiegu polskiej tradycji, której przecież Różewicz-egzegeta nigdy specjalnie nie kontestował – mało tego – dawał głośne i kategoryczne świadectwa swojego przywiązania do najgłębszych zasobów tejże tradycji, czy to przy okazji tworzenia rozlicznych intertekstów (zinternalizowanie romantyzmu, Młodej Polski, pierwszej i drugiej awangardy), czy w przypadku biograficznych zapośredniczeń w figurze „Mistrza” (dajmy na to Staffa, Miłosza, Bacona). Mam na myśli bardziej zasadniczą, niemalże genetyczną „obcość” radykalnego gestu negacji POEZJI jako uprzywilejowanego, dramatycznego kodu autokomunikacji jednostki wrzuconej w skrajnie wrogie środowisko języka, wytwarzającego nieskończoną ilość mitologicznego opracowywania rzeczywistości, której fundamentem pozostaje z gruntu heideggerowski „bezgrunt”. Wydaje się, że Różewicz najszybciej w pokoleniu Kolumbów rozpoznał bezsens produkowania za pomocą obiegu słów jakiegokolwiek, ponowoczesnej paidei, gdyż gest tego rodzaju musiałby się opierać na zgola fałszywej przesłance o uniwersalnym echu, jakie pobrzmiwać może w głębi słowa jako wartość dodana, szczątkowa dyspozycja metafizyczna czy polityczny postulat, wobec których określić mogą się emocje większe niż tylko jednostkowa supozycja. Ta różewiczowska niewiara w słowo wydaje mi się wyzwaniem przekraczającym każdą koniunkturę na lokalne sensy słów, o jakie przecież walczą poeci i poetki, którzy weszli do literatury już po śmierci autora *Płaskorzeźby*. Ta śmierć była śmiercią sumienia polskiej literatury, które w paradoksalny sposób ciążyło jej rozwojowi na świetnie wydeptanych ścieżkach, na których przecież czujemy się swojsko. Lubimy przecież czasem czuć, że ktoś żyje za nas, że wyposaża nasze życie w głębię opisu, jaki oferuje literatura, uniwersalizuje nasz marny los, wynosząc go poza faktycznie bakteryjną kondycję. Tego rodzaju poetów i poetek ocalenia mieliśmy, mamy i będziemy mieć bez liku. Tymczasem Różewicz zostawił nas z NICZYM. I co gorsza śmiał umrzeć. Śmiał zniżyć się do naszego, ludzkiego poziomu: niemych istnień zanurzonych w niemocie losu, który pragnie krzyczeć rozliczne niezgody pod wciąż ciaśniejszą kopułą nieba.

LESZEK SZARUGA

„Szczęśliwy naród, który ma poetę”

Jednym z zarzutów czynionych Tadeuszowi Różewiczowi było demonstrowanie przezeń dystansu wobec „spraw politycznych”, a zatem swego rodzaju eskapizm czy, mówiąc językiem zwolenników „literatury zaangażowanej”, unikanie podnoszenia w swej twórczości kwestii aktualnych, by nie powiedzieć doraźnych, i zamykanie się w wyniosłej ponad toczącą się na nizinach pianę doraźnych sporów ideologicznych narracyjną konstrukcją określaną mianem wieży z kości słoniowej. Zarzuty takie w życiu literackim powracają zwłaszcza w chwilach czy nawet w epokach poważnych zagrożeń lub tylko powierzchownych niedogodności życia społeczności, której reprezentantem czyni się pisarza, domagając się od niego wyrazistego sformułowania postawy sprzeciwu wobec opresji, w jakiej znajduje się wspólnota. Charakterystyczny dla takiej sytuacji jest toczony korespondencyjnie spór między Jerzym Giedroyciem i Czesławem Miłoszem, w którym pierwszy z nich obdarzany często mianem zwierzęcia politycznego mniej lub bardziej delikatnie ponaglał poetę, oczekując od niego jasnych i dobitnych deklaracji w sprawach aktualnie dziejących się zdarzeń. Interesującym przyczynkiem do tego rodzaju sporów – sztuka czy polityka – wydają się strofy zamykające napisany przez Miłosza w roku 1948 – a zatem niemal natychmiast po debiucie Różewicza – wiersz *Do Tadeusza Różewicza, poety*:

Szczęśliwy naród, który ma poetę
I w trudach swoich nie kroczy w milczeniu.

Tylko retorzy nie lubią poety,
Siedząc na szklanych krzesłach rozwijają
Długie rulony, metry szlachetności.
A naokoło huczy śmiech poety
I jego życie nie mające kresu.

Gniewni są. Wiedzą, że ich krzesła pękną
A w miejscu gdzie siedzieli nie wyrośnie

Ani żdźbło trawy. Krąg spalonej siarki,
Rudy, jałowy pył mrówka ominie.

Dostrzeżenie rangi debiutanta przez trzydziestosześcioletniego poetę o ustalonej już wówczas pozycji w świecie literackim nie należy do zjawisk powszechnych, a już podniesienie rangi bohatera wiersza w tytule utworu – przynajmniej w tamtym czasie – to gest wyjątkowy. Ale też bez wątpienia miał Miłosz niesłuchanie wyczułony słuch poetycki, który pozwolił mu dostrzec w twórczości młodszego o pokolenie autora ton nowy, dotąd w polskiej poezji nieznan. Przyznanie Różewiczowi, wówczas zaliczanemu do grona debiutantów – a warto pamiętać, że mimo debiutu prasowego tuż przed wybuchem wojny książkowe debiuty tego pokolenia (wyłączając niemal nieznaną szerszej publiczności zbiory wydawane w konspiracji) były z reguły opóźnione – rangi Poety, tego zatem, którego twórczość sprawia, iż można napisać „Chwała stronie świata która wydaje poetę!”, zaświadcza, że jego wiersze dotknęły istotnej prawdy o świecie, w którym żyjemy, w dodatku prawdy uniwersalnej.

Być może właśnie owa uniwersalność tej poezji, za sprawą której późniejsza diagnoza, jaką odnaleźć można po dziesięcioleciach w *Płaskorzeźbie*, a powiadająca, że „mija wiek XX / ma się pod koniec / chrześcijańskiemu światu”, jest dramatyczną oceną rzeczywistego stanu rzeczy, wobec której problemy doraźnych dysput prowadzonych przez „retorów” zdają się naprawdę nieistotne. To poezja o zasięgu globalnym i nie dziwi upraszczająca ją, ale też uniwersalizująca skrótowna charakterystyka, jaką serwuje mi zainstalowany na Skypie program Bing odpowiadający na zadane mu pytanie o znaczenie tej twórczości: „Poezja Tadeusza Różewicza ma dziś duże znaczenie dla literatury polskiej i światowej. Jest to poezja, która odważnie porusza problemy egzystencjalne, moralne i społeczne, a także eksperymentuje z formą i językiem. Różewicz stworzył własny typ wiersza, który nazywany jest różewiczowskim. Jest to wiersz, który rezygnuje z tradycyjnych środków poetyckich, takich jak rym, rytm, metafora czy patos, na rzecz prostego i potocznego komunikatu. Różewicz chciał w ten sposób wyrazić swoje doświadczenia wojenne, kryzys wartości i kultury, a także kwestionować sens i możliwość tworzenia poezji po Zagładzie. Jego poezja była inspiracją dla wielu innych poetów, zarówno w Polsce, jak i za granicą. Jego utwory były tłumaczone na czterdzieści dziewięć języków i doceniane przez krytyków i czytelników. Ró-

żewicz był także cenionym dramaturgiem i prozaikiem, a jego twórczość stanowi ważny głos w dyskusji o kondycji człowieka i sztuki w XX i XXI wieku.

Bez wątpienia jest to charakterystyka straszliwie redukująca całą twórczość poety, jednak ma jeden walor istotny – wskazuje jej podstawowe punkty odniesienia. W szczególności dwa z nich mają znaczenie fundamentalne – uczestnictwo w partyzantce oraz Zagłada. Ważne jest też wskazanie na odwagę tego pisarstwa – dotyczy to zresztą nie tylko kwestii „egzystencjalnych, moralnych i społecznych”, ale także artystycznych. Postulat Różewicza, wzywający do tego, by poezja mówiła – wobec śmierci sztucznego w istocie, choć skądinąd fascynującego „języka Muz” – „językiem ludzkim”, a zgłoszony w posłowniu do jego wyboru poezji Leopolda Staffa, jest dla mnie szczególnego rodzaju wyzwaniem. Bo – a szkoda, że już nie możemy o tym porozmawiać – jakież to język? Sam termin „język ludzki” zdaje się mieć wymiar uniwersalny – raczej filozoficzny niż filologiczny – podobnie zresztą jak to ma miejsce w wypadku motta Zofii Nałkowskiej w *Medalionach*, powiadającym, że to „ludzie ludziom zgotowali ten los” (co zresztą, przypomnijmy dla kronikarskiej rzetelności, zostało zakwestionowane przez nacjonalistycznych ideologów domagających się niedawno, zupełnie serio, ocenzurowania tego zdania i zastąpienia go przez formułę „Niemcy ludziom zgotowali ten los”). Tak: przedmiotem zainteresowania Różewicza jest przede wszystkim kondycja ludzka, w szczególności zaś kondycja tych wszystkich, którzy reprezentują „chrześcijański świat”, którego zmierzch konstataje. Być może zresztą dlatego zarówno w czasach stalinowskich, jak i w latach dziewięćdziesiątych był poeta oskarżany o „antyhumanizm”, co w istocie oznaczało, że człowieczeństwo stawia ponad jego ideologiczne czy tylko światopoglądowe odmienności. „Język ludzki” to dlań język idealnej *family of man*, niekoniecznie rodziny szczęśliwej i nie prezentującej zróżnicowanych postaw, także artystycznych, lecz kultywującej poczucie wspólnotowości.

Jest jednocześnie poezja obowiązkiem dawania świadectwa, choć niekoniecznie, jak w znanej formule Conrada, wymierzaniem sprawiedliwości. Dystans, jaki wobec biegu zdarzeń wytwarza „język ludzki” utworów Różewicza, pozwala – podobnie zresztą jak to się dzieje, choć w odmiennej poetyce, w wierszach Wisławy Szymborskiej – powściągnąć emocje, co sprawia, że mamy do czynienia ze swoistą poetycką kroniką, w której liczy się przede wszystkim rzeczowość relacji zmierzającej do rozpoznania kondycji świata, który powinien zmierzać ku temu, by stworzyć sytuację pozwalającą wierzyć, że – jak chce Schillerowska, wzmocniona kompozycją Beethovena

Oda do radości – „wszyscy ludzie będą braćmi”. O tym, że taka perspektywa była bliska Różewiczowi, świadczą słowa ze szkicu *Oko poety*, komentujące tytuł antologii poezji polskiej *Od Kochanowskiego do Staffa* złożonej przez Wacława Borowego i podkreślające, że antologista „nie wprowadził tych dwu wielkich nazwisk poetyckich, by podać je jako odpowiedniki lat, podzielonych od siebie czterema wiekami w dziejach literatury polskiej, lecz kierował się odczuciem jakiegoś wewnętrznego związku między nimi. Istotnie, jeśli Kochanowski postawił poezji polskiej czasów Odrodzenia szczytne zadania i pokazał, jak wcielać w żywe słowo umiłowanie świata i człowieka, to wśród pisarzy pokoleń późniejszych niewielu było mu tak bliskich jak właśnie Staff”.

A nie należy przecież zapominać, że Staffa uważał Różewicz za swego mistrza, któremu w początkach swej pisarskiej drogi złożył hołd, układając wybór jego wierszy i z którym po wielu latach wszedł w dedykowany bratanicy rozmówcy poetycki dialog w zbiorze *Szara strefa* stanowiący appendix do pośmiertnie wydanego tomu Staffa *Dziewięć muz* – tomu, który, podobnie jak wcześniejszy zbiór *Wiklina*, wydaje się być dobitnym świadectwem nauk, które Stary Poeta, którym to mianem określano autora, pobrał u swego „ucznia”. We wstępie podkreśla Różewicz: „Nie jest to jakiś »komentarz«, to takie przekomarzanie się poetów przyjaciół, którzy z latami dojrżeli do dojrzałego uśmiechu”. Zamyka ten cykl przekomarzań uśmiech zatytułowany *kropka nad i*:

ileż to razy czułem pokusę
aby postawić kropkę nad
ale zwlekam uciekam
nudzę marudzę
słyszę dobroduszny śmiech Leopolda Staffa
jednak niczego Pana nie nauczyłem
Panie Tadeuszu

Słyszalny, a nie jedynie widoczny „dobroduszny uśmiech” adresowany do świata i ludzi, uśmiech mistrza przejęty od ucznia stojącego się jego mistrzem, uśmiech mający swe źródło w cieniu czarnoleskiej lipy zdaje się brać w nawias kwestie doraźne po to, by umożliwić skoncentrowanie się na sprawach fundamentalnych i zarazem uniwersalnych, dopiero bowiem w tej perspektywie nasze *hic et nunc* przeobraża się w *ubique et semper* i pozwoli próbować zrozumieć, co znaczy los człowieka.

PIOTR SZEWC

Słowo o Różewiczu

Trudno mi sprawdzić, w której klasie szkoły podstawowej czytałem wiersze Tadeusza Różewicza umieszczone w podręczniku języka polskiego, może w siódmej, może w ósmej. Pamiętam, że „sąsiadowały” z wierszami Wisławy Szymborskiej (na pewno była to *Minuta ciszy po Ludwice Wawrzyńskiej*). Różewicz był trudny i bolesny, trafiał w sam środek wrażliwości nastolatka. Bezpośredni, precyzyjny, ostry. Po imieniu nazywał uczucia człowieka, któremu udało się ocaleć z wojny. Czego klasa nie rozumiała, tłumaczyła najlepiej, jak to było możliwe, moja polonistka i wychowawczyni, pani Lucyna Segieda. Świadomość, że jest poeta Tadeusz Różewicz, że można czytać jego niezwykle wiersze, niepodobne do wierszy Broniewskiego czy Gałczyńskiego, była jednym z najcenniejszych darów, jakie wyniosłem ze szkoły podstawowej. Minęło wiele lat i napisałem o tamtym doświadczeniu w utworze *Drzewo* w tomie *Po nitce*:

Jeszcze nie wiedziałem co to poezja żyłem
pod konarami drzewa Tadeusz Różewicz
pani Segieda uczyła jak napocząć łupinę
aby dostać się do gorzkiego wnętrza drzewo
rosło rzucało cień wydawało owoce świat
szarzał oddalałem się a ono rozciągało nade mną
ramiona towarzyszyło mi gdy cerowałem dziurawe
zbierałem rozproszone

Nie tyle poetyka Różewicza, ile jego postawa wobec zewnętrznosci, ale i wobec siebie samego w świecie, towarzyszyła mi i później, gdy autora *Szarej strefy* czytałem z wyboru, niejako na własną rękę. Jeszcze raz zacytuję swój krótki utwór – wiersz lepiej mnie wyrazi – *TR* z tomu *Miejsce*:

Nie szukałem u pana piękna szukałem
pokarmu czułem się jak drzewko hodowane
w słoiku życie bez wiatru bez słońca bez ptaków

ale pan napisał że gramatyka poezji to gramatyka
milczenia i braku

Różewiczowska gramatyka milczenia i braku to bodaj najważniejsza lekcja polskiej literatury powojennej, w szczególności poezji. Żaden z najwybitniejszych pisarzy, tworzących po wojnie, nie miał na rodzimą literaturę wpływu tak głębokiego jak Różewicz. Nie miał takiej siły oddziaływania Miłosz. Czy tylko dlatego, że pozostawał na wygnaniu i w kraju jego książki były zakazane?

TADEUSZ RÓŻEWICZ

dlaczego piszę?

czasem „życie” zasłania
To
co jest większe od życia

Czasem góry zasłaniają
To
co jest za górami
trzeba więc przesunąć góry
ale ja nie mam potrzebnych
środków technicznych
ani siły
ani wiary
która przenosi góry
więc nie zobaczysz tego
nigdy
wiem o tym
i dlatego
piszę

Wiersz ukazał się w „Kwartalniku Artystycznym” 2002, nr 3.

Elzbieta Lempp



ARTUR SZLOSAREK

Magiel (właściwa wersja wydarzeń)

Jechał ulubioną trasą.
Wzdłuż kanału, Alte Jakob Strasse, chyba
Dlatego, że powtarzały tę nazwę dzieci,
Ilekoć była mowa o Suzan. Mijał – dlaczego
Pisze *téras* w trzeciej osobie? – Muzeum Marchii, stary port,
Gdzie to miasto od biedy
Przypominało mu inne miasto, w którym wołałby
Zamieszkać, ale skoro tego nie uczynił,
Nie jest to całkiem prawdziwe,
Chociaż brzmi zupełnie nieźle.
Potem wystrzelił prosto
W stronę Pergamonu. Jednak się zamyślił,
Przekraczając Unter den Linden, prawie na wysokości
Katedry, w której Józef brał ślub, pięć euro
Za wstęp od duszy, mając Führera za świadka,
I przed zdobyciem
Sporych rozmiarów krawężnika,
Zamiast podrzucić przednie koło, już lekko
Podniesiony, nacisnął hamulec.
Poleciał i zatrzymał się na wyciągniętych rękach.
Traf chciał, że rower, który stanął w pionie,
Przewrócił się w przeciwną stronę, autobus zwolnił,
Inny rowerzysta pochylił się i zapytał: „Alles in Ordnung?”,
Turyści gruchnęli śmiechem, co akurat usłyszał,
Bo zawsze upada się w zwolnionym tempie

I w początkowej fazie
Upadek przypomina wzlot.
Amerykanka wrzasnęła:
„Oh, my God!”, ale zapewne chodziło jej o coś innego,
Bowiem ledwie zapracował na skromne
Blessing in disguise. Osiągnął połowiczny
Sukces: złamał palec, mógł więcej,
„Zdolny, ale leń”.

Czy naprawdę byłaby dziewczyną z Argos,
W ramionach której zatryumfuje złudzenie? Jeśli tak,
Jako głód, łasiłby się do jej różowych stóp. Bogowie częściej
Znajdują upodobanie w zaklęciach i echach
Niż udzielają gościny ciałom. Na granicy mitu
Spotykają się trzy osoby i rozchodzą
Na trzy strony świata, jakby najważniejsze
W życiu było kpiną. Ale nie jest,
Bo wtedy dawaloby jeszcze to, czego już nie daje:
Nadzieję. Wysłuchana opowieść jedynie skazuje
Na lata ciężkich wierszy po obu działach niewyraźnego,
Bezużyteczną nadświadomość zwycięstwa
W poetyce praw ekonomii.
Tymczasem za lepsze pieniądze
Nabywa – czy znajdzie się ktoś, kto mu powie, po co? –
Illuminacje we właśnie ogłoszonym przekładzie
Na angielski. Stałoby się tak za sprawą miejsca?
Poety-tłumacza, geniusza zainspirowanego
Geniuszem? Brakiem polskiego wydania na półce?
Co daje razem trzy A, choć tylko raz
Otwierające nazwisko. Los też się wdaje we znaki,
Jak bezdomni w bójkę przed supermarketem.
Grudzień. Palec nadal się nie goi. Wszystko ma
Znaczenie – lecz: nie do odczytania. I mogłoby się
Wydawać, że to już coś,

Lecz bezpieczniej się nie poddawać
Sugestii, że siedem lat chudych za nami.
Owidiusz twierdzi, że to Jupiter,
Ten, że Zeus, więc komu wierzyć –
Dziewczynie z ciałem w obłokach?
Śnieżynkom w oczach? Ogniom na wzgórzach łez?
Głuchym gwizdkom bestii na bruku?
Podmuchowi, który rozpędza punkty zapalne
W sercu lo na wszystkie strony? – „Może lepiej
Nie wiedzieć, że ktoś zajmuje miejsce,
Które tobie przeznaczono?” – „Owszem,
Lepiej, z pewnością”.

Wedle ciemnej rodzinnej legendy
Ojciec pod koniec życia
Kupił za pożyczone pieniądze
Dla kochanki, którą wyjeżdżając do ojczyzny
Porzucił, maglownicę. W nagrodę – albo
Za karę – bo jako wymarzona kandydatka
Na Eurydykę, znalazła w innym upodobanie.
Wypada wspomnieć, że nieszczególnie
Łatwo zrozumieć motywy jego postępowania,
Uchwycić zamiary ukryte. Madejowe łoże?
Mogło się kojarzyć młodzieńcowi w półsennej
Fantazji z męką skóry, oczyszczanej z przewiny
Przez wrzące i buchające parą żelazne walce,
Obciążone kamieniami z młyna,
Z którego wywożono czarnymi saniami
Fosforyzujący o czarnej północy
Popiół na bułki. – „Jak tam twoja lira? Gra ci
W duszy, tatku? Dobrze stroją w gardle
Przerdzewiałe struny?” Grzech sprowadza na nas
Rzeczywistość. Bywa przepustką,
Zaproszeniem. – „Można żyć, synu”.

Ale jaka ona była? Czy słodko w uchu kwiliła?
W typie: sakralna prostytutka. Cel: á b y s s o s.
Korzystał z jej błogosławieństw zdecydowanie,
Ale, jak sądzę, rzadko. Ostatni raz widziano
Parę pod Barceloną. Wciągał brzuch. Skupiał
Spojrzenie. Miał formę. Stopy
W kocim piasku. Nagie ramię na pstrokatej burcie
Kutra, który wychodził w Orkus. Pstryk!
Ale jakie w tym urządzeniu przeznaczenie?
Jaka intencja, usunięta podczas spotkania:
Jego z nią, jej z nimi? Kto go wycierał
W ręcznik? Ucztował na obrusach? Kto był
Wyśpiewany w odkażone prześcieradła?

Na osiedlu chodziło się do magla
Raz w miesiącu. Było to jak wyzwanie:
Odnieść bez przystanku do dalekiego celu
Na wyciągniętych ramionach poskładane pranie.
Zacisnąć zęby, kiedy się zacznie narastający ból
I omdleją mięśnie, wytrzymać to, przetrzymać.
Aby odnoszenie czystej bielizny
Było jak modlitwa. Bardziej szczerza niż złożona
Z samodzielnych słów.

„Jesus-free” – nie było takich napisów
Na podkoszulkach w owym czasie, kiedy Herod
Zarządził spis powszechny, jak spotkać można teraz.
Wtedy był też jego niezłym kumplem
Z równoległej klasy A. Wysportowanego, boksera,
Śmiałego, lepiej się nie narażać, syna właścicieli
Prasowalni, którą odziedziczył i prowadził
Do końca. Dowiedział się tuż przed Wigilią
O raku w jego płucu – od innego kolegi.
Nie wiadomo, na którym sklepieniu

Zajaśniała pierwsza plamka, więc zjechał do ziemi,
31 października, na żebry, mniej więcej wtedy,
Kiedy w luźnym związku z tragedią
Oniemiały chórzysta wypadał na kołach z mgły
I zderzał się z jawą. – „Kto powiedział,
Że złamał w antrakcie palec, wypada z gry!”

– „Moim zdaniem przypadek zyskuje
Na konieczności”. – „Ale wiesz, co przez to
Mówisz?” Dopóki go nie zjadł do czarnej
Herbaty, reklamowanej przez awatar
Derwisza, nie wiedział, co to *speculatus*.
Nazwa go kusila. Wiedział natomiast, że larwa
Z gatunku *megathymus*, którą się topi w butli
Pospolitej wódki z agawy, to szamański chwyt
Marketingowy. Gąsienica motyla,
Znak najwyższej jakości, produkt, który leczy
Najsmutniejsze iteracje, uderzający skrzydłami
O wszechświat, który zwiedzimy
Przedwczoraj. Robak z rodu Hesperyd.
Złożony odcień jabłoni, sygnatura śpiąca w płynie –
Niepowtarzalna szansa na wykup nieśmiertelności.
Jeśli astronom udawał Greka,
To napisałby w liście do ikony, że z nim popłynie
Przez sad mózgu, ścięty jak gwiazda w bramie owiec.
Bo wyciąga jeszcze spod skóry fragmenty
Sierści psa. To dzięki słodko nucącej nimfie,
Nie przez wiarę w gilguł, nazwał go raz
Meskal. A głupi był nad podziw.
Daleki o lato świetlne od uprawiania nierzędu z gojką,
Oderwany od piersi, zachłannie zlizywał z palców
Pepsi w wypełnionym po brzegi upałem
Podmiejskim pociągu – sensacja sądnego dnia.
Niepodobny jamniczce mistagoga,
Jack-Russel-Terrier, odmawiający dostępu żywym

Idiota z Eleuzis, uciekający się
Do pijaków na trawie przy Petersburger Platz.
Ale może żeńskie imię jego lambe,
Bo stojące w jambu lustrzanej bliskości
Zdołało na chwilę oddzielić rozpacz od świata?
A miał się zwać różnie, brany był pod uwagę
Również jako Esej. Przetrzymał rok i dekadę z hakiem.
Nie spodziewał się, gdyż wszystko wyjadał ze zdarzeń
I równie wiele odrzucał z rzeczy, bez wiedzy,
Że niczego nie musi, nawet jeśli w innym ujęciu
Groził mu eskapizm w boleściach na raty,
Bycie *profanum* poza osią nadliczbową.

Jako nazwa własna, funeralna i finalna, przetrwał plagę
Szarańczy, które go połykały od środka.
Przywołał je i odpawił chemiczny interwał, cud
Trzech zastrzyków. Więc urwał się jak wielki szlem
Z jodły kaukaskiej, przesunął w dół
Globus hystericus, zajaśniał w gardle
Jak szkwał i śnieg pokrył skórę biegnącej nad cieśniną
Jałówki. Wsiadły bezpieczniki. Sypnęło igliwiami.
Ciemno. Pękła piłeczka wstydu na wieży
Pod ciśnieniem i na jonizujące mgnienie nieme
Utknął w chwale zakochany walec.
Przypadek konieczności?
Konieczność przypadku? Czy raz jeszcze,
Ale teraz już bez padania na kolana, dałby się złapać
Na *há pax legó menon*? Złamać palec?
Wpadłby na krawężnik
Jak myśl, która połknęła robaka?

– „Gdzie jesteś?” – „Tutaj jestem”.

Czytając Kawafisa

Każdy ma taki los, na jaki nie zasługuje –
Pomyślałem i zapisałem, choć bliżej temu było
Do przenośni niż do cielesnego kontaktu.

Pomyślałem: w końcu klaun musi się wyspać.
Zapisałem: płaci, kto kocha. Im mocniej, tym więcej.
A jeśli to prawda? Reszty nie trzeba.

JERZY ANDRZEJEWSKI

Dziennik czechosłowacki

fragment

wtorek, dn. 8 października 46 r.

Kochanie,

poczta, jak słyszę, chodzi nienajgorzej, więc mam nadzieję, że niedługo ten list odbierzesz. Mam w tej chwili pierwszą wolną chwilę od przyjazdu. Jest godzina ósma rano, już się obudziłem i wykąpałem, zjadłem śniadanie i mam czas do pół do jedenastej. Potem przyjęcie u ministra oświaty¹. Mieszkam, jak się u nas nigdzie nie mieszka niestety. Piękny pokój z przedpokojem i dobrą łazienką, wszystkie życzenia spełniane szybko, jakby przez dobrze wytresowane duchy. Porównanie z Monopolem w Katowicach nasuwa wiele nienajweselszych myśli².

Podróż mieliśmy doskonałą. W Katowicach pani Jaworska nie zawiodła. Przyjechała także Nałkowska³. Jechaliśmy okno się znamy [?], osobnym przedziałem. Na granicy czeskiej powitali nas dostojnicy z Morawskiej Ostrawy, oraz przedstawiciele ministerstwa Propagandy. Ci ostatni towarzyszyli nam aż do Pragi. Na dodatek, na

¹ Ministerstvo školství a národní osvěty działało w Czechosłowacji w latach 1918–1948, od 1945 bez przymiotnika „národní”. W latach 1945–1946 oraz 1948–1953 obowiązki ministra pełnił Zdeněk Nejedlý (1878–1962).

² Druga korespondencja prasowa w „Przekroju” zawiera dłuższy krytyczny *passus* o Katowicach i Monopolu. Delegacja zatrzymała się w Monopolu przed wyjazdem do Czechosłowacji i po powrocie (końcówka pobytu i powrót nie są w listach już opisane), można więc posłużyć się cytatem z artykułu, by uzupełnić niniejszy fragment (nie wiadomo w istocie, czy opisane przez pisarza przygody w hotelu nie mogły mieć miejsca na początku podróży, a być zapisane umyślnie jako *pointa* korespondencji): „Do Katowic przyjechaliśmy późną nocą. Za przewiezienie kilku naszych waliz z dworca do Monopolu, który stoi akurat nawprost stacji, sympatyczni tragarze zażądali tysiąc złotych. Pokoje były, bo je zarezerwowano dla nas telefonicznie z Pragi. Za to pościel była brudna i trzeba było dzwonić na pokojówkę, aby przedsięwzięła w tej sprawie jakieś zmiany. Uczyniła to. Godzina druga w nocy wydaje się właściwą do snu. Ale nie wszyscy są tego zdania. Długo jeszcze nim zasnąłem rozbrzmiewały pod oknami wśród ciszy nocnej gromkie nawoływania pijanych. O czwartej obudziły mnie wystrzały pod samym oknem. Nareszcie poczułem się w kraju, u siebie w domu”. Jerzy Andrzejewski, *Czechy, Morawy, Słowacja*, „Przekrój” 1946, nr 86.

³ W wyprawie oprócz Andrzejewskiego wzięli udział: Zofia Nałkowska, Julian Przyboś i Jan Wiktor.

granicy Moraw i Czech powitał nas czeski attaché kulturalny w Warszawie⁴. Nasi gospodarze mieli ze sobą mnóstwo jedzenia, zastawę do jedzenia i mnóstwo wina. Nasze osobiste zapasy jedzeniowe okazały się całkiem zbędne. W Pradze witano nas z całą okazałością, najpierw na peronie, potem z mowami, potem w dworcowym salonie recepcyjnym. Mnóstwo ludzi reporterzy, fotografowie, kwiaty, przemówienia. Była również przemiła pani Teigova⁵, od której dostałem piękne róże. Ale na samym wstępie, spotkała mnie inna niespodzianka. Czy wyobrażasz sobie, że „Ład serca” został przetłumaczony na czeski i ukazał się jeszcze w roku 1941?⁶ Tłumacz wręczył mi piękny egzemplarz i w pierwszej chwili, gdy zobaczyłem na okładce swoje nazwisko i tytuł „Mir w duši” nie mogłem się zorientować, o co chodzi. Książka ukazała się w niekorzystnym momencie, nie wolno o niej było pisać, jako o książce polskiego autora, ale zdaje się, że się rozeszła. Dowiem się zresztą o wszystkim szczegółowo, gdy zobaczę się z tłumaczem, Jaromirem Janouchem⁷. Mam nadzieję, że dostanę jakieś pieniądze. Zobaczymy jak to będzie. W każdym razie i sam fakt tłumaczenia, wyobrażasz sobie, jak mnie przejął.

Z dworca odjechaliśmy do hotelu. Przed dworcem tłum widzów. Bardzo to było zabawne, my, ludzie pióra, w tej sytuacji polityków, albo gwiazd filmowych. W hotelu pół zaledwie godziny na oporządzenie się. O ósmej kolacja na dole. Osób niedużo: Majenowie⁸ z naszego poselstwa, paru przedstawicieli ministerstwa Propagandy, pani Teigova, dawny poseł w Warszawie Maksa⁹, polonista Karel Krajčy¹⁰. Wiele dań, zresztą na ogół niesmacznych, zato [sic] bardzo dobry Wermouth i doskonałe czerwone wino. Ze zmęczenia i wrażeń nie mogłem zasnąć, a obudziłem się już o 5-jej. Pogoda niestety kiepska, pochmurno, popaduje deszcz. Rano wyszedłem oczywiście odrazu [sic] na miasto. Bardzo tu pięknie, ale nie ma się serca dość lekkiego,

⁴ Tym attaché najprawdopodobniej był Josef Šedivý (od sierpnia 1946 zatrudniony w MSZ), jakkolwiek na stanowisku attaché kulturalnego w Warszawie zatrudniony dopiero od grudnia 1946 do 1950 (przed grudniem stanowisko to prawdopodobnie nie istniało – informacja współczesnego czeskiego MSZ).

⁵ Helena Teigova (1902–1986), czeska tłumaczka polskiej literatury (m.in. Prusa, Kuncewiczowej, Nałkowskiej), w 1947 przełożyła tom opowiadań *Noc*, a w 1948 powieść *Popiół i diament* Andrzejewskiego.

⁶ *Mír v duši*, přeložil Jaroslav Janouch, Praha 1941. W 1947 w Brnie ukazał się kolejny przekład pod tytułem *Řád srdce*, co można uznać za skutek wizyty Andrzejewskiego w Czechosłowacji rok wcześniej.

⁷ Właściwie Jaroslav Janouch (1903–1970), pisarz, wydawca i tłumacz literatury polskiej i angielskiej. Przełożył między innymi utwory Norwida, Berenta, Sienkiewicza, Andrzejewskiego.

⁸ Józef Mayen-Szadziwicz, reżyser, aktor i dziennikarz, oraz jego żona, znana teoretyczka literatury, Maria Renata Mayenowa.

⁹ Prokop Maxa był ambasadorem w Warszawie w latach 1921–1924.

¹⁰ Właściwie Karel Krejčí (1904–1979), czeski pisarz, polonista, od 1945 roku profesor na Uniwersytecie Karola w Pradze.

aby odczuwać w całej pełni urok wielkiego i niezniszczonego miasta. Vaclavské [sic] Naměstí najlepiej wygląda wieczorem. To bardzo szeroka i chyba kilometr długa ulica, pełna ludzi, aut i wieczornych kolorowych neonów. Po tylu latach, jakby inny świat. Ogromne sklepy, wspaniałe księgarnie, dużo pasażów w głębi domów, co kilka kroków szerokoekranowe kina. Kupiłem sobie zamszowe rękawiczki za trzysta koron. Na ogół jest tu dla nas drogo. Myślę jednak, że będę miał więcej pieniędzy, niż mam w tej chwili. Życie nic nas nie kosztuje. Jeśli nie jesteśmy na przyjęciach, jemy w Alcronie i podpisujemy rachunki. Obiady i kolacje z czerwonym winem. Wódki na mieście nie pijemy i zdaje się, że się jej pić nie będzie.

Przed dwunastą przyjechały auta i zawieziono nas do naszego poselstwa na małą tzw. konferencję. Poselstwo nasze mieści się w dawnym swoim lokalu¹¹, w pałacu Lubkowiczów¹², tuż u stóp zamku hradczańskiego. Powoli wpadam w styl dyplomacji, oświadczeń, pytań i odpowiedzi. Nałka brilluje i jest najmilszą towarzyszką, jaką sobie można wyobrazić. Cóż to za młodość, jakie poczucie humoru i dyscyplina umysłowa. Zresztą wszyscy bardzośmy się już w ciągu tych paru dni ze sobą zżyli. Po poselstwie obiad w hotelu i już czekają auta, aby nas zawieźć na zwiedzanie Hradczan. Wybacz, kochanie, ale opisy pozostawię dla „Przekroju”. Zresztą zauważyłem, że samo zwiedzanie trochę mnie nuży. Interesują mnie ludzie i sprawy, o wiele mniej pejzaże i domy. Z Hradczan jedziemy w te pędy do ministra Informacji¹³. Wielki salon, olśniewający blask jupiterów, znów reporterzy, fotografowie. Zdejmują nas ze wszystkich stron, potem nakręcają scenę przywitania z ministrem. Po tej recepcji teatr: niestety na początek tylko „Moralność pani Dulskiej”, zresztą niedobrze grana, zbyt jaskrawo. Mamy zobaczyć w tym tygodniu parę nowych sztuk czeskich, a przede wszystkim „Czerwone i czarne” Stendhala w reżyserii Buriana¹⁴, który jest najlepszym reżyserem.

Dzisiaj mamy po południu cerele [ceregiele?] z dziennikarzami, wieczorem wielkie przyjęcie na trzysta osób wydane przez syndykat pisarzy. Jutro jedziemy do Mielnika, słynącego z win. W czwartek przyjęcie w naszym poselstwie, wielka

¹¹ To znaczy przedwojennym. W latach 1934–1939 poselstwo mieściło się w pałacu Fürstenbergów przy ulicy Valdstyńskiej 10. Do lokalizacji tej powrócono w 1946 roku.

¹² Pałac Lobkowiczów, w 1939 roku skonfiskowany przez nazistów, po wojnie zwrócony, ale w 1948 odebrany rodzinie przez komunistów.

¹³ Ministrem Informacji w rządzie Klementa Gottwalda był Václav Kopecký (1897–1961).

¹⁴ Emil František Burian (1904–1959), reżyser, kompozytor i dramaturg.

sala dla nas i korpusu dyplomatycznego. Ma śpiewać biedna, stara Ada Sari¹⁵. W sobotę jedziemy do zamku w Dobříš¹⁶, a w poniedziałek jedziemy na tydzień do południowych Czech. Cały tydzień zwiedzania. Oczywiście Brno. Następny tydzień Słowacja z Bratysławą i także oczywiście Tatrami i wszystkimi zaułkami. Ostatni tydzień znowu Praga. Program świetnie zaplanowany i na ogół zupełnie nieprzeładowany. Ostatni np. tydzień mamy prawie całkowicie wolny. Druga połowa obecnego tygodnia także ma wiele luzów. Chciałbym filmów trochę zobaczyć. Jest festiwal filmu angielskiego i idzie także słynna szwajcarska „Ostatnia szansa”¹⁷.

Często myślę z żalem, że ciebie tu nie ma. Koniecznie musimy na wiosnę wybrać się razem. Czuję, że teraz, gdy już uczyniłem pierwszy krok, zagranica będzie mnie pociągać coraz bardziej. Chodzi teraz o to, żebym i ja mógł od ciebie dostać bodaj parę listów. 30-ego października wracamy z Bratysławy do Pragi. Pisz więc na tydzień przed tym na adres hotelu, zwyczajny list najlepiej. 23-ego mamy być w Bratysławie. Dowiem się na jaki adres tam pisać.

Tymczasem ściskam was wszystkich, muszę się ubierać. Ubranie dojechało zupełnie niezgniecione, koszule także. Dwie tylko się pogniosły, to je przepraszuję.

J.

godz. 17.30

Konferencja z prasą skończona. Czuję się zupełnie jak diva operowa. Duża sala z dziennikarzami przy stolikach, operatorzy, światła itd. Wygłosiłem wielki spicz o obecnej literaturze. Picie wina do obiadu znakomicie usprawnia umysł. Wódka to jednak świństwo. Potem „zrobiłem” do Kroniki Filmowej. Mówiłem kilka zdań w blasku jupiterów. Mikrofon, kręcenie. Teraz godzina leżenia i wielki raut [?] w salonach Narodowego Klubu. W ostatnim tygodniu mamy być na Hradczynie u Benesza¹⁸. Rozbieram się i idę leżeć.

¹⁵ Ada Sari, właściwie Jadwiga Szajer (1886–1968), polska sopranistka koloraturowa.

¹⁶ Właściwie Dobříš.

¹⁷ *Die Letzte Chance*, film z 1945 roku w reżyserii Leopolda Lindtberga o ucieczce alianckich jeńców z Włoch do Szwajcarii.

¹⁸ Edvard Beneš (1884–1948), premier Czechosłowacji w latach 1921–1922, prezydent w latach 1935–1938 i ponownie w latach 1945–1948. Zmarł trzy miesiące po złożeniu urzędu i odmowie podpisania nowej komunistycznej konstytucji w 1948.

Środa, godz. 1.20 w nocy [dopisek: powieściopisarza Rzezača. Bardzo tu ciekawe stosunki, ale o tym po powrocie].

Wróciliśmy przed chwilą z całodziennej podróży. Zwiedzaliśmy okolice Pragi, a wieczorem byliśmy podejmowani w Mielniku, który jest stolicą czeskich win. Piliśmy ponad wszelkie wyobrażenie i Twój mąż, jak zawsze w takich sytuacjach zachował zupełnie trzeźwą głowę. Wzniosłem toast, który zrobił furorę. Mówiłem o winie, który [sic] zaprzyjaźnia artystów i wyraziłem życzenie aby to samo wino wspierało narady polityków. Poznałem kilku pisarzy, m. innymi: Jana Drdę¹⁹ (32 lata) i [urwane].

Piątek

Z pieniędzmi za „Ład serca” sprawa jest dość skomplikowana, bo wydawnictwo, które książkę wydało, jest skompromitowane współpracą z Niemcami i zostało przejęte przez inne wydawnictwo. Pieniądze jakieś oczywiście dostanę, ale nie wiem, czy za naszego tu pobytu. Za „Noc”²⁰ dostałem zaliczkę 3 tysiące, więc pieniądze mam na drobne zakupy. Byłem wczoraj z Teigową u mego wydawcy niezwykle gościnnie przyjęty obdarowany książkami, komplementami it.d. Zdaje się, że na książki, które tu się dostaje, trzeba będzie kupić walizkę.

Zaczynam się już orientować w tutejszych stosunkach. Porozumiewam się doskonale po polsku i rozumiem mniej więcej czeski. Wieczorem było wielkie zebranie w poselstwie. Tłumy ludzi, koncert z Adą Sari, zaczynam już źle trawić [?] te wielkie zbiegowiska, całą tę paradę. A to zaledwie początek. Poza tym w wygodach to niemy po uszy. Mamy do dyspozycji dwie limuzyny. Jedzenie obfite, ale raczej niesmaczne, ratuje go [sic] czerwone wino. Dzisiaj jest zwiedzanie Pragi. Po obiedzie chcę iść na „Ostatnią szansę” ten słynny film szwajcarski, wieczorem teatr. Jutro jedziemy na zamek w Dobrzyszu i przez sobotę i niedzielę „bratamy” się z czeskimi pisarzami. Ale z tego wszystkiego najwięcej się cieszę na możliwość naszego wspólnego przyjazdu na wiosnę. Będę tu miał około 40 tysięcy, moje ogromną

¹⁹ Jan Drda (1915–1970), od 1945 członek Komunistycznej Partii Czechosłowacji, w latach 1949–1956 prezes Związku Pisarzy Czechosłowackich. Autor baśni scenicznych wystawianych także w Polsce, *Igraszki z diablem* i *Zapomniany diabeł*.

²⁰ Zbiór opowiadań Andrzejewskiego, ukazał się w Polsce w 1945, czeski przekład Heleny Teigovej – w 1947.

sumą [?], za którą możemy żyć kilka tygodni i możemy [?] sobie rzeczy posprawiać. Zdaje mi się, że uda mi się teraz kupić po cenie kartkowej buty, to na nasze pieniądze wyniesie jakieś dwa tysiące. Kapelusz – 200 koron. Piękne wyroby skórzane, zwłaszcza torby kobiece.

Sobota

W poniedziałek jedzie do Polski Adam Schaff²¹, spotkałaś się pewnie z jego nazwiskiem w Kuźnicy²². Jemu dam ten list, bo to jednak pewniejsze niż poczta. Jeśli chodzi o pisanie do Bratysławy, wątpię, by Twój list doszedł na czas, pisz więc do Pragi, na adres hotelu. Wystarczy Hotel Alcron, Praha. Wyślij polecony, albo pocztą lotniczą. Chciałbym ci o wszystkim obszernie napisać i zwłaszcza wrażeniami się z pobytu tutaj podzielić, ale tak mało mamy dla siebie czasu, że trudno mi się dłużej i z większą sensownością rozpisać. Poza tym od wczoraj męczy mnie katar. Obrzydliwie się czuję, ale mam nadzieję, że gdy we wtorek wyjedziemy, zmiana klimatu pomoże mi.

Wczoraj zwiedzaliśmy starą Pragę i jakby na dobre zamówienie pierwszy dzień stał się bardzo piękny, ciepły i słoneczny. Przepiękne to miasto. Myśmy już zapomnieli, jak wygląda i żyje wielkie europejskie miasto. Tu jest rzeczywiście Europa Zachodnia: pisma, książki, filmy. Teraz jest festiwal filmu angielskiego i przedstawienia Teatru Angielskiego, podobno znakomite. Ze względów jednak kurtuazyjnych musimy chodzić na utwory czeskie, ale może w niedzielę obejrzymy Hamleta. Książek panewskich [?] dużo, drogie jednak. Kupiłem na razie pamiątki Ciarzcz [?] i pamiątki Noela, pańczewskiego [?] gubernatora w Brnie w latach 1935–1936.

W prasie dużo i serdecznie o nas piszą. O ile się orientujemy bardzo duże wrażenie zrobiło jedno moje oświadczenie na konferencji prasowej. Tutaj wszystko jest teraz podporządkowane 2 letniemu [sic] planowi odbudowy. Także i literatura, która podlega nie tak, jak u nas Ministerstwu Kultury i Sztuki, lecz Ministerstwu Informacji. Otóż wszyscy prawie wybitniejsi pisarze zaprzężeni są do pracy urzędniczej. Na konferencji padło takie pytanie: w jaki sposób polska literatura wspomaga nasz trzyletni plan odbudowy. Odpowiedziałem wtedy, że oddzielamy sprawy organi-

²¹ Adam Schaff (1913–2006), polski filozof marksista. W latach 1944–1946 pracował w Radiu Moskwa w polskiej sekcji.

²² „Kuźnica”, marksistowski tygodnik literacki ukazujący się w latach 1945–1950.

zacyjne od spraw twórczości i że sprawą pisarzy jest przede wszystkim tworzyć dobrą literaturę. Zdaje mi się, że w ogóle nasze wypowiedzi zaskakują tutaj ludzi. Mam wrażenie, że ostatnio [?] nas jako państwo [?] postrzegają jak pod wpływem rosyjskiego stylu myślenia.

Powoli oswajam się z czeskim językiem, nauczyłbym się zresztą więcej, jakbym miał czas czytać uważniej gazety. W każdym razie rozmowy można swobodnie przeprowadzać, starając się tylko mówić wolno i wyraźnie.

Trzeba mi już kończyć, kochanie, bo za kwadrans (jest teraz 11.15) mamy jechać na Dobrzysz. Tam obiad, po południu uroczysty wieczór poezji polskiej. Nocujemy tam i wracamy jutro na wieczór. Poniedziałek cały wolny ale we wtorek ruszamy rano w drogę. Myślę ciągle, co wy robicie i czy nic się nie stało niedobrego. Napisz, kochanie, zaraz. Całuję Cię mocno i Marcina²³ w oba oczka.

Kup, kochanie, książkę Żygulskiej „Przeżyłam Oświęcim”²⁴, Nałkowska mówiła, że tam podobno wspomniane jest nazwisko Mamusi²⁵, jako mojej matki. Ucałuj Tatusia.

Jerzy

poniedziałek

Jutro wprost do Krakowa jedzie dyrektor Instytutu Słowiańskiego w Krakowie, prof. Franči²⁶, więc korzystam z tej lepszej okazji przesłania listu.

Wróciliśmy wczoraj pod wieczór z Dobrzysza i Twój list już był. Ucieszyłem się nim bardzo, bo całkiem mi z głowy uciekła Dubova. Zgryzłem się tymi wszystkimi wiadomościami, Wandą, Włodzimkiem [?] i Twoimi kłopotami domowymi. Dobrze, że masz chociaż trochę rozrywek kulturalnych. Nasze nie są, jak dotychczas na najwyższym poziomie. Pałace tutaj i stylowe wnętrza lepsze od sztuk teatralnych i zdaje się lepsze także od książek, których mam już cały stos. Dobrzysz oszałamiający bogactwem. To coś w rodzaju Nogaltna [?], Łańcuta albo Krzeszowic. Przyjęcie było dorównujące salom, obrazom, dywanom i meblom. 60 wielkich obrazów [? niejasne, bo nadpisane na skreśleniu] na parapet ludzi na wieczór poświęcony tłumaczeniom z polskiej poezji i naszych [?]. Wielkie na nas

²³ Marcin Andrzejewski (ur. 1943), syn pisarza.

²⁴ Właściwie Krystyna Żywulska, przybrane imię Soni Landau (1914–1992). Jej wspomnienia *Przeżyłam Oświęcim* ukazały się w 1946 roku w wersji ocenzonej.

²⁵ Matka Andrzejewskiego, Eugenia z Glinojekich (1884–1945), zginęła w obozie Ravensbrück.

²⁶ Vilim Franči (1896–1978), chorwacki slawista, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

wrażenie zrobił fragment przekładu z *Anhellego*²⁷. Dopiero w tej prostej i surowej biblijnej prozie ukazało się całe piękno czeskiego języka. Dobrze bardzo był grany koncert skrzypcowy Karłowicza²⁸. Po wieczorze kolacja, potem rozmowy. Chodzimy ciągle bardzo późno spać i ja osobiście niezbyt się wysypiam. Dosyć to jednak wszystko męczące. Ba, a ile jeszcze mamy przed sobą! Wczoraj wieczorem byliśmy na „Czerwonym i czarnym” w teatrze Buriana, to jest teatr t. zw. awangardowy. Wiele rzeczy ciekawych, nawet pięknych, ale ogólne wrażenie pełne różnych sprzeciwów i zastrzeżeń. Słabi poza tym aktorzy prócz doskonałej artystki, która grała panią de Rénal. W każdym razie całość interesująca, znakomicie rozwiązująca problem małej sceny. Cała akcja idzie niesłychanie szybko wśród zmian kotar. Chwilami robiło to wrażenie filmu. Jest tylko jedna przerwa, poza tym żadnych dekoracji i tylko układ licznych zasłon i świateł nadaje rytm postępowi poszczególnych scen.

Dzisiaj rano mamy zobaczyć parę nowych czeskich filmów. Bardzo jestem ciekawy, jak wyglądają. Jeśli chodzi o teatr i prozę, to o wiele tu gorzej niż u nas. Książek wychodzi sporo, ale przeważnie wznowienia, albo tłumaczenia. Prozy nowej prawie wcale nie ma. Nowych sztuk także niewiele, „Igraszki z diabłem” Drdy, które widzieliśmy wcale nie tak znakomite, za jakie tu uchodzą. O samych teatrach za wcześniej jeszcze mówić. Zbyt mało dotąd widzieliśmy. A Czesi? Ach, jak oni mało mają w stosunku do siebie samych krytycyzmu! Zachwycają się sobą, jak dzieci. Wszystko u nich jest „przepięknie”. A z jakim uwielbieniem mówią o swojej rewolucji. Rewolucją nazywa się u nich trzydniowa walka na ulicach Pragi przed wkroczeniem wojsk sowieckich²⁹. Spalenie starego ratusza uważają za niesłychaną rzecz, a jest to ich jedyna strata. Dokoła odbudowy tego ratusza robią niesłychanie wiele hałasu. Są rozsądni i nie znają zbyt dotkliwych cierpień.

Już pół do dziewiątej, mamy się myć i ubierać. Całuję Cię kochanie. Z drogi będę wysyłać kartki.

J.

²⁷ Poemat Juliusza Słowackiego *Anhellu* ukazał się w 1838 roku.

²⁸ Mieczysław Karłowicz (1876–1909), kompozytor i taternik. Przypuszczalnie chodzi o *Koncert skrzypcowy A-dur* opus 8 z 1902 roku.

²⁹ Zapewne chodzi o wydarzenia z 1 maja 1945 roku, znane obecnie jako „powstanie majowe ludu czeskiego”.

wtorek, dn. 15.10.1946.

o godzinie 8 rano mamy wyruszyć w drogę. Ponieważ żaden wyjazd, nawet w punktualnych Czechach, nie dochodzi do skutku o porze wyznaczonej, więc i ten urzeczywistnia się dopiero o 9-ej. Te napozór [sic] niewinne zaniedbania okażą się później dość dotkliwe w następstwach. Program mamy tak obfity, iż o jednym nie wolno nam zapominać – o czasie, który biegnie szybciej od zwiedzania zamków, szaniec [?] i nawet szybciej od aut dobrze przejeżdżających na dobrych czeskich drogach. Ale sytuacja jest narazie [sic] taka: od tygodnia kładziemy się spać o 1ej, 2ej w nocy. Mamy za sobą gęstwiny przyjęć, recepcji, kolacji [?], tłum ludzi, mnóstwo przemówień i ostatecznie także wrażeń. Wczoraj Nałkowska, Przyboś i Wiktor byli w teatrze na sztuce Langer³⁰. Nie poszedłem z nimi ze względu na uporczywy katar miałem zamiar wcześniej wrócić do hotelu, ale tak się stało, że wybrałem się z Teigovą do winiarni na kolację. Jedliśmy doskonałą potrawę jugosłowiańską podobną do szaszłyku i piliśmy świetny francuski burgund. Potem świetny roquefort, winogrona i kawa. A potem poszliśmy do jakiegoś nocnego lokalu i piliśmy whisky. Ostatecznie wróciłem po 12-ej.

Ale ostatecznie jedziemy. Mamy dwa auta, Tatrę i Opfela [?]. Towarzyszy nam z ramienia Informacji pan Prohaska [?], młody historyk, doskonały opiekun i dyrektor podróży. Ruszamy w kierunku południowym. Zaraz za Pragą piękny krajobraz i dolina Wełtawy, faliste wzgórza, rude, złote i czerwone kolory jesieni. Powietrze czyste, zupełnie niebieskawe. W Beneszowie wita nas przewodniczący miejskiej Rady Narodowej. W Czechach organami władzy wykonawczej są Rady Narodowe. Istnieją [?] trzy ziemskie (Czechy, Morawy i Słowacja), dalej miejskie i [zamazane – plama]. Te Rady witać nas będą wszędzie. Oczywiście mowy, podpisy w księgach pamiątkowych i t.d. Równi [?] wejdziemy w ten protokół jak w stare ubranie. Przyboś zapowiada, jak z dat [nut?]. Z Beneszowa jedziemy na zamek w Konopisztem. Należał do monarchy tronu austriackiego, zamordowanego w Sarajewie. Był to maniak, ogarnięty pasją myśliwską i kolekcjonerską. Upolował 300.000 tysięcy [sic] zwierząt i wszystkie korytarze i schody zamowane są gęstowiem tych trofeów. Podobnie mnóstwo rogów jelenich i ogonów głuszców i cietrzewi robi nieco niesamowite wrażenie. Wszystko zachowane

³⁰ František Langer (1888–1965), dramaturg, poeta i lekarz.

z czasów sprzed tamtej wojny. Przepych niebywały: stare meble, inkrustowane szafy i sekretarze, dywany, makaty, arrasy, mnóstwo porcelany, tony zbroi, tarcz, strzelb, halabard itd. W jednym z pokoi w gablotce leży pieczołowicie przechowane bielizna i ubranie Ferdynanda i Hrabiny Hotek³¹, w których spali w Sarajewie. Trochę dziwnie jest oglądać poplamione krwią kalessony. Od nich zaczęła się pierwsza wojna. Obok koszula, szelki, rękawiczki. Po drugiej stronie gabloty rzeczy żony następcy tronu, hrabiny Hotek: przedziurawiony kulą gorset, biała suknia z poślódkami koronkami i ogromny biały kołnierz z czarnymi strusimi piórami, kaftan, który pamiętam z dzieciństwa z fotografii przedstawiających małżonków na chwilę przed zamachem. Z okien widok niezwykle romantyczny: pokryte chmurami wzgórza, w dole niebieskie jezioro. Czesi szanują swoją historię i okazują niezwykle pietyzm dla wszystkich pamiątek. W Kościele w Kutnej Horze modli się na witrażu stary Franz Joseph. Nikomu to nie przeszkadza. Niczego się nie niszczy i niczego się nie odrzuca.

Dalszym etapem Tabor, stare miasto husyckie z XIV-ego wieku, gniazdo husycyzmu [sic] i siedziba Jana Žižki³². Powitanie na Ratuszu, obiad. Każdy obiad składa się z zupy, ryby, dwóch mięs, deseru, czarnej kawy. Pozatym [sic] wino białe i czerwone, piwo, czasem jeszcze wódka i likiery. Jemy ponad ludzką miarę. Cóż byś powiedziała, gdyby ci po karpiu w galarecie i gęsi podano sznycel? Ale znosimy to. Ja mam tylko katar. Nałkowska nie może chodzić po schodach. Deszcz. Wiktor tylko notuje. Tak jest zajęty zapisywaniem wszystkich drobiazgów, że gdy my z Przybosiem całkiem już rozumiemy czeski język, on jest [nieczytelne] bez reszty. To szlachetny człowiek, ale ratunek [?] niedobry. Ostatnia woda po żeromszczynie. Niech mu będzie. Tabor przepiękny. Wszędzie uliczki brukowane kamieniami, stare mury, w dole rzeka. Zwiedzamy miasteczko i muzeum husyckie w pośpiechu. Mamy już parę godzin spóźnienia. Na ulicach ciągle nas fotografują reporterzy. To taki jeden z zachwyków naszej podróży.

Następny etap zamek Szwarzenbergów w Chluboce³³. Szwarzenbergowie mieli do ostatka ponad 100 tysięcy hektarów majątku: zamki, miasteczka, stawy, lony [?], fabryki – całe państwo. Teraz jest to wszystko pod zarządem państwa, ale ostatni

³¹ Zofia von Chotek, Zofia von Hohenberg (1868–1914), od 1900 żona arcyksięcia Ferdynanda.

³² Jan Žižka (1360–1424), czeski bohater narodowy z okresu wojen husyckich.

³³ Właściwie Hluboka.

Szwarcenberg, zresztą zczeczizowany, ma wrócić z Ameryki i objąć zarząd. Tak tu jest. Gdy przyjeżdżamy do wawieszonego [zawieszonego?] na górze zamku, zapada już zmrok. Jesteśmy trochę zaniepokojeni dziwnym wyglądem tego ogromnego zamczyska. Coś nam przypomina. Rzeczywiście okazuje się, że na miejsce starego zamku Rosenbergów wybudowała go w latach 1830–1865 na wzór zamku Windsorskiego w Anglii jedna ze Szwarcenbergów, Eleonora, z domu Lichtenstein. Jej portrety ujrzymy w innych jeszcze zamkach. Kustosz zamku, w najlepszym jest wieku [?] sługa księżęcy, powiada że gdyby ta Eleonora żyła dłużej, to Szwarcenbergowie bardzo by schudli [?]. Budowała kościoły, zamki, pałace. Tu w Chluboce rzeczywiście bogactwo zupełnie niewiarygodne. Znać duży smak. Tylko zbyt wiele rzeźb w obudowie [?]. Całe ściany są wyłożone drewnem. Przyboś powiada, że mu się włosy [?] zaczynają kręcić od patrzenia. Sala za salą i jedna od drugiej z większym przepychem urządzona. My wobec tych czeskich skarbów jesteśmy nędzarzami. Wiktor cierpi przy każdej renesansowej weneckiej szafie (machoń [sic] układany kością słoniową) i przy każdym talerzu.

Do druku podał i opracował
Piotr Sobolczyk

Komentarz edytorski do *Dziennika czechosłowackiego*

Nazwa *Dziennik czechosłowacki* nie pochodzi od Andrzejewskiego – nadałem ją przez analogię do bloku listów pisarza do żony Marii słanych w trakcie kilku-miesięcznego pobytu w Paryżu (1959–1960) i decyzją pisarza przeznaczonych do publikacji pośmiertnej pod tytułem *Dziennik paryski*. W wypadku listów z Czechosłowacji mamy sytuację podobną, choć oczywiście listów jest mniej, jako że był to pobyt miesięczny. W istocie są to dwa długie listy, pisane przez kilka dni (z wyraźnym zaznaczeniem) każdy. Aby uniknąć nazbyt długiej drogi pocztą, pisarz starał się przekazać listy, kiedy ktoś znajomy jechał do Polski, stąd „diarystyczna” kumulacja. Pierwszy list pisany jest na papierze hotelowym (Hotel Alcron w Pradze) i rozpoczyna się 8 października we wtorek, a kończy zapisem z poniedziałku 14 października. Drugi pisany jest na innym papierze, na czterech czystych kartach A4, przy czym dwie pierwsze zapisane są innym narzędziem (długopis?) i mniej wyraźne, a dwie kolejne piórem; rozpoczyna się on we wtorek 15 października, a kończy, jeśli dobrze szacuję, 2 listopada w sobotę. Jak wynika z jednego z zaskakująco niewielu zwrotów do adresatki – „Wybacz, kochanie, ale opisy pozostawię dla »Przekroju«” – najpewniej albo redakcja „Przekroju”, wiedząc, że członkiem polskiej delegacji ma być Andrzejewski, zwróciła się do niego z propozycją napisania „korespondencji”, albo też zaproponował to sam pisarz, a Maria także musiała o tym wiedzieć. W istocie najpewniej pisarz w Czechosłowacji prowadził jakieś notatki do artykułów prasowych, choć nie można wykluczyć, że opierał się na swojej pamięci, tej jednak nie oceniał zbyt wysoko, o czym świadczy zapis w „tajnym dzienniku” z 15 września 1946 na marginesie planowanej powieści, czyli oczywiście tego, co ostatecznie stało się *Popiołem i diamentem*: „Pamięć kury. Moja pamięć nigdy nie była specjalnie sprawna. Pamiętałem to jedynie, co mnie zainteresowało. W ostatnich latach jeszcze osłabła. Jestem roztargniony, nieuważny, nie potrafię zapamiętywać szczegółów, ludzkich twarzy, charakterystycznych ruchów i akcentów głosu”. Jeśli więc notatki takie powstały, a należy przyjąć, że dużo rzeczy, które pisarz czuł się w obowiązku opisać w oficjalnym tekście prasowym mogło mało go interesować – to najpewniej się nie zachowały. Wydaje się jednak, że mógł i listy do żony traktować jako potencjalne „materiały” do wykorzystania po powrocie. Tu oczywiście należy dodać, że w listach przypuszczalnie ograniczał się do tego,

co faktycznie go interesowało jako osobę prywatną i pisarza, nie jego publiczną Personę Pisarską. Oficjalna korespondencja prasowa Andrzejewskiego ukazała się w dwóch odcinkach jako: *Miesiąc w Czechosłowacji*, „Przekrój” 1946, nr 85 (z 24 listopada) oraz kontynuacja pod tytułem *Czechy, Morawy, Słowacja*, „Przekrój” 1946, nr 86 (z 1 grudnia). Trudno na tej podstawie stwierdzić, czy przynajmniej pierwszą korespondencję Andrzejewski przesłał jeszcze z Czechosłowacji pocztą (bądź przekazał przez kogoś), a więc czy powstała ona jeszcze w Czechosłowacji, czy też zrobił to już w kraju. Pierwszy z tekstów prasowych bowiem w niewielkim stopniu pokrywa się z zawartością listów, jest sztywny i oficjalny, faktograficzny i deklaracyjny zarazem. Drugi z nich natomiast w kilku miejscach pokrywa się z doświadczeniami opisanymi w listach, choć ujmuje je w sposób odmienny (śledzenie tych różnic zresztą może być płodne badawczo). Krótko mówiąc, jeśli przyjąć hipotezę, że w jakiejś części korespondencja prasowa Andrzejewskiego była opracowywana na podstawie listów, to najpewniej dotyczy to odcinka drugiego, z grudnia.

Cały blok korespondencji Andrzejewskiego do żony znajdował się w posiadaniu córki, Agnieszki Andrzejewskiej (1946–2021). Jego kopia jest w posiadaniu Anny Synoradzkiej, której najserdeczniej dziękuję za udostępnienie mi jej do przepisania i opracowania. Dziękuję Štěpánowi Poízkowi za konsultacje szczegółów z historii dyplomacji czechosłowackiej oraz topograficznych.

Piotr Sobolczyk



Wnętrze pokoju Jerzego Andrzejewskiego

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Materia Miazgi

Otwiera zapis *Dziennika* z 7.3.1970, a więc pod znakiem dziewiątki (suma sumy liczb). Na dworze zimowa pogoda, wewnątrz stan uśpienia, zaniku, matni i pragnienie zmiany. Czyta w „Polityce” relację z procesu tak zwanych taterników, o ich związkach z Giedroyciem, Instytutem Literackim i „Kulturą”, opisuje wrażenia z lektur, są to książki historyczne (próba umknienia od rzeczywistości, ale fragmenty diagnozująco odnoszą się do niej), powieści, opowiadania, eseje. Na kanwie *Dziennika* Gide’a notuje: „Jestem ulepiony z samych nieomal sprzeczności, wszystkim moim skazom i cnotom towarzyszą ich przeciwieństwa, pozostawiony samemu sobie nie potrafię korzystać z bodźców jednolitych, zdany jestem na nieustanne ścieranie się elementów sprzecznych i zawsze tak się ze mną działo i dzieje nadal, że skoro żywioł istnienia stygnie wokół mnie – samotna gra przeciwieństw mojej natury pogrąża mnie w obezwładniającą inercję, w stan martwej wegetacji”.

Realia i konteksty, i artyzm. Zapisy o totalitaryzmie i deformacjach niewoli, o wolności wyboru, niepodległości duchowej jednostki i duchowym mechanizmie dzieła, własnych skazach i błędach, słabości, samotności, martwych tygodniach i miesiącach, depresji i dumie, która nie pozwala iść na dno i sprawia, że dalej ciągnie pisarską pracę. Tak to się układa: dziennik i opowieść, splót rzeczywistości, fikcji i gry. Między jednym a drugim, pozbawiony sprzyjającego mu ducha, jednak nie daje za wygraną, w napięciu i zagrożeniu, jak w pułapce.

Początki *Miazgi* to styczeń 1963. Jednym z pierwszych tytułów był *Portret* i inny plan fabuły. W 1966 ukazał się w „Twórczości” obszerny fragment poprzedzony wyjaśnieniem autora o nowej zasadzie kompozycyjnej i planie całości, która miała składać się z trzech części: „Przygotowania”, „Prologu” i „Consummatum est”, przy czym Część I miała być napisana w czasie przyszłym, przeważnie w trybie warun-

kowym: „Odwołuję się zatem do sytuacji o tyle ryzykownych, iż tylko prawdopodobnych, bowiem nie sprawdzonych, niestety, w rzeczywistości, która w częściach następnych, przede wszystkim w III, ułoży się całkiem odmiennie od wszelkich zamierzeń i projektów. Krótko mówiąc: do ślubu Konrada Kellera z Moniką Panek nie dojdzie, przyjęcie weselne w Jabłonninie się nie odbędzie”.

Mówi o warstwie dokumentarnej i jej charakterze historycznym, a więc w pewnym sensie obcości, o pięknie artyzmu i sile przeżyć postaci, konfliktach, obrazach, doświadczeniach własnych i predestynacji. Umieszcza zarysy brakujących, niedokończonych lub zamierzonych scen i szkice postaci.

Czas i miejsce akcji to pierwotnie 19.4.1969 i noc z 19 na 20 w Warszawie i w Jabłonninie. Zmarł właśnie w tych dniach, na ich przełomie, w 1983 roku, w swoim pokoju, oparty w pozycji klęczącej o łóżko, naprzeciw ściany z książkami. Z „Przygotowania” fragment prozy Adama Nagórskiego, jego *porte-parole*: „Mówi Orfeusz: więc stojąc przed murem, który nie istnieje dla świata, ponieważ mnie przydzielony, we mnie tylko i bez trzech sprawdzalnych wymiarów istnieje, stojąc zatem przed murem nie-rzeczywistym, lecz dla mnie jak najbardziej prawdziwym, stojąc, a raczej klęcząc, aby przydać obrzędowego charakteru tej mojej skardze, skardze mego trenu dla Eurydyki, klęcząc zatem liturgicznie u podnóża mego muru, ściany mego życia, wiem, że kiedy poprzedzone stygnięciem powietrza spełzną z niej, z tej ściany mego życia, ostatnie poblaski zachodzącego słońca – przyjdą Furie, zwane za czasów mego dzieciństwa Bachantkami lub Menadami, przyjdą i rozszarpią mnie. Nie wiem dokładnie, kiedy to się stanie, za sekundę, godzinę, miesiąc czy rok. Czas, jaki mi pozostał, nie zależy ode mnie. Korzystam z niego, lecz nad nim nie panuję. Wiem tyle tylko, że w pewnym, niewiadomym momencie, gdy poprzedzone powolnym stygnięciem powietrza ostatnie poblaski zachodzącego słońca spełzną z muru, u którego niewidzialnego podnóża klęczę, aby przydać obrzędowego charakteru tej mojej skardze, skardze mego trenu dla Eurydyki, przyjdą Furie i rozszarpią mnie. To się stanie gdziekolwiek [...], a najpewniej w scenerii bardzo zwykłej, więc po prostu w moim pokoju, teraz pustym, niegdyś pełnym Eurydyki”.

Otwarcie i zamknięcie, a także: zamknięcie i otwarcie, w związku z sobą, jakby w jednym paśmie. Określanie się i kształtowanie w działaniu, w konkretnych scenach i sytuacjach, także wziętych z literatury. A niekiedy mgła, „pływanie”, role

i kostiumy jakby nie z tej rzeczywistości, rojenia, urojenia i majaki, bez realizacji. Rzeczywistość miazgi: coś chce, nie wie, czego chce, coś zamierza, planuje, nie robi tego lub tylko zaczyna i zostawia w jakimś większym lub mniejszym zaczątku. Nie wiadomo, czy to dzieje się, czy tylko mogłoby lub będzie się dziać, przebiegając w kapryśnych zwrotach, nie docieczeniach, niedokończeniach, porzuceniach.

Dialogi w większości są jakby sztuczne, na granicy życia i literatury, dopasowane lub próbujące się dopasować do poszczególnych sytuacji, naciągnięte lub niedociągnięte, a nawet jakby manieryczne, nienaturalnie odtworzone, parodystyczne, przemieszane, zróżnicowane językowo, ale zbijające się w jedną magmę, poza wyróżniającymi się osobistymi lub artystycznymi fragmentami. Wszyscy, tak dygnitarze partyjni jak i stołeczni artyści, dziennikarze, intelektualisci, starzy, w średnim wieku i młodzi są – krzywi, zgięci, kalecy (greckie *kamptos*). Rozwija się jakby sam z siebie motyw trującego i rozkładającego kłamstwa działającego w pojedynczych ludziach, ich związkach, a także życiu publicznym i społeczeństwie. Przywołuje Goethego: „pod naszym moralnym i politycznym światem ciągną się podziemne korytarze, piwnice i kloaki”.

Bezilności obywatelskiej przeciwstawia żywotność towarzyską i połączoną z nią żywotność twórczą, artystyczną. Pojawiają się wyznania, które potem nigdy nie zostają wypowiedziane oraz wątki, z których jednak definitywnie rezygnuje. Rysuje się ówczesna, ale przecież nie tylko ówczesna rzeczywistość polska: „Tu wszyscy są chorzy, jedni na cynizm, tępą głupotę albo po prostu na nikczemność, a inni dali się zrobić, pozwolili, żeby im spreparowano pokraczne garby, żalosne grymasy, wykrzywione ryje, tu się w cztery oczy bełkocze albo skomli, drwi, szydzi, plotkuje i obmawia, zgnojone uciechy lokai i niewolników, śmichy-chichy kastratów, to jest nasza polska szczerłość, odwaga, fantazja i ukochanie swobody, ale za to sprawnie i bezwstydnie zaczyna się kłamać, gdy liczba oczu i uszu wzrasta, tu już nie ma żadnych konfliktów, żadnej zadry w brzuchu, kiedy się kłamie i co innego myśli na użytek własny, i co innego publicznie deklaruje”. Wyjaśnia, że aby całkiem nie stracić twarzy, trzeba skrywać się za maski i grymasy.

Przed nim, przed nimi są zawile labirynty czasu przyszłego niedokonanego, po których można błędzić w nieskończoność i plątać się w tym nieokreślonym paśmie wśród imaginacji, przypuszczeń i ciekawości bez możliwości na sensowne skończe-

nie. Może dobre są dla ludzi pozbawionych nadziei, wiary i miłości innej od tej, która jest jedynie drażnieniem ektodermy, lecz na pewno nie dla tych, którzy czują i przeżywają coś więcej. „W miazdze, jaką jest publiczne życie w Polsce, pełno duchów i zjaw, strzyg równie bezkształtnych i anonimowych, jak ONI, którymi zasłaniają się nieraz w niezręcznych dla siebie sytuacjach nawet ministrowie. Wszechobecne działanie magii, zaczarowani ludzie, zaczarowany świat”. Tak kończy się „Przygotowanie”.

W „Prologu”, w niedatowanym pierwszym zapisie *Dziennika* stwierdza: „Wbrew moim ciągłom do ładu kompozycji zamkniętych muszę wciąż wiedzieć i pamiętać, że rzeczywistość Miazgi jest ze wszystkich stron otwarta, a od wewnątrz miazgowata, więc w pewnym sensie niewydolna i niewykończona. Wydaje mi się, że większość rozlicznych trudności oraz zahamowań, tak mi dokuczających w ciągu ostatnich lat, właśnie z tych sprzeczności mej natury wyrasta, bowiem tylko miłośników ładu i konstrukcji nieudanych (nieudanych, nie zawiedzionych) rzeczywiście kuszą gęstsze chaosu i niespełnienia. [...] Od lat dość wielu nawet nie tęsknię za ładem. Coś z dążeń dawnych z pewnością nadal we mnie żyje, mogę im niekiedy ulegać, mogą mnie niekiedy zwodzić, lecz nic więcej, ponieważ ani w samym sobie, ani w świecie nie mogę (nie umiem?) dojrzeć nawet słabych śladów konstrukcji pozwalającej mniemać, iż dostępny mojemu zrozumieniu ład ja przenika i kształtuje. Im staję się starszy – tym mniej wiem i rozumiem, natomiast coraz tłumniej otaczają mnie znaki zapytań, na które nie znajduję odpowiedzi. Przestrzenie pełne cieni i ech, obumarłe plamy i gęstniejące zacieki, wszystko w bezkształtnej, bo wciąż się zmieniającej kipieli. Nie! To wyznanie nie jest wyznaniem kapitulacji i klęski”. O czym w istocie tu mówi? – to znaczy: o czym i o czym jeszcze?

Pojawiają się zwroty: lepszycze i prawo mimikry, rozważa działanie konieczności oraz nieskończonej ilości przyczyn układających wszystko w nieomal dowolny sposób i niekoniecznie wywołujących tylko jeden efekt końcowy, wspomina o przypadku i zaciekawia go element improwizacji w kształtowaniu się rzeczywistości.

Wiele stron jest jak puste przebiegi i ciekawią mnie w nich głównie szczeliny, pęknięcia, dziury, prześwity, światłocienie, ściemnienia i niejasności. Wyostrza się, gdy mówi na przykład o natręctwie, skrupułałach mających charakter wątpliwości artystycznej czy politycznego lęku, ryzykownej sferze wspomnień i podejrzeń, twórczej swobodzie i suwerenności, materii, która daje poczucie bezradności i sparaliżowa-

nia, bezsilności wobec scen i epizodów, także postaci i przemienia się w bezsilność o charakterze szerszym i ogólniejszym, uniemożliwiając kontynuowanie pisania. I otwierająca myśl: „Literatura zawsze miała i nadal ma, jakby była w pewnych zakresach na życie uodporniona i zarażała się tylko w zetknięciach z własnym gatunkiem, posiada zatem literatura pewną szczególną tendencję, aby stwarzać i powielać nie tyle egzystencję autentyczną, lecz pewien jej model”. Ważne, z jakiego kierunku i z jakich wzorów się czerpie, co i jak się wykorzystuje, a co nie.

Czy kształtująca się lub już ukształtowana forma miazgi, w którą włożyć można wszystko, kusząca dobroczynnym luzem i możliwościami, pochodzi z dobrej czy złej inspiracji? Jakie duchy są lub mogą być w niej czynne?

Jedność tego, co różnorodne. Wyobraźnia i rozum, fantazja i realizm. Ich działanie w jednej formie, jakkolwiek by nie była rozbita i niespójna. Czy działające w tak zdekonstruowanej formie postaci, łącznie z narratorem i autorem *Dziennika*, mogą być podmiotami swoich poczynań, czy są tylko pacynkami, którymi ktoś kieruje? Z kim lub z czym się utożsamiają? Jaki jest ich poziom intelektualny i moralny, jaki duch i inteligencja? Co w tym świecie jest rzeczywiste? Na pewno nie wszystko. Ale czy można powiedzieć, że ważne w nim są tylko pozory? I jakie możliwości tkwią w nim i kształtowanych przez niego ludziach?

Przecież nie mamy do czynienia z chaosem nieporządku i zanikaniem formy, utratą tożsamości postaci, choć niekiedy zachowują się i postępują dziwnie, nieoczekiwane. Przyjmujemy, że miazga to forma bardziej określona niż nieokreślona, czy w ogóle bezformie. Jest to tym bardziej ważne, gdyż forma jest, w przeciwieństwie do materii, elementem ludzkiego ducha, w który się przyobleka i którym się wypełnia. Jak razem mogłyby w jej ramach zagrać dialektyka i metafizyka, jak sobie zaprzeczyć lub jak się uzupełnić, stwarzając nową jakość?

Obserwujemy, jak rozpada się to, co w tej powieści istnieje, jak ograniczone czy wręcz wynaturzone są występujące w niej postaci i w efekcie jak rozbita jest ona sama. Widać to w poszczególnych częściach, fragmentach, sekwencjach, a nawet pojedynczych zdaniach, w języku.

Rozpad, a więc coś pomiędzy bytem i niebytem. Rozpadająca się rzeczywistość i zblokowani z nią, przecież nieźle urządzeni w tym systemie w porównaniu

z innymi, członkowie tej pozał się Boże elity i połączeni z nimi kontestatorzy. Jasne, że są w tym dobre i złe możliwości, ale umieszczone razem w tym, co można nazwać złem, dominującym i panującym, ściśle związanym z sytuacją geopolityczną.

Nie jest to jednak rozpad przedstawiony jako początek czegoś nowego, jakiejś nowej drogi, nowego życia. To dyktat i niewola, i właściwie niemożność wyjścia z tej sytuacji, na długie lata. Materia i działający w niej duch. Ale czy coś tak zorganizowanego może wysnuć z siebie jakąś nadzieję, wiarę, akceptację? I jak to ma się objawić? W sztuce? Przez ideologię? A może przez wiarę, która w tych kręgach jakby w ogóle była nieobecna?

Narrator raz po raz przytacza kontekst historyczny, robi aluzje, próbuje mówić wprost, krąży wokół, stosuje ironię, komizm, groteskę, sarkazm, jest tragiczny i tragicomiczny, obchodzi cenzurę i autocenzurę lub próbuje je obchodzić, płacąc jednak wielką cenę, okropnie siebie osłabiając i niszcząc. Chce przejść z istniejącego, tego co jest, w istniejące to, co ma być, z jednego w drugie, ale przecież nic z tego nie wyjdzie i nie wyniknie bez udziału ducha, który niewiele ma wspólnego z tym, w czym on tkwi.

Można przyjąć, że jest to opis rozpadu złego, jego niszczenia i samozniszczenia, ale gdzie w tym świecie przedstawionym jest wizja, czy choćby tylko początek czegoś nowego, przeciwnego? Martwa materia i forma, w której ona działa. Prawo i bezprawie lub antyprawo. Demokracja, wolność i zniewolenie, niewola. Moralność, oddzielenie dobra i zła i niemoralność, zgorzenie i zepsucie. Jakie może być między tymi punktami zestrojenie lub choćby jakieś luźne powinowactwo? Kręcą się w chocholim tańcu? Jadą na diabelskim młynie?

A może jest to słabnięcie, które przeistoczy się, czy już się przeistacza w ożywienie i wzrost, które mają nastąpić? Jakiś dziwny związek tego, co się kończy i tego, co się zaczyna, w bardzo ogólnym zarysie, bo nawet nie wiadomo, co ma się zacząć, co i jak, nawet gdybyśmy to bardzo ogólnie zidealizowali.

Są znaki, oczekiwania, nadzieje, ale jaki działa w tym duch? Na czym lub na kim można oprzeć pragnienie, że oto z tego co złe i stare rodzi się coś nowego i dobrego lub choćby tylko jakby nowego i dobrego? Materializuje się i uduchowia czy dematerializuje się i traci ducha? Drobinę nowego przenikają i rozkładają to, co

jest, może to przynajmniej jest widoczne? W pojedynczych postaciach, epizodach, scenach, zapisach. Na pewno gdzieś to jest, ale tylko podskórne, zasygnalizowane czy zasugerowane, w jakimś nowym złączeniu, a może nowym rozłączeniu, energii, przepływy, przemiany, kombinacje, przeobrażenia, maskowanie, gra, symulacja, odwracanie kota ogonem. Na pewno wiele dzieje się w języku narratora, w zapisach *Dziennika* i jego próbach, szczególnie jeśli rozpatruje się to na tle ówczesnego języka, w różnych jego odmianach. Jakby *ja* zmieniał się w nie ja i inne ja, chociaż nie wiadomo jeszcze jakie.

W zawiłym i mętным szkicu Antka Raszewskiego o Nagórskim widać, jak wikła się w na wyrost zapełnianej pustce, i tak bez możliwości wyjścia z niej, bo nie ma daru wiary. I to także, a nie kolejne historie jego namiętności, jest „wieczną raną Nagórskiego” – zaklinowanie w świecie bez *sacrum*, z czego nie zdaje sprawy jego nieszcześny adorator. Bez nadziei mogą być tylko „zaklęcia kuglarza”, jakieś „sny o potędze”, bardziej lub mniej udane zapisy, gra i nic lub niewiele więcej, ciemne przestrzenie, czarne zygzaki, noc. „Krótco można wierzyć w siebie, jeśli nie wierzy się w nic poza sobą” – to w opowieści Nagórskiego myśl Leonarda, który czeka na tę główną metamorfozę, będącą jego ostatnią nadzieją i swego rodzaju memento, także przestrogą dla innych, a w zakończeniu mówi, że „nawet śmierć może być nadzieją”. To nie tyle zapis komplikacji, co raczej niemożności, bo jeden i drugi, pisarz i jego wielbiciel, nie mogą wyjść ze swoich pułapek, w których są zatrzęsnięci.

Obok, w *Dzienniku*, mowa jest o warszawskich nocnych barach, restauracjach i kawiarniach, między innymi SPATiF-ie, Domu Literatury, Bristolu, Kameralnej czy Europejskim, są rozważania o nacjonalizmach i dążeniach do ujednolicenia życia ludzi, o cenzorze wewnętrznym, cenzurze oficjalnej i suwerenności twórczej, o pustym gąszczu Części III, poprawianiu wcześniejszych wersji i w związku z lekturą monografii o Lutrze – pokucie i metanoi.

Wraca do uwag o formie *Miazgi*, która w kształcie fragmentów i niedokończenia nie będzie niespełnieniem, ale „ukończonym niedokończeniem” jak „bryła kamienia z grubsza tylko ociosanego, gdy z jego bezkształtnego ciężaru zaledwie surowe zarysy projektowanej rzeźby się wyłaniają”. Mistrzem dzieł niedokończonych był Leonardo. W końcówce tej Części rekapitułuje: „Kapitulacja i rezygnacja – tak, jednak w tym wypadku nie wobec dzieła, lecz wobec materii, z której dzieło powstaje.

Więc pokusa niedokończenia, wynikająca nie z niemożności skończenia, lecz z uświadomienia sobie, że w stosunku do materii skończenie dzieła jest także niedokończeniem, więc po co udawać? W imię czego sugerować i sobie samemu, i czytelnikom, iż kończąc utwór wedle obowiązujących prawideł artystycznych osiągam więcej niż prezentując go w kształcie niewykończonej miazgi". I wyjaśnia, że przystępując przed dwoma miesiącami do pisania *Dziennika* nie przypuszczał, że „notatki i uwagi, podjęte w intencji uporządkowania tekstu *Miazgi*, aby przez to uporządkowanie doprowadzić go do wersji ostatecznie wykończonej, niebawem zachłannie w ów tekst wtargną, stając się czymś w rodzaju konia trojańskiego, coraz natarczywiej rozbijającego mit wykończenia”.

A więc raz jeszcze *Dziennik*, jego zadanie i rola w powieści i jakby obok niej, na zewnątrz. W trzynomowej powielaczowej edycji Niezależnej Oficyny Wydawniczej „Nowa” napisał: „Krzysztofowi / też swego rodzaju Grę z cieniem. J. A. / Warszawa, 9.1.1980”. To znak, że łączył *Miazgę* i *Grę z cieniem*, którą trzeba rozpatrywać z poprzedzającymi ją tomami *Z dnia na dzień*.

Publikowane z odcinka na odcinek w tygodniku „Literatura” od listopada 1972 roku. Jest to zapis osobisty, historia własna przenikająca się, a nawet przemieszana z sekwencjami fikcji, kreacji i autokreacji rozdwojonego czy roztrojonego narratora. Widzimy przenikanie i plątanie się wątków i motywów, widać, jak działają żywioły destrukcyjne, luzy improwizacyjne i tworzą się napięcia między chaosem, selekcją i porządkiem. JA występuje jako skromny $\sqrt{JA}$ i ON w charakterze JA^2 , to gra wynikająca z wewnętrznej potrzeby. W centrum wydarzeń jest ON, autor i narrator oraz to, co pisze o literaturze, historii, polityce, moralności, muzyce i życiu. Od razu na początku mówi o jałowej miazdze i chwilach olśnienia. Widzimy, jak przegadywanie osłabia, a niedopowiedzenie wzmacnia tok. Mówi, że pociąga go i nęci zapis na kształt staropolskich raptularzy, „żeby bez wstydliwych i tchórzliwych oporów, z pełnego wewnętrznego luzu korzystając, móc wszystko wrzucić do jednego worka, niech się to wszystko: z różnych części ciała zrodzone, własne, lecz i obce, moje i nie moje, wysokie w jasnościach i pokątnie mroczne i niemrawe, niech się to wszystko splącze, wymiesza i zagęści, niechby tym polskim raptularzem u schyłku dwudziestego wieku nie rządził żaden z góry zaplanowany porządek i żaden cel końcowy, niechby się to musiało stać, aby dać świadectwo prawdzie i kłam-

stwu oraz ich dwuznacznym i mglistym pograniczom”. Dziwne to i jednocześnie pociągające, otwarte i obiecujące, jak przygoda.

Czytałem ten *Dziennik* z uwagą i przejęciem, prowadzony śladem jego lektur, myśli, spostrzeżeń i odczuć, które dawały mi wiele pożytku, pogłębiając i rozszerzając pole widzenia i pokazując dojście do rzeczy nowych w tej szarej zaklinowanej peerelowskiej rzeczywistości.

W 1973 zaczął pisanie powieści *Sto lat temu i teraz*. Na początku następnego roku notuje: „zawsze marzyłem o zdaniach krótkich i zwięzłych jak pocisk wprawiony w ruch pewną ręką i podobnie, jak on, prosto zmierzający do celu” i dodaje, że ma za wiele słów, nadmiar, który go dusi, męczy i prowadzi donikąd, ale jest pisarzem, musi więc pisać, dwoić się i troić, zaprzeczać i potwierdzać, posuwać się do przodu, nawet gdy stoi w miejscu i nie ma ani możliwości, ani nadziei, że się ruszy, co widać też i w tej powieści: „Wtedy wstręt do pisania. Ciasno. Duszno. Obrzydliwie. Wstyd za własne słowa, że niepełne i niepełnym głosem wypowiedane. Wstyd za krzyk, który brzmi jak skrzek. Wstyd za wszystko. Wstręt, a pod jego ciemną powierzchnią ciemna pogarda”. Nie widzi żadnych korzyści z kontynuowania wątku rozdwojenia na JA^2 i $\sqrt{JA}$ i kończy tę grę. Który inny pisarz pisał wtedy w ten sposób? – w tym stopniu prawdy i komplikacji.

Mówi, że odchodzi od form klasycznie wykończonych, gładko wypolerowanych i coraz bardziej interesuje go forma podobna „pękniętym głazom lub rozprężona i rozmamłana, jak gniotek zakalcowata, zamulona, bezwstydnie obnażająca naszą pokraczną naturę, pokraczną nie tylko, nie wyłącznie, bo też na swój sposób wspinała i wzniosła, mimo surowych ograniczeń...”. Przypominają się *Otwornice* Szymborskiej. A więc forma bliska improwizacji czy muzycznym utworom aleatorycznym, o których tak ciekawie mówi ich kompozytor Lutosławski (siedziałem też i tym tropem), nie narzucanie swojej wizji, ale proponowanie jej czy sugerowanie, co z jednej strony jest wspinałe, dające wielkie możliwości, ale z drugiej – groźne i niebezpieczne. Postępuje ostrożnie i czujnie. Zaznacza, że to nie notatki, ale fragmenty notatek, nie szkic, ale notatki do szkicu, nie opowiadanie, ale szkic opowiadania (jak np. *Ciemna gwiazda*), czy świadomie postrzępiona powieść *Sto lat temu i teraz*, pozostająca w kształcie „nie dokończonej, szczątkowej bryły, rozbudowanej u podstawy i nagle ściętej”. Czy taka jest też *Miazga*? Notatki mogą być

pełne i niepełne, zawężone i szerokie, żywe, natchnione i ospałe, jakby martwe, z wigorem i bez wigoru, z iskrami i bez iskier. Sprawdza, bada, próbuje. Przywołuje z *Effi Briest* Fontanego, że „w ogóle nie da się żyć bez konstrukcji pomocniczych”, ale zaznacza, że w chaosie te „konstrukcje pomocnicze” zamazują się i zanikają. Szkic jest więc pośrodku, między chaosem a formą i trzeba ten balans utrzymywać wśród działających sił od- i do-środkowych. Cytując uwagi Manna o krótkich opowiadaniach Czechowa, raz jeszcze podkreśla znaczenie zwięzłości: „Czułem pewne lekceważenie dla tego rodzaju twórczości, nie zdając sobie sprawy, jakie wewnętrzne rozmiary uzyskuje dzięki geniuszowi krótkość i zwięzłość, a jakiej – najbardziej może zasługującej na podziw – kondensacji potrafi zmieścić całą pełnię życia, wznosząc się niewątpliwie na wyżyny epiki, a pod względem artystycznej intensywności będąc nawet w stanie prześcignąć rzeczy wielkie, utwory-olbrzymy, które w nieunikniony sposób często ulegają zmęczeniu i dostojnej nudzie”. Mówi, jak ważny jest w pisaniu początek i koniec, że wszystko to, co rozgrywa się w środku, jest ważne właśnie ze względu na początek i koniec i widzimy to także w *Miazdze*. Rozpoczyna się pod znakiem złej pogody, słabości, zmęczenia, smutku, niemocy i wewnętrznej wegetacji, doskwierającej rzeczywistości, prób szukania ucieczki od niej oraz małej nadziei, że z wiosną przyjdzie odmiana. Zobaczymy, jak będzie na końcu, na razie jesteśmy w środku, w podobnej sytuacji i stanie ducha jak na początku.

Krytykuje Becketta, ale obok zapisuje: „Mój język mi nie wystarcza. Nie, nie styl, moja językowa możność mi nie wystarcza. Wypowiadam się. Więc jestem? Może. Lecz też i nic nie wiem, co poza moim językowym ograniczeniem, chciałaby wypowiedzieć cała reszta mojej osobowości, właśnie ta, której wyrazić i nazwać nie potrafię. / Piszę, mówię, porozumiewam się z ludźmi (choć przychodzi mi to coraz trudniej) – i to jestem ja – lecz jednocześnie zdaję sobie sprawę (choć nie zawsze), że to jestem ja i nie ja, tak nie ja, jakbym się składał z warstw cieni. Mówię. Lecz który z moich cieni mówi? I co by mogło zostać powiedziane przez t o, co – być może – błądzi pomiędzy cieniami – warstwami? Moja mowa – mowa cienia? Uciekłem? A skoro zabłądziłem rzeczywiście, to zabłądziłem: dlaczego i gdzie?”. Intuicja? Głosy świadomości i podświadomości, a może ducha, serca i sumienia? Mówi o czarnym horyzoncie, ciemnej przepaści i czasie, „kiedy rozmowy zaczyna się prowadzić przede wszystkim z samym sobą, samemu sobie zadaje się pytania

i we wnętrzu samego siebie szuka się odpowiedzi, ku sobie słuch jest nachylony, i – wbrew pozorom – to nie jest samotność, ponieważ człowiek, który rozmawia ze sobą, nigdy nie bywa samotny, samotność zaczyna się dopiero wówczas, gdy gasną pytania, mrok zatem również ogarnia odpowiedzi, milczenie tylko pozostaje”. To głos z większej głębi, przypominający tok Becketta, z wnętrza, które nie jest martwe.

Materia w rozbiciu, fragmenty notatek. Czy jest to materia imaginacyjna? Staram się w miarę prosto zmierzać do celu. Ale czy mi się to udaje? Czy w ogóle jest możliwe? Zobaczmy.

Mówi, że współczesnego świata i człowieka nie da się wiernie przedstawić za pomocą starych form, że „właśnie w niedokończeniu, w chaosie i w poddaniu się (świadomym) nagłym zawieszeniom oddać można dominującą tonacją naszych czasów bliższych kipieli metali aniżeli wykończonego odlewu pomnika lub monumentu”. Tak więc – formy niewykończone, nieuporządkowane artystycznymi regułami. Opisuje ich bezkształtność i pierwotność, szczególny stan rozrzedzenia, a może właśnie zagęszczenia i porównuje je do stawania się, jakby były poprzedzeniem dnia stworzenia. Tęsknoty? Pragnienia? Marzenia? A może potrzeba i konieczność wypływające z prawdy, doświadczenia jej w sobie i swoim życiu, w refleksach pamięci, snach, na jawie i w imaginacji. Duch działa w różny sposób, wiadomo, tchnie, kędy chce.

Przeżywa metafizyczne chwile: „Nie, to nie ja mówię i nie mówi on. Tamten mówi. Tamten: pajęcza mgła więc wejdź trochę wyżej tam dużo światła a w oślepiającym blasku biały szczur nie pytaj dlaczego nie zapominam przekleństwo pamięci czułość pamięci wszystko zapominam przekleństwo zapominania nieczułość zapominania / chciałbym wrócić złożyć wyznanie powszechne i wrócić uciekłem zdążając w skrytości ducha do powrotu do punktu wyjścia teraz już prawie jestem co uczynię z owym jestem / serce komu bije jeśli tobie tylko tobie płacz gwałtowność serca niecierpliwość serca już nie czas ładu serca”. I nieodstępujące demony: „Znow mi się poczęły te notatki rwać i stygnąć, lecz że w strzępach tylko, nie dokończone, nieraz ledwie zaczęte, płytko oddychające kijanki, larwy, paciorki ikry, embriony, śluzem zlepione grudki żabiego skrzeku – więc nieautentyczne? Nie, czemu? Owszem, autentyczne. Lecz również i nie, bowiem autentyczność zarodka,

niedokończenia jest tylko autentycznością części zapowiedzi. Gdzie natomiast autentyczność całości? W ogóle możliwa?”. Nie ma takich fragmentów i pasm we współczesnej prozie polskiej. Dlatego byłem z tym tak złączony. Odszukiwałem do Gombrowicza, Białoszewskiego, a nawet Dygata i Konwickiego, ale J.A. nigdy nie opuściłem.

Najważniejszymi, których spotkał na początku drogi, byli Czapski i ksiądz Korniłowicz. To ważne, kogo spotyka się na początku. Pod koniec życia odwiedził Laski, pisał tam *Ład serca*, poszedł na grób Korniłowicza, wspominał matkę Czacką i księdza Marylskiego. Notuje: „Trzeba posiadać dużo wiary, aby wiarę osiągnąć. Gdzie zatem początek, pierwszy oddech duchowego życia?”, i zastanawia się, jaką moc ma pokora.

Wracając do zakreślonych fragmentów, zastanawiam się, czym jest literatura i życie bez czegoś i kogoś nadrzędnego, na przykład: „Smutek za siebie. Smutek za ludzi. Niechęć do siebie? Ludzie daleko? Ucieczka w słowa? Samotność słów? Samotność czyli słabość? / Kto wie, czy nie łatwiej potępić siebie i przekląć własne usta i oczy aniżeli być dla siebie wyrozumiałym i dobrym. Lecz jak znaleźć klucz, który byłby kluczem sprawiedliwości?”.

Jest cisza, ale może być cisza dobra i zła, z zatrutych źródeł wypływająca. Może być bełkot wypowiedzianych czy zapisywanych słów, ale jest także bełkot słów niewypowiedzianych i niezapisywanych. Podaje, że jednymi z najważniejszych dla niego słów są między innymi: ciemność, mrok, głębia, zagłada, noc i pamiętamy, co powiedział wcześniej: „Ja nie jestem i nigdy nie byłem od opowiadania. Ja wyciągniętą dłonią poruszam ciemności”. Za to płaci się wielką cenę, bo niekoniecznie jest się z nimi do końca sprzymierzonym. A gdy wchodzi się tak głęboko w mrok, tym bardziej w ciemność, trzeba nieść w sobie wewnętrzne światło. Jakie jest jego wewnętrzne źródło i co stanowi jego istotę?

Ta świadomość jest w nim: „Granica wody. Próżni. Ognia. Granica narodzin. Dobra i zła. Miłości i nienawiści. Konania. Sto granic. Nie istnieje żadna, której by nie można przekroczyć. Czemu więc tak często, nieomal powszechnie, żyjemy tylko po stronie jednej? Być może dzieje się tak, ponieważ w większości wypadków jesteśmy z tak wielu sprzecznych częścieczek ulepieni, iż wydaje się niepodobieństwem, aby podobna miazga mogła się zdobyć na krok wymagający odwagi i stanowczości.

Kto wie, czy nie jest to choroba częściej i powszechniej aniżeli inne porażająca ludzi współczesnych. Bodaj coraz rzadziej można powiedzieć o jednostce – »wielki posąg – z jednej bryły«. A może źle szukam, wzrok i słuch mnie zawodzą? Głuchnę na ludzi? Może się zatrzymałem, żeby się cofnąć?”. Którą stroną inspirowany jest ten zapis? I do czego w różnych aspektach się odnosi?

Gra z cieniem zaczyna się też pod znakiem dziewiątki i dziewiętnastki (suma liczb). Sztuczność, szczerość i gra, ich wymagania, napięcia i reguły. Przypomina, że „o dziele sztuki stanowi przede wszystkim jego duch wewnętrzny”, ale są w nim też równie mocno obecne egzystencja rzeczy i realizm, wyobraźnia i intuicja, tak zwane siły kreacyjne, głosy zewnętrzne i głosy wewnętrzne. I trzeba rozeznaczyć, jakie są w tym ograniczenia i zamknięcia i jakie otwarcia i możliwości. Mówi: „Gram z cieniem, który jest moim własnym, lecz nie jest niezmiennym, przecież jego kształt zależy od bardzo wielu okoliczności zewnętrznych i tych spoczywających we mnie. Ostatecznie również i ode mnie zależy, jak siebie ustawię w stosunku do źródła światła. Lecz też i często cień pozostaje niewidoczny, więc gra się toczy w ciemno, w cetno i lichu. Jedną z podobnych gier bywa gra z nieszczęściem, z owym uciskiem życia”. To wszystko jest także w *Miazdze*, rzecz jasna w innej konfiguracji i wariantach przedstawione.

Dziś mamy inne konfiguracje i warianty, nastawione na jedną i na drugą stronę, choć ta ciemna, w przewadze i ofensywie, może być przedstawiana jako nad podziw świetlista i kolorowa. Jakie możliwości w wirze wirtualnej matni ma współczesny inteligentny i wrażliwy człowiek? Jak łatwo jest niszczyć myślenie, ducha, czujność, czułość, wiarę i miłość, tak, właśnie miłość, jak łatwo tym bardziej, że: „Oblicze zła nie musi być zaprzeczeniem oblicza dobra. Odmienności szukać należy głębiej”. Ale do tego potrzebna jest siła, czysta i jasna, powiązana także z egzystencją moralną.

Umiejscowienie, sceneria i tło są bardzo ważne, bo wiele od nich zależy, kto wie, czy nie przesądzają o wszystkim. To z zewnątrz napływa do wnętrza światło, bez niego ciemność będzie tylko ciemnością, w lepszym razie – czekaniem, a w najlepszym – czuwaniem, tak jak jest rozumiane w naszym kręgu cywilizacyjnym. I ów tajemniczy głos wewnętrzny, w który trzeba uważnie i ciągle się wsłuchiwać, dbać o niego, karmić go i pielęgnować, darzyć czujnym zainteresowaniem, a nawet, jeśli

nie przede wszystkim, miłością. Taki głos odcięty od dobrego źródła jest jak śmiertelny potrzask, który długo takim może się nie wydawać.

Mówi o maskach, a więc o grze, o przekazywaniu siebie w mnogości postaci w zależności od sytuacji życiowej i wewnętrznego usposobienia i że kiedy skrywanie się za maskami przestaje go interesować, wygasa w nim, czy zamiera potrzeba literatury: „Agonia komedianstwa uśmierca pisarza. Koniec. Reszta staje się rzeczywiście milczeniem”. A więc nie ma żadnego innego zaplecza, jakiegoś innego ważnego wsparcia? Za grą i związanymi z nią okolicznościami jest już tylko pustka i nic? Jeżeli tak rzeczywiście jest, to będę jednak nadal przede wszystkim trzymał się łączności tego świata przedstawianego ze światłem, nawet gdyby miało być tylko cienką smużką, jego jedynym ratunkiem i ostoją. Zapisuje: „Jedynie słowa sakralne i uświęcone blaskiem metafizycznych światła mogą się oprzeć zniszczeniom, którym muszą ulec słowa laickie, nawet wówczas gdy niosą treści autentycznie humanistyczne i torujące drogę temu procesowi, który obecnie nazywany jest odnową”. W przeciwnym razie nieuniknienie może być tylko błędne koło, jakiegokolwiek sfery rzeczywistości nie dotkniemy. Braknie mi w tych końcowych zapisach *Gry* sprzeczności, głównej sprężyny jego osobowości, żeby przeskoczyć na drugi biegun, przejść na drugą stronę samego siebie. Nie miał już sił, nie było w nim ognia lub choćby iskry? *Miazga* jednak kończy się inaczej.

Po „Intermedium, czyli Polskich życiorysach” jest Część III „Non consummatum” zawierająca między innymi *Mszę za poetę* i kolejne zapisy *Dziennika*. Cytuje fragment listu Manna o niemal muzycznej łączności myśli z rytmem i kadencją prozy i jego przeświadczeniem, że „najtajniejsza i najsilniejsza siła przyciągania jakiejś prozy tkwi w jej rytmie – którego prawa ileż są delikatniejsze od wyraźnie metrycznych...” oraz przytacza fragment listu Flauberta o powiązaniu sztuki z wiarą i wolnością. 12 lipca zapisuje, że dokładnie o godzinie, w której się urodził (suma liczb dnia i miesiąca), napisał ostatnie zdanie *Miazgi*, a więc znowu pod znakiem dziewiętnastki, datą jego urodzin i śmierci, i jednocześnie akcji tej powieści.

W ostatnich zdaniach mówi o swojej dziecięcej i młodzieńczej wierze, która wygasła, gdy skończył pisać *Ład serca*, i wyznaje: „Teraz jednak, gdy tak wiele lat i różnorodnych doświadczeń dzieli mnie od tamtych czasów – myślę niekiedy, iż wszystko co robię i czego nie robię, wszystko, co myślę, co odczuwam, czego pragnę i czym

W parku nad Wisłą wpatruje się w zachwycające, „najpiękniejsze u nas światło: uspokojone światło września, gdy nie istnieje w naturze nic cudowniejszego nad tą czystość światła i jednocześnie jego przymglenie, gdy gęsty ciężar już ciemnej zieleni przyjmuje poblask słońca”. Cytuje fragment z Ewangelii według Świętego Jana (18, 19–23) i kończy, 19 września, opisem przedsennego przypomnienia obrazu Breughla z monachijskiej Pinakoteki *Jonasz wychodzący z paszczy wieloryba*: „malutki Jonasz, w czerwonym płaszczyku, z gestem podziękی wychodzi na groźny, ciemny świat — — — — —”

93

KRZYSZTOF SIWCZYK

Czwarta

Jak co noc
uparty trel
i za moment gaśnie.

W tej sekundzie jest
czas na opamiętanie,
ale nie: wstaje.

Jak co noc
nie ma nic
do powiedzenia.

Nic co wzięłoby górę
nad pewnością kroków,
które po omacku stawia dziecko.

Jak co noc
pyta co jest i czemu nic
nie widać z rana.

Spójrz, otwórz oczy,
uparty trel, najwidoczniej
znikąd śnij dokąd możesz.

Posadzki

Posadzki całe w tłuszczu
z jednostek, składy pełne głów.
Oczy, wpatrzone w ekrany w ruchu,
wychodzą z orbit w tunele.

Chromi i resort siłowy
odbierają myjki, mopy i chlor.
Bandery chemii na masztach,
czyszczenie szeregów i raport.

Rasowe psy, komendy w pomiotła.
W morzu betonu i szkła odbija się
kopuła nieba i przez oculus czuć
gorzkie migdały, migotanie komór.

Kompost

zdatny już do użycia,
wybierany z kurhanu,
przypomina o górze
możliwości, czasem
odpowiada na pytania:
kim była, czym jest i po co.

Opór nie ma sensu. Nikt
nawet nie wie ile można
rozkladać życie od nowa,
tworząc pasjami
synonimy
do niczego.

Bastion

W hali odlotów brak
miejsc do siedzenia.
Są za to strefy wolne
od sieci. W nich stoją
ostatni strażnicy pola
walki. Sygnalizują:
nie tędy, twarzą do gleby.

Nie przeszli skanera.
Jeden był blisko celu,
ale poległ na śladach.
W białych rękawiczkach
kontroli zostali czarni,
z nadzieją i bez języka.
Polecieli ci, co mieli.

Szczęście, nie będzie
więcej prób. Już czekają
furgony z żeliwa, ostre plomby,
judasz wyszarpany w aluminium.
To przez niego zobaczą czyściec:
obóz przejściowy. Sprzątanie zagardlonych.
Pan rzekł migiem.

Przeddzień

Rozpanoszyła się w tobie nowa ona.
Widać ją w zwinnych ruchach. Wyraźnie
zrzuciłaś skórę. Jej suche skwarki
widzę jeszcze na blacie. Obgryzione
paznokcie zebrałem w relikwiarz.
Założę ci go na szyję teraz

i zawsze masz dziewiąte urodziny.
Każdego dnia życzę ci w przeddzień.

Syreny

budzą opuchnięte powieki, dalej
słyszać morze. O świcie musiał
mieć za złe sobie tę próbę ucieczki,
kiedy lata temu nocą wszedł w topiel
i z sobie tylko znanych powodów myślał,
że nie czeka go nic. Jest tam dalej, szepcze.
Wielkie nieba, plaża pusta, pełnia nikogo.

Do upadłego

I nie było
Cię z nami

Ale jesteś teraz
Będziesz

Jeszcze chwilę
I po nas

Powiesz swoim
Przyszłym

Razem odeszli
Dali mi odejść

Muszę wam to zrobić
Muszę o to prosić

Prezentowane wiersze pochodzą z tomu *Ludzie z taksydermii*, który ukaże się nakładem Wydawnictwa Literackiego w tym roku.

Zachwyt i żal

ze Stefanem Chwinem o tożsamości, regionie i Europie
rozmawia Maciej Wróblewski

Maciej Wróblewski: W Pana tekstach, zarówno tych fikcyjnych, które operują pewnego rodzaju zmyśleniem, jak i w tekstach eseistycznych czy wywiadach, w których otwarcie występuje Pan jako bohater autobiograficzny, pojawia się przestrzeń Gdańska. Odnosi się Pan do niej w sytuacjach emocjonalnych, polityczno-historycznych, a nawet ściśle osobistych. W *Posłowie do Krótkiej historii pewnego żartu* przytacza Pan charakterystyczne słowa swojej Babci, Wandy Celińskiej, która miała zwyczaj mówić: „Najważniejsze to urodzić się we właściwym miejscu i czasie”. Potraktujmy te słowa jako ironiczno-filozoficzną formułę życia mniej lub bardziej szczęśliwego.

Myśląc o ważnym dla Pana twórczości regionie, mam jednak na uwadze nie tyle konkretny czas i miejsce, ile raczej czasoprzestrzeń. Jak Pan postrzega z perspektywy dojrzałego artysty swoje związki z regionem, z którego Pan się wywodzi? Chodzi nie tylko o sam Gdańsk, czy jedną z jego dzielnic, Oliwę, która często pojawia się w Pana książkach, ale o dużo rozleglejszą czasoprzestrzeń.

Stefan Chwin: Mam uczucie pewnej niewygody, kiedy słyszę takie pytanie. Ponieważ czy chcemy tego, czy nie chcemy, od dość długiego czasu w języku historii literatury i krytyki literackiej określenie „literatura regionalna” oznacza, niestety, literaturę drugorzędną. Ponieważ z uprawianiem tego rodzaju literatury łączy się szereg niebezpieczeństw, których pisarz powinien raczej unikać. Mam na myśli głównie niebezpieczeństwo tematycznego i problemowego zamknięcia się w ciasnym regionalnym świecie, co grozi utratą uniwersalnej perspektywy. W Gdańsku mieliśmy kilku takich pisarzy regionalnych, którzy – jak to się mówiło – nie przebili się na forum ogólnopolskie, a stało się tak dlatego, że uprawiali tak zwaną litera-

ture „gdańskich uliczek”. „Literatura gdańskich uliczek” to było ironiczne określenie dla książek związanych z jakimś konkretnym miejscem w Gdańsku, które starannie opisywano w jego niepowtarzalnej lokalności. Narracja była przepełniona sentymentem dla jakiejś uliczki, zaułka, placu, skupiona na opisie losów ludzi, którzy tam mieszkali. Ten rodzaj pisarstwa występuje zresztą w wielu miejscach, nie tylko w Gdańsku.

Uwagę pisarza w takim przypadku przykuwają osobliwości obyczajowe, koloryt lokalny, stroje typowe dla miejsca, folklor, lokalny język, miejscowe legendy, wspomnienia oraz starannie odtworzone kronikarskie panoramy miejscowych realiów. Intencją takiej twórczości są głównie ujęcia dokumentalne, skupione na uchwyceniu lokalnej specyfiki miejsca, którą chce się ocalić od zapomnienia. I na tym właściwie wyczerpuje się ambicja autorów. To jest cel główny, do jakiego zmierzają. W tym kontekście określenie „literatura regionalna” nie brzmi dobrze, chociaż trzeba przyznać, że część z tych książek zachowała do dziś swój walor etnograficzno-dokumentalny, czego nie warto lekceważyć.

Kiedyś zapytałem Czesława Miłosza, czy on sam uważa się za reprezentanta jakiegoś rodzaju literatury regionalnej. A Pan, zapytam Pana, czy Pan uważa, że twórczość Miłosza może być zaliczona do „literatury regionalnej”?

M.W.: Odpowiedziałbym na to pytanie, że tak, że może być zaliczona, ale tylko wtedy, kiedy weźmiemy pod uwagę dwie jego książki – *Widzenia nad Zatoką San Francisco* oraz *Dolinę Issy*. Są to utwory pisarza, który wyraźnie daje do zrozumienia, że przybywa do Ameryki z Europy Środkowej i może być atrakcyjny dla czytelników właśnie z tego powodu, że nie kryje swoich silnych związków z „prowincją”, w której się urodził i gdzie spędził ważną część swojego życia.

Ale kiedy zapytałem Pana o region, to absolutnie nie myślałem o tego rodzaju zamknięciu czy zacieśnieniu tematyczno-problemowym, o którym Pan wspominał. Myślałem raczej o Brunonie Schulzu i o jego Drohobyczu [wtrącenie S.Ch.: – O, to tak!], nie o jakimś zamknięciu w ograniczających rejonach własnego podwórka kronikarsko-etnograficznego. W moim pytaniu bardziej chodziło o wątki uniwersalizujące doświadczenie regionalne niż o te, które można określić jako ekskluzywne, to znaczy ważne tylko dla tych mieszkających na przykład na ulicy Długiej w Gdańsku.

S.Ch.: Jeśli Pan tak stawia sprawę, to wtedy przyjmujemy inny punkt widzenia, który mi zresztą bardziej odpowiada. Bardzo dobrze, że Pan mówi o Brunonie Schulzu, ale też innych pisarzy można w tym porządku wymienić, którzy nie kryją w swoich książkach, że czują się bardzo silnie związani z miejscem, w którym żyją i z którego się wywodzą, a równocześnie potrafią to lokalne czy regionalne doświadczenie przekształcić w taki sposób, że staje się ono interesujące także dla osób zupełnie niezwiązanych sentymentalnie z miejscem, o którym piszą. Bo literatura regionalna, ta niedobra literatura regionalna, jest pisana głównie dla ludzi z tego samego miejsca. Opisuje ona region przede wszystkim z uwagi na mieszkańców regionu, którzy dzięki takiej literaturze wzajemnie się umacniają w jakichś wspólnych sąsiedzkich wspomnieniach, w legendach, historiach lokalnych, nie bardzo interesując się tym, jak to będzie przyjmowane przez szerszą, ponadregionalną publiczność.

Natomiast regionalizm, jeśli byśmy się przyłączyli do takiej tezy, ten dobry regionalizm, jest właśnie reprezentowany w pewnym stopniu przez twórczość Czesława Miłosza. Daje Pan świetny przykład *Doliny Issy*, która jest powieścią regionalną w całej rozciągłości, mocno osadzoną w jednym, konkretnym miejscu. Budowanie w niej obrazu wszystkiego, co tam się dzieje, jest nakierowane na uchwycenie swoistości przyrodniczo-egzystencjalnej tego miejsca. Ale równocześnie to jest powieść filozoficzna, której autor potrafi wyprowadzić problematykę regionalną na taki poziom, że czytając ją, mamy poczucie obcowania z uniwersalnym doświadczeniem ludzkim.

Najważniejszą sprawą w *Dolinie Issy* jest to, że ona opowiada o silnie związanym z regionem chłopcu, który zaczyna poznawać dotkliwą dla niego sprzeczność między religią i darwinistycznym porządkiem natury, co popycha go do rozmyślań nad trudnym pytaniem *Unde malum?*, nad którym od stuleci łamali sobie głowę światowi filozofowie. Dzięki temu *Dolina Issy*, nie tracąc swojego charakteru regionalnego, staje się powieściowym traktatem filozoficzno-teologicznym, który można czytać z zainteresowaniem pod każdą szerokością geograficzną, bo mowa w nim o doświadczeniu duchowym, które w swojej istocie może przydarzyć się ludziom wszędzie. W tym sensie jej temat główny nie jest tematem regionalnym.

M.W.: Nie, zdecydowanie, nie.

S.Ch.: Uważam, że tego rodzaju podejście do regionu skutecznie uwiarygodnia literacką prezentację doświadczenia filozoficznego samego Miłosza, którą w tej książce odnajdujemy, bo jest to dzieło w dużym stopniu autobiograficzne. W ten sposób samo indywidualne doświadczenie regionu staje się znacznie rozleglejsze, bo dotyczy problemów czy kłopotów, które są udziałem bardzo wielu młodych ludzi, którzy w jakimś momencie swojego życia uświadamiają sobie bolesną trudność pogodzenia tego, co poznajemy na lekcjach religii, z tym, czego się dowiadujemy na lekcjach biologii o naturze i zła, które się w samej naturze zawiera. I to jest, oczywiście, kwestia, która może zaniepokoić wielu ludzi, którzy przeżywają, bądź mogą przeżywać, podobne trudności, bez względu na to, gdzie oni mieszkają. I Miłosz, uważam, bardzo dobrze w tej powieści zachowuje równowagę między uważnym studiowaniem swego, indywidualnego doświadczenia regionalnego a wymiarem uniwersalnym doświadczenia duchowego chłopca, który znalazł się na wspaniałej Litwie Środkowej i tam właśnie przeżywa pierwsze wtajemniczenie w Naturę jako piękno i zło. I tutaj mamy już do czynienia z ogólniejszym dylematem filozoficznego poznania, który wykracza daleko poza horyzont kronikarsko-etnograficzny tradycyjnej „literatury regionalnej”, dość obojętnej na takie rozszerzenia horyzontu narracji.

A teraz Schulz! No, to wspaniały przykład. Tutaj, jeśli myśleć o pięknym doświadczeniu regionalnym, to Schulz jest dobrym przykładem tego, jak on był silnie związany emocjonalnie z Drohobyczem, a równocześnie potrafił z tego Drohobycza zrobić miasto mityczne, podobnie jak to zrobił Marquez w powieści *Sto lat samotności*, w której mamy obraz wymyślonej osady południowo-amerykańskiej – Macondo, skupiającej w sobie wielopłaszczyznowe, zróżnicowane doświadczenia całego tamtego regionu. Otóż Schulz potrafił zrobić z Drohobycza podobne „wymyślone” polsko-ukraińsko-żydowskie Macondo. Jeśli on w swoim pisaniu wychodzi od Drohobycza, to dość konsekwentnie trzyma się tego miejsca, ale równocześnie – zaznaczmy – czyni to w sposób nie do końca wierny, idąc tyleż za potrzebą rzeczowego opisu miejsca, co za potrzebą wyobraźni, która chce czegoś więcej.

Kiedyś tą sprawą zająłem się jako historyk literatury. Bardzo uważnie sprawdziłem, jak się przedstawia wiarygodność topograficzno-nazewnicza opisu Drohobycza ze *Sklepów cynamonowych* w stosunku do realnego miasta. Pojechałem nawet do Drohobycza, żeby obejrzeć Drohobycz rzeczywisty i zobaczyć, jak to miasto ma się do jego obrazu literackiego. Przeżyłem szok, ponieważ Drohobycz naturalny

okazał się zupełnym przeciwieństwem Drohobycza Schulza – i właśnie na tym polega triumf literatury, bo w tym przypadku literatura zwyciężyła nad twardą rzeczywistością, tworząc alternatywną rzeczywistość kreacyjną, która potrafi nas zachwycić dużo bardziej niż to, co realne.

M.W.: Tak, ale może to jest ten rodzaj przekazu, który jednak trochę przekłamuje rzeczywistość. „Przekłamuje”, oczywiście w cudzysłowie, bo czyni to przede wszystkim po to, by czytelnik mógł zrozumieć istotę sprawy, którą w trybie literackim pisarz przedstawia. Ostatecznie nie jest on etnografem ani geografem, ale kreatorem rzeczywistości literackiej. Tak jak w Pana powieściach.

S.Ch.: Chciałbym, żeby tak było.

M.W.: Mówię o tym z własnego czytelniczego doświadczenia. Znam także opinie wielu, że Pan buduje swój świat, wykorzystując materię gdańską, nie tylko osadzoną w kulturze polskiej, ale także niemieckiej po to, żeby stworzyć fenomen wyobraźniowo-literacki, umykający prostej narracji regionalistycznej, o której teraz mówimy: a tu jest ta ulica, a tu pojawił się na zakręcie Hanemann, a tu otwały się tamte drzwi, to okno – nie inna ulica, nie inne światło, nie inny dźwięk.

S.Ch.: Myślę, że słowo, którego Pan użył, jest bardzo dobre. Mnie nie ciągnie do regionalizmu etnograficznego, ale równocześnie w żadnym wypadku nie chcę obniżyć znaczenia książek badaczy historii regionalnej, którzy mają po prostu inne cele – ale my mówimy o literaturze. Literatura dąży do czegoś innego niż tylko dokumentowanie materii historyczno-geograficzno-etnograficznej jakiegś okolicy. Może brać to pod uwagę, ale nie o to głównie jej chodzi, dlatego właśnie jest literaturą, a nie opracowaniem badawczo-etnograficznym specyfiki jakiegoś regionu.

Byli tacy pisarze, którzy próbowali to łączyć. Na przykład w okresie modernizmu bardzo przejęli się specyfiką geograficzno-etnograficzną Podhala i w swojej twórczości zrobili z tego regionu mitologiczną krainę, która nie była krainą rzeczywistą, ale weszła do wyobraźni narodowej Polaków jako charakterystyczna

część polskiego świata. Gdybyśmy próbowali w tej chwili traktować dzieła Tetmajera czy Kasprowicza, czy innych autorów piszących o tamtym regionie, jako wyłącznie etnograficzne, to musielibyśmy też dodać, że to było coś dużo więcej. Bardzo im się udało literacka wizja regionu, która weszła do szerszej wyobraźni narodowej. Ten rodzaj regionalizmu jest dla mnie inspirujący, chociaż oczywiście nie myślę tutaj o jakichś powtórzeniach tamtej metody literackiej. Uważam zresztą, że nam – paru pisarzom gdańskim, czasem określanym jako „szkoła gdańska w prozie polskiej” (Huelle, Jurewicz, Żakiewicz, Chwin) też się udało coś podobnego. Literacko zmitologizowany Gdańsk między innymi dzięki naszym książkom – ale także dzięki albumom z cyklu *Był sobie Gdańsk*, przygotowanym przez Donalda Tuska, Wojciecha Dudę i Grzegorza Fortunę – po roku 1989 roku wszedł do szerszej wyobraźni narodowej jako wyrazista część polskiego świata. Oczywiście ważną rolę odegrał w tym także fenomen Solidarności, trwale skojarzony w polskiej wyobraźni właśnie z Gdańskiem. Bo po przełomie roku 1980 Gdańsk wynurzył się z mgły, która go dotąd zasłaniała. Stał się widzialny w skali ogólnopolskiej.

M.W.: Myślę o jeszcze jednym rodzaju regionalizmu, dlatego trochę prowokacyjnie wymieniłem *Widzenia nad Zatoką San Francisco* Czesława Miłosza. To nie jest nawet literatura regionalna w tym sensie, o którym teraz mówimy, bo przecież Czesław Miłosz występuje w tym eseju jako „obcy”, przybysz, wędrowiec. Jest tam wątek emigracyjny, zachwycenia czy zadziwienia odmienną od europejskiej kulturą, którą on, litewsko-polski emigrant, stara się zrozumieć i opisać. Podam przykład innego pisarza drugiej emigracji niepodległościowej, Jerzego Stempowskiego (Paweł Hostowiec), i jego bardzo piękny esej *Ziemia berneńska* (1954), który napisał w języku francuskim i zrobił to perfekcyjnie. Oddał cześć drzewom, ziemi, zagrodom, kamieniom Kantonu Berneńskiego, tak jakby był jednym z mieszkańców kulturowo i biograficznie zakorzenionych w tej ziemi, choć jednocześnie miał świadomość, że jest kimś z zewnątrz. Ja myślę o takim właśnie regionalizmie, który dzisiaj jest może częstszy – wybieram jakiś kraj zamieszkania, osiedlam się w nim, ale nie zrywam więzów z polskością, piszę w języku polskim, także z myślą o polskich czytelnikach. Co Pan myśli o takim regionalizmie?

S.Ch.: To jest właściwie mój przypadek. Oczywiście, nie w tym znaczeniu, że ja jako mieszkaniec Gdańska jestem w sensie narodowym kimś obcym wobec miejsca, w którym mieszkam, ale biorąc pod uwagę historię mojej rodziny, a także historię dużej części mieszkańców Gdańska, to jest dokładnie to samo, co zresztą kiedyś bardzo pobudziło moją wyobraźnię. Chodzi o sytuację „ludzi skądinąd”, którzy pojawili się w Gdańsku po 1945 roku, kiedy to miasto było zburzone w stopniu porównywalnym do zniszczenia Hiroszimy. Środek był całkowicie wypalony, ani jednego całego domu między dworcem a Wyspą Spichrzów, ale obrzeża się zachowały i tam właśnie, na tych obrzeżach osiedlili się moi rodzice, którzy przed wojną z Gdańskiem nie mieli nic wspólnego, w ogóle nie interesowali się tym miastem – to nie było dla nich miasto bliskie nawet w sensie turystycznym. Jeżeli myślę o moich rodzicach, to myślę o ojcu, który mieszkał do 1939 roku w Wilnie, i matce, która żyła w Warszawie do Powstania 1944 roku.

Jako gdańszczanin byłem wychowywany w mojej rodzinie właściwie na „obcego”. Czułem się „obcokrajowcem”. Na ten paradoks zwracają czasem uwagę krytycy, bo ja rzeczywiście napisałem kiedyś coś takiego, że mając sześć, siedem, osiem lat, więcej wiedziałem o Warszawie niż o Gdańsku, w którym żyłem od urodzenia, ponieważ mieszkanie nasze było wypełnione po brzegi opowieściami o mieście, które moja matka i moja babcia musiały w 1944 roku opuścić. Jako chłopiec znałem topografię Warszawy nawet lepiej niż topografię Gdańska, w którym mieszkalem od urodzenia. Wiedziałem, gdzie jest ulica Marszałkowska, gdzie jest Krakowskie Przedmieście, gdzie Aleje Ujazdowskie, gdzie Żelazna Brama, plac Zbawiciela, kościół Zbawiciela, ulica Hoża, Nowogrodzka, Poznańska, Chmielna, Wilcza, Krucza – miałem w głowie cały katalog topograficzny Warszawy, bo ciągle słyszałem te opowieści: – „A pamiętasz, Oleńko, jak byliśmy w 1939 roku w Niedzieli Palmową w Parku Ujazdowskim? Cóż to za piękna pogoda wtedy była!”.

Byłem wychowywany w podwójnej niechęci. Po pierwsze – była to niechęć do Gdańska, w którym moi rodzice się znaleźli po wojnie, niechęć prawdziwa, poczucie obcości kompletnej. I cały czas towarzyszyły temu narracyjne powroty matki i babci do miejsc, z których one zostały wypędzone. Zresztą wypędzonym był też mój ojciec. Mama po Powstaniu Warszawskim z Warszawy została wypędzona przez Niemców, on zaś z Wilna przez Rosjan. To była jedna wielka niechęć we mnie, hodowana przez lata i ja rzeczywiście, mieszkając w Gdańsku, nie czu-

łem się na swoim miejscu i może nawet podobnie jak matka i babcia marzyłem o tym, żeby się przenieść do tej wspaniałej, mitycznej Warszawy przedwojennej, która już nie istniała, lecz powracała w żywym wspomnieniu. A po drugie: byłem wychowywany w niesłychanej niechęci do Niemców, szczególnie silnej ze względu na ślady kultury niemieckiej, które były widoczne wszędzie, bo nasza rodzina osiedliła się w pięknej, secesyjnej Oliwie, która było stuprocentowo niemiecką dzielnicą z końca wieku XIX i początku wieku XX, rozpościerającą się wokół klasztoru Cystersów. Więc to była taka podwójna obcość. Z jednej strony wobec miejsca, w którym żyłem, z drugiej strony wobec ducha niemieckiego, który mnie ze wszystkich stron otaczał. Moja babcia nie potrafiła inaczej powiedzieć o Gdańsku niż tylko „szwabskie miasto”. Nawet nie „niemieckie”, tylko po prostu „szwabskie”. W takim właśnie nastroju byłem wychowywany. Czułem się trochę jak „obcy”, który znalazł się we wnętrzu nie swojego miasta z duszą, ukształtowaną w zupełnie innym miejscu.

Co potem starałem się opisać w *Krótkiej historii pewnego żartu*, która jest opowieścią o tym, jak to wszystko się we mnie zmieniało, jak stopniowo przechodziłem „na drugi brzeg” moich dziecięcych idiosynkrazji. Ta autobiograficzna powieść jest próbą rekonstrukcji złożonego doświadczenia psychologicznego, które polegało na wychodzeniu z klatki antyniemieckich urazów i obsesji i stopniowym dochodzeniu do momentu, w którym mogłem powiedzieć o sobie – jestem stąd! Bo ja, jako chłopiec, miałem poczucie, że nie jestem stąd. Bardzo mnie na przykład – nawet nie wiem, jaki był tego mechanizm psychologiczny – odrzucało dawne budownictwo gdańskie z ciemnoczerwonej cegły jako coś obcego, wrogiego, brzydkiego, a nawet wstrętnego. Podobnie odbierałem neogotyki niemieckie z końca XIX wieku, pruskie budynki urzędowe, dworce, zajezdnie, kościoły, koszary, które przetrwały wojnę i „straszyły” na gdańskich ulicach jako pozostałości czegoś bardzo złego. To wszystko budziło lęk, a nawet odrazę.

M.W.: Skądś się to brało, ta niechęć do neogotyku, do niemieckości, pruskiej czerwonej cegły. Czy to był wpływ rodziców, rodziny, opowieści o tym, czego doświadczyli ojciec, matka podczas wojny, czy Pan sam w sobie wypracowywał tę niechęć? A może nakładało na siebie to, co w rozmowach rodzinnych i to, co Pan dostrzegał wokół siebie, co potem trudno to było rozplątać?

S.Ch.: W szczegółach niełatwo to odtworzyć, ale mam wrażenie, że jednak decydował o tym ogromny wpływ moich rodziców, ich wojennych doświadczeń, bardzo zresztą dramatycznych, o których dowiedziałem się bardzo późno. Bo jeśli chodzi o moje doświadczenie osobiste, to ono było bardzo podobne do doświadczeń części Niemców urodzonych po wojnie, którzy też nie mogli się niczego dowiedzieć od swoich rodziców o tym, co się z nimi działo podczas wojny. O tym, co przeżyli moi rodzice, dowiedziałem się bardzo późno, ponieważ rodzice ukrywali przede mną swój prawdziwy życiorys po prostu ze względów bezpieczeństwa. Moja mama była żołnierzem Armii Krajowej. W czasach mojego dzieciństwa – przed 1956 rokiem – przyznawanie się do tego byłoby nierozsądne. Długo nie wiedziałem zupełnie o tym, co ona robiła w Powstaniu Warszawskim, w którym wzięła udział jako sanitariuszka, działając w rejonie Śródmieścia koło placu Zbawiciela. Bardzo długo nic o tym nie wiedziałem. Dopiero przed samą śmiercią mama mi opowiedziała o tym wszystkim. Wręczyła mi też – to była bardzo piękna scena – pakiet notatek i dokumentów rodzinnych, taką teczkę tekturową ze starymi papierami i fotografiami, którą przygotowała na pożegnanie. Wtedy to po raz pierwszy w życiu zobaczyłem na własne oczy niemieckie kenkarty nie na fotografiach, ale prawdziwe. Mogłem je wziąć do ręki i uważnie obejrzeć. Mam do dzisiaj prawdziwą kenkartę mojej matki, mam też jej legitymację wydaną przez władze okupacyjne, kiedy była studentką szkoły pielęgniarstwa przy ulicy Koszykowej. Mam też specjalną przepustkę niemiecką, pozwalającą jej na poruszanie się w Warszawie po godzinie policyjnej, bo Niemcy traktowali personel medyczny w sposób szczególny, więc ona mogła w związku z tym poruszać się po mieście swobodnie o dowolnej porze. Wręczyła mi to wszystko. Było tam jeszcze narysowane przez nią drzewo genealogiczne naszej rodziny warszawskiej, sięgające bardzo dawnych czasów. Dopiero wtedy się dowiedziałem, skąd ja pochodzę i jakie są linie naszej genealogii rodzinnej, które biegną od majątku Celiny, bo panieńskie nazwisko mojej mamy to Celińska. To był ziemiański ród z miejscowości Celiny na Podlasiu. Więc dopiero się wtedy o tym dowiedziałem. Natomiast ojciec milczał absolutnie do końca. Bardzo niewiele dowiedziałem się od niego, co robił podczas wojny. Tylko kilka scen mi opowiedział. Wszystkie te sceny tłumaczyły silną niechęć moich rodziców do Niemców.

M.W.: Tak, to dotyczyło dużej części polskiego społeczeństwa i było wzmacniane przez instrukcje programowe władz komunistycznych. W 1946 roku, kiedy już zaczęto organizować szkolnictwo i oświatę podstawową i ponadpodstawową, wydawano dokładne zalecenia, żeby z programów szkolnych eliminować jakiekolwiek teksty pisane przez niemieckich pisarzy i w toku szkolnej nauki wzbudzać niechęć do wszystkiego, co niemieckie, do germanizmu jako pewnej formacji kulturowo-politycznej. Myślę, że to rozlewało się na całą Polskę.

S.Ch.: To prawda. Szkoła bardzo to wzmacniała. I w *Krótkiej historii pewnego żartu* jest nawet fragment o tym, jak to robiła właśnie szkoła, ale też Kościół katolicki. Pamiętam, że nawet w kazaniach głoszonych z ambony pojawiały się bardzo silne akcenty antyniemieckie. Zresztą i dzisiaj w pewnym radio toruńskim te akcenty są nadal bardzo silnie. Rano w hotelu włączyliśmy Telewizję Trwam i od razu dowiedzieliśmy się, że w wyniku ostatnich wyborów władzę w Polsce przejmują Niemcy.

M.W.: Czyli musiał się Pan przenieść do gościnnego Torunia, żeby dowiedzieć się, jaki jest prawdziwy wynik wyborów?

S.Ch.: Wygląda na to, że tak.

M.W.: Jest nam przykro...

S.Ch.: Telewizja Trwam rano też wyraziła poczucie, że jej bardzo przykro... No, ale w latach pięćdziesiątych, o których teraz mówimy, tak to było pomyślane, że antyniemieckie ciśnienie rodzinne mocno współbrzmiało z ciśnieniem ogólnopolskim. I trzeba powiedzieć, że to skutecznie działało na wielu ludzi. Nie pamiętam z dzieciństwa w moim otoczeniu nawet jednej osoby, która by współczuła niemieckiej ludności miejscowej, po 1945 roku pociągami deportowanej z Gdańska. Było raczej poczucie, że oto dokonuje się akt sprawiedliwości dziejowej, że tak powinno być, że Niemców powinno się wysiedlić za Odrę w rewanżu za to, co robili w Auschwitz, więc o co właściwie chodzi...

M.W.: Jest też publikacja temu poświęcona – *Poniemieckie* – z której można dowiedzieć się, jak Polacy, wypędzeni ze wschodnich terenów II Rzeczypospolitej na tak zwane Ziemie Odzyskane, przejmowali poniemiecką spuściznę materialną, próbując jakoś sobie poradzić z wyższą technologią choćby przy uruchamianiu systemu ogrzewania. Więc to, co poniemieckie, nie było tylko tym, co wiązało się z traumą wojenną, ale także tym, co stanowiło swoiste wyzwanie cywilizacyjne dla polskich przybyszy ze Wschodu. Na przykład wiele kamienic na Dolnym Śląsku zostało pozbawionych licznych elementów technicznych nie dlatego, że były poniemieckie, a tylko dlatego, że stanowiły pewne wyzwanie dla praktycznych umiejętności ludzi, którzy przybywali tutaj z regionów II Rzeczypospolitej o nie najwyższym stopniu rozwoju cywilizacyjnego.

S.Ch.: Tak było. Kiedyś przyglądałem się temu, co się wtedy działo i jak to zostało opisane w polskiej literaturze, na przykład w *Ptasim gościńcu* Haliny Auderskiej, w opowiadaniach Henryka Worcella czy w reportażach pisanych z Pomorza przez Czesława Miłosza dla prasy krakowskiej.

Jeśli mówimy o regionalizmie, to ja byłbym po stronie takiego regionalizmu, który patrzy na Gdańsk jako na miejsce z jednej strony bardzo wyjątkowe, niepowtarzalne i specyficzne, a z drugiej strony widzi w nim miejsce-soczewkę, przez którą można obserwować jakąś sprawę ogólnoeuropejską czy nawet globalną. Na przykład kiedyś zająłem się tym, co się działo po 1945 roku w Gdańsku, jeśli chodzi o jego odbudowę. Kiedy ja się zajmowałem tą sprawą, wydawałoby się ściśle gdańską, okazało się, że to nie była jedynie sprawa gdańska, a sprawa olbrzymiej części Europy, ciągnącej się gdzieś tam, mniej więcej od Królewca, przez Mazury, Warmię, Pomorze, krańce Wielkopolski, po Śląsk i Sudety. Że ta sprawa miała wymiar ogólnoeuropejski, bo chodziło nie tylko o proces lokalny – gdańsko-pomorski – ale proces bardziej ogólny, na który można było spojrzeć przez pryzmat sprawy ściśle lokalnej.

Prowadziliśmy badania archiwalne razem z żoną, która odnalazła w gdańskim archiwum materiały z konkursu architektonicznego, gdzie zastanawiano się, jak Gdańsk odbudować. Nam się dzisiaj wydaje oczywiste, że Gdańsk wygląda tak, jak wygląda. Tymczasem można powiedzieć, że w latach pięćdziesiątych XX wieku wydarzył się cud, że Gdańsk tak wygląda, bo w konkursie, o którym mowa, ści-

rało się kilka pomysłów na jego odbudowę. Jednym z takich pomysłów było pozostawienie całego miasta po zakończeniu wojny w stanie zupełnie nienaruszonej ruiny. Jeśli byliście Państwo kiedyś w Kostrzynie, to mogliście tam zobaczyć, jak część dawnego miasta została zachowana dokładnie w takim stanie, w jakim była po zburzeniach wojennych 1945 roku i teraz funkcjonuje jako chroniona enklawa pamięci. I to był właśnie jeden z pomysłów. Zburzony Gdańsk ogrodzić i całe te wypalone ruiny śródmieścia zachować jako pomnikowy ślad po największej katastrofie w dziejach świata, jaką była druga wojna światowa.

Drugi pomysł był taki, żeby cały Gdańsk przenieść do Nowego Portu, czyli dziesięć kilometrów dalej, nad samo morze, bo dzisiaj Gdańsk nie leży nad morzem, tylko kilka kilometrów od morza, tam, gdzie się łączą rzeki Wisła i Motława i one potem dalej płyną aż do ujścia przy Westerplatte. Trzeci pomysł był taki, że Gdańsk miał zostać zbudowany jako zupełnie nowe miasto, na uprzątniętej z ruin do czysta równinie, według architektonicznej koncepcji Nowej Huty. W Gdańsku na osi ulicy Długiej, w miejscu, gdzie dziś znajduje się urząd miejski, miał stanąć wielki Pałac Kultury z zakończoną iglicą wieżą, wyższą, rzecz jasna, niż wieża katolickiej Bazyliki Mariackiej. Żona odnalazła kilka prac konkursowych, ilustrujących pomysły budowniczych.

I to, o czym teraz mówię, to są właśnie, w moim pojęciu, sprawy o wymiarze ponadregionalnym. Chodzi o pytanie, przed którym stanęli ludzie w wielu miejscach Europy: co zrobić po wojnie z miastem zburzonym, w dodatku poniemieckim, które znalazło się na terytoriach, z których Niemcy zostali wypędzeni. Więcej: co zrobić z całym dziedzictwem poniemieckim, które zostało przejęte przez państwa, z których Armia Czerwona wyparła ludność niemiecką na całym wielkim pasie od nadbałtyckiego Kaliningradu po rejon Sudetów. Dominowała wówczas opinia bardzo stanowcza, że należy to wszystko w miarę możliwości zniszczyć. I dlatego część domów poniemieckich, które były naruszone w wyniku działań wojennych, lecz nadawały się jeszcze do odbudowy, była po wojnie na tych terenach wyburzana ze względu na ich kształt architektoniczny, naznaczony – jak to odczuwano – piętnem germańskim, żeby na ich miejscu zbudować domy nowe, prawdziwie polskie.

Taki „regiobalizm”, polegający na obserwowaniu procesów globalnych przez pryzmat sprawy ściśle lokalnej, uważam za ważną zdobycz literatury. I jeśli chodzi o moją twórczość, to przecież w paru książkach, które napisałem, krąży wokół pytania: co, mieszkając w nowej, powojennej Polsce, zrobić z poniemieckim dzie-

dziectwem, w którego obrębie dorastaliśmy, jakoś przez nie formowani. Zniszczyć to, unicestwić, wymazać, zasypać, żeby ślad nie został? Czy raczej jakoś to absorbować do polskiej kultury? Ale pytanie, które tak brzmiało, ma charakter ponadregionalny, bo w samej Polsce przed tym pytaniem stanęło parę milionów ludzi, którzy urodzili się i dorastali na zachodnich i północnych terytoriach „poniemieckich”, konfrontując się nawet w sferze doświadczeń intymnych z tym, co obce.

M.W.: Mówiąc o Gdańsku i o tej części Europy Środkowej, należałoby dodać, że w historyczno-literackim piśmiennictwie do pewnego czasu dominowało przekonanie, że w obrębie procesów, które się dokonały, łącznie z dwiema wojnami, znaczenia zaczęło nabierać pojęcie Międzymorza. Ono pojawiało się w twórczości nie tylko uczestników drugiej emigracji niepodległościowej, ale także stało się ważne dla pisarzy, którzy nie doświadczyli okropieństwa drugiej wojny światowej. Pojęcie to stało się jednym z elementów łączących zarówno uczestników emigracji, jak i pokolenie Andrzeja Stasiuka, podróżującego po Galicji i odkrywającego światy, które, jego zdaniem, przetrwały wszystkie zmiany związane z nieuchronnymi procesami cywilizacyjnymi. Pojęcie Międzymorza zawiera uczucie tęsknoty, która ma w sobie silny potencjał kreacyjny. Czytając ogłoszone na łamach „Kwartalnika Artystycznego” zapiski intymne Jerzego Andrzejewskiego, natrafia się tam na bardzo interesujące rzeczy. W roku 1960 Andrzejewski przebywa przez sześć miesięcy w Paryżu na stypendium i kiedy pisze o tym, że wraca do Polski szarej, brudnej, prowincjonalnej, stwierdza: „Mimo to, ja do niej tęskniłem, tęskniłem do Polski”. Chciałem zapytać Pana o tę sferę, niekoniecznie nostalgiczną, niekoniecznie łączącą się z rozkliwianiem nad samym sobą. Czy Panu, podróżującemu po świecie, zdarzyło się odczuć nie tyle przesyć obcą kulturą, co po prostu zatęsknić za tym, co Pan zostawił w Polsce?

S.Ch.: Oczywiście, że tak. No, ja bym chyba był po prostu nieludzki, gdybym tego nie przeżywał. To jasna sprawa, że coś takiego mi się zdarza co jakiś czas. Widziałem wiele krajów, ale zawsze z chęcią powracam do Gdańska. Natomiast mnie bardzo ciekawi Andrzej – myślę tutaj o Stasiuku – który to wszystko wywraca do góry nogami. On jest pisarzem-rozbójnikiem, żadna nostalgia do piękna ojczystych stron go nie zjada i on wpadł na taki pomysł, żeby przekonywać siebie

i innych, że to właśnie nasze polskie niedorobienie, brudnawo-byle-jakie polskie życie na polskiej równinie, jest cenne. I on to nasze byle jakie życie przeciwstawia na przykład Niemcom, kulturze niemieckiej, używając na określenie tego miejsca, w którym my żyjemy, słowa... no, nie wiem, czy wypada je głośno powtórzyć, ale tytułem cytatu, że to miejsce, w którym my żyjemy, Polska, Europa Środkowa, to jest dla niego – może Pan wypowie to słowo...

M.W.: Niedorobione...

S.Ch.: To jest jeszcze mocniej powiedziane. W każdym razie to, że jest takie niedorobione...

M.W.: Zapyziałe.

S.Ch.: Zapyziałe, ale przez to takie własne, bliskie...

M.W.: No, tak bliskie, na wyciągnięcie ręki...

S.Ch.: ...takie własne... Niemców to podniecało, że przychodzi ze Wschodu ktoś taki jak on i właśnie mówi im: „Tacy jesteście wymyśli, uregulowani, wyszlifowani, tacy zorganizowani, ale nie macie tego czegoś, co u nas jest. A co to takiego? A no to, że właśnie na środku asfaltowej drogi idzie osioł i zrobił kupę. I to jest piękne, i to jest wspaniałe”. Takie życie niechlujne, nie do końca uporządkowane, bliskie naturze, zwierzętom, roślinom, podejrzanym zapachom, bałaganowi swobodnego bytowania. Dotykalna bezpośredniość międzyludzka, szczególnie widoczna w regionie bałkańskim, Stasiuka mocno przyciąga, bo jest wedle niego przeciwieństwem wypucowanej, jałowej Europy. On opisuje to przecież cały czas w swoich powieściach, budując regionalizm tego właśnie rodzaju. Jest to jednak „regionalizm środkowoeuropejski”, bardzo daleki od mojego punktu widzenia, bo ja jednak bardzo cenię na przykład europejskość secesyjną, ozdobną, ornamentacyjną, lubię niemieckie i ponemieckie miasta, gotyckie rękopisy, białoczarne pruski mur, szpiczaste wieże neogotyckich kościołów, wieś mnie raczej nie pociąga, a już bałkańska, za którą przepada Stasiuk, na pewno.

I to był powód mojej sprzeczki z Günterem Grassem. Kiedyś rozmawialiśmy dłużej i Grass obruszył się na mnie, kiedy powiedziałem, że ja bardzo lubię kulturę niemieckiego mieszczaństwa XIX-wiecznego, tego właśnie, które zbudowało ulicę główną w Toruniu. Jak się nazywa ta ulica? Ta od pomnika Kopernika idąca? Byliśmy tam wczoraj i zachwycaliśmy się, jak wspaniała była ta kultura wieku XIX, że i dzisiaj jeszcze raduje oczy. Ale Grass – socjaldemokrata, sowizdrzał i liberał oświecony – nienawidził tej kultury, bo właśnie uważał, że to jest przekleństwo świata niemieckiego, że najgorszą rzeczą, jaka może być, jest mieszcuch niemiecki, bo to właśnie mieszcuch niemiecki stworzył niemiecki faszyzm.

On miał taki pogląd, że właśnie ta klasa mieszczańska, naród sklepikarzy wytworzył tę nazistowską formację i dlatego on to bardzo zdecydowanie odrzucał, kpiąc i szydząc w *Blaszanym bębenku* z międzywojennego Gdańska mieszczańskiego. I tu między nami był kłopot. Chodziło o to, co mi się podoba w kulturze niemieckiej. Ja mówię: – Mnie się bardzo podoba Caspar David Friedrich. – A Grass na to, obruszony: – Boże, mój ty, co pan mówi? Co pan mówi? – Bo on romantyzmu niemieckiego nie cierpiał, lubił właśnie kulturę złośliwego, racjonalistycznego, oświeceniowego żartu antymieszczańskiego, całą tę tradycję satyryczną kultury niemieckiej, z lekkim cynicznym humorem barokowych sowizdrzałów i Symplicissimusa, natomiast ja właśnie bardzo ceniłem mroczno-melancholijny romantyzm niemiecki i to też miało dla mnie charakter regionalny dlatego, że moje zainteresowanie tą częścią kultury niemieckiej wyrastało z doświadczenia miejsca, gdzie się wychowałem. Kiedyś w ponemieckiej piwnicy naszego domu w Oliwie znalazłem albumy obrazów Friedricha i to, co wtedy ujrzałem, już pozostało w mojej pamięci na zawsze.

Pamiętam również takie doświadczenie, które też nazwałbym doświadczeniem regionalnym i równocześnie ponadregionalnym, bo dotyczyło ono tego właśnie pasa terytoriów od Kaliningradu do Sudetów, o którym mówimy. Kiedyśmy z żoną podróżowali po Niemczech, któregoś dnia trafiliśmy do Weimaru, szliśmy ulicą dzielnicy willowej z XIX wieku i ja w pewnym momencie mówię: – Boże, przecież to jest Oliwa. Albo ulica Matejki we Wrzeszczu. – Wszystko wyglądało dokładnie tak samo – pierzeje, domy, dachy, balkony, schody, poręcze, płoty, nawet ogrody urządzone tak jak tam, roślinność ogrodowa, ostrokrzewy, zimozielone, to przecież jest ta sama kultura i choć powiedzieć, że to kultura polska, byłoby, rzecz jasna, przesadą, ale to była prawdziwa kultura mojego powojennego gdańskiego dzieciństwa.

To jest tak, że wychodzi się z domu przy ulicy Grottgera w Oliwie do ogrodu, a ten ogród wygląda tak, jak wygląda. I on promieniuje na małego chłopca, który to wszystko ogląda i chłonie. W *Krótkiej historii pewnego żartu* jest rozdział, który się nazywa *Ogrody*, bo właśnie o tych przydomowych ogrodach napisałem, jak one wyglądały, kiedy byłem dzieckiem. To były ogrody nienaruszone od XIX wieku. Potem się zmieniły, ale Oliwa miała szczęście. Wrzeszcz został w poważnym stopniu zniszczony, Gdańsk został w okropny sposób zniszczony, a Oliwę wojna ominęła i w związku z tym mogłem powiedzieć, że tak naprawdę to urodziłem się nie w 1949 roku, tylko w XIX wieku w Niemczech. Bo ta dzielnica jakimś historycznym cudem przechowała swoją dziewiętnastowieczność, z czego nie zdawałem sobie sprawy. Kto tam zresztą o tym myślał. Przez długi czas to było w Gdańsku lekceważone, uważane za nieistotne. Te stare dzielnice na przedmieściach. Ważniejsze były nowe dzielnice. Myślę, że zmiana nastawienia nastąpiła dopiero koło 1989 roku. Ona dotyczyła nie tylko mnie, powiedziałbym dotyczyła grupy gdańskich intelektualistów – pisarzy, aktorów, reżyserów teatralnych, malarzy, ludzi uniwersytetu, całe to środowisko, które doszło do głosu w czasach przełomu 1989 roku, miało podobne doświadczenia co ja. Myśmy odkryli ten Gdańsk, o którym w tej chwili mówię, bo on był dotąd dla nas niewidzialny, tak jak powietrze, którym oddychamy. Chodziłem tymi ulicami niemieckimi, jakbym ich nie widział. Dopiero w momencie, w latach pięćdziesiątych, w którym weszło tam budownictwo stalinowskie – kłocowate, bezforemne, kanciaste – zobaczyłem, co to jest za wartość ta Stara Oliwa. W tej chwili całe miasto podzieliło się na dzielnice ponemieckie i nowe dzielnice. Właśnie wtedy dostrzegłem, jak te nowe dzielnice dość mocno odbiegają swoją jakością estetyczną od tamtych dzielnic ponemieckich. I to porównanie to też było doświadczenie regionalne, a zarazem ponadregionalne – otworzyło nam oczy na dziedzictwo, którego żeśmy nie doceniali, bo wydawało nam się ono zupełnie przeźroczyste, niedostrzegalne, odczuwane jako najzwyczajniejsze, a potem się okazało, że właśnie to jest skarb. Bardzo ucieszyłem się, kiedy w Gdańsku do władzy doszli ludzie, którzy też zaczęli doceniać to dziewiętnastowieczne dziedzictwo. Bo przez długi czas władze były przeciwko temu i starały się raczej to neutralizować. Na przykład skuwano niemieckie napisy na domach, zamalowywano szyldy. Wystarczyło, że coś było napisane szwabachą, by uchodziło za podejrzane. W ogóle szwabacha była źle widziana na przykład w edytorstwie,

bo oznaczała złą niemieckość, którą należało wypełnić. Teraz jest w Gdańsku przy władzy grupa ludzi, która szanuje dawne dziedzictwo i ja się z tego cieszę, chociaż formacja katolicko-narodowa mówi, że docenianie tego to jest podła „opcja pro-niemiecka”.

M.W.: Pomijając to, co się mówi z perspektywy polityków, którzy, być może, myślą jedno, a mówią drugie, chciałbym zapytać o to, co mnie w Pana wypowiedzi zaintrygowało. Chodzi o niespodziewane odkrywanie świata, w którym się długo funkcjonuje. Żeby odkryć ten świat dla siebie, trzeba mieć cel. Ja rozumiem, że można to zrobić przypadkowo, ale nie o takim odkrywaniu chyba Pan mówił. Raczej o czymś, co następuje stopniowo. Bo to chyba nie było: – Eureka! Tak, to jest to! – Jak ten proces przebiegał? Myślę nie o pracy literackiej, tylko o pracy sobą, bo i zmysły, i intelekt odgrywają swoją rolę. Jednym słowem czy to, o czym Pan mówił, to było doświadczenie nagłego olśnienia niedostrzeganym dotąd miejscem, czy też raczej to następowało wraz z dojrzewaniem. Bo człowiek dojrzewając, często nabiera dystansu do pewnych rzeczy, także do swojego życia – to mnie interesuje.

S.Ch.: Wskazałbym na jeszcze jeden element regionalny, a zarazem ponadregionalny, który, jak sądzę, w Toruniu może też występować. Otóż jednym z ważniejszych moich doświadczeń z dzieciństwa, były – właśnie czasem zupełnie przypadkowe – wizyty na cmentarzach poniemieckich, które kiedyś w Gdańsku istniały. Wspaniałe cmentarze, o których mówię, ciągnęły się od Politechniki Gdańskiej we Wrzeszczu aż do Bramy Oliwskiej. Miasto grobów, wspaniałe miasto umarłych, jak je nazywam, rozpościerało się prawie do samego dworca w Gdańsku po obu stronach Wielkiej Alei, która łączy Gdańsk z Wrzeszczem. I tam bardzo ważnym doświadczeniem dla mnie, ale też pamiętam, że i dla części moich rówieśników, było doświadczenie pisma gotyckiego, którym były wykute napisy na płytach nagrobnych, czasem jeszcze na dodatek złożone, co dawało bardzo piękny efekt – na czarnym granicie czy na czarnym marmurze – złote rządki liter o ostrych, wstążkowatych kształtach. Uważam, że to było doświadczenie, którego nie znają zupełnie mieszkańcy innych części Polski. Bo na przykład w Warszawie nie ma mowy o tym, żeby pójść na cmentarz i doznać podobnego wrażenia. Miasto grobów wygląda tam inaczej.

M.W.: Ale we Wrocławiu?

S.Ch.: We Wrocławiu tak! Ale ja ten obszar, na którym nowa ludność napływowa czy przesiedlona po wojnie zetknęła się z poniemiecką kulturą sepulkralną, widzę dużo szerzej jako rozciągający się od Królewca do Sudetów obszar doświadczenia uniwersalnego, objawiającego się w wersjach lokalnych. Nazwę go obszarem doświadczenia „życia na śladach”, bo właśnie takie życie stawało się i nadal się staje doświadczeniem wielu narodów w świecie, w którym granice są ruchome i brutalnie przesuwane, a masy ludzkie, dobrowolnie i niedobrowolnie, wędrują z miejsca na miejsce tysiące kilometrów. Więc to nie jest tylko sprawa lokalna, bo dotyczy różnych krain i milionów ludzi. Poniemiecki cmentarz w regionach, które przestały być niemieckie. I do tego twarde uniwersalne pytanie: Co z takim cmentarzem zrobić? W paru moich książkach opisuję doświadczenie wspólne dla całego tego rozległego obszaru, chociaż koncentruję swoją uwagę na jego wariacie gdańskim. Jako pisarz nie jestem monografistą jakiejś regionalnej osobliwości, która nie występuje nigdzie poza Gdańskiem, tylko mam poczucie, że poruszam sprawę, która dotyczyła bardzo wielu ludzi i ma wymiar ogólniejszy. To było i pozostaje nadal dla mnie ważne.

A tożsamość lokalna – w jaki sposób się tworzy? Tak samo jak tożsamość regionalna. Ona, powiem może zbyt mocno, wyrasta z przekleństwa. Ja zakląłem w momencie, kiedy zobaczyłem, jak na te wielkie gdańskie cmentarze, na te wielkie ponemieckie nekropolie, wjeżdżają buldożery i wchodzi grupy robotników z kilofami, którzy rozbijają wszystko, co tam jest. Z cmentarza między Politechniką a Bramą Oliwską nie zostało dzisiaj nic. W tej chwili jest tam park i trawnik ciągnący się do Gdańska. Dobrze, że chociaż za czasów prezydenta Adamowicza zrobiono w kilku miejscach lapidaria, gdzie eksponuje się po kilka dawnych płyt nagrobnych, które ocalały.

M.W.: No, drzewa nadal tam są...

S.Ch.: Trudno było tych drzew się pozbyć, bo one mają może po jakieś dwieście lat. W tej chwili jest tam równiuteńko i nie ma śladu po tym wszystkim, co ja widziałem w dzieciństwie. A narodziny mocnej tożsamości regionalnej następują w chwili, kiedy człowieka zimna wściekłość ogarnia, kiedy widzi, że coś takiego się

dzieje. Ta wściekłość, która mnie wtedy ogarnęła, była absolutnie bezsilna, bo akcja antycmentarna była skutkiem zarządzenia administracyjno-politycznego. Chodziło o całkowitą likwidację tych cmentarzy i one zostały całkowicie skasowane jako ślady nikomu niepotrzebnego germanizmu. W Gdańsku zostało kilka niewielkich poniemieckich cmentarzy, gdzieś na obrzeżach miasta. Jeden z nich – ewangelicki – jest na Łostowicach, drugi w Brętowie. Może przetrwał z tego powodu, że tam jest kilka osób z rodziny Güntera Grassa pochowanych, ale nie jest on otoczony opieką, powoli umiera, płyty się zapadają, zarasta wszystko, mimo tego, że ludzie tam chodzą na mszę do stojącego obok kościoła. Nie bardzo ich to interesuje.

Mnie wściekło nie to, że te cmentarze, na moich oczach niszczone buldożerami, były poniemieckie, tylko że one były artefaktami o wysokiej wartości artystycznej, w pełni zasługującymi na to, żeby przetrwały. I nie wchodził tu w grę żaden sentyment proniemiecki, którego pod wpływem okropnych doświadczeń rodziców nie mogłem mieć. Z mojego punktu widzenia niszczone wspaniałe obiekty artystyczne, należące do artystycznego dorobku ludzkości, które stanowiły część dziedzictwa kulturalnego Gdańska. Bo niestety cmentarze polskie powojenne rysowały się na ich tle pod względem artystycznym bardzo nieciekawie. A te poniemieckie niszczone ze względu na narodowość ich budowniczych. I ludzi tam pochowanych. A dla mnie narodowość artysty i wtedy, i dzisiaj nie ma żadnego znaczenia, jeśli on po sobie zostawił autentyczne dzieło sztuki, które zasługuje na szacunek i podziw.

Tożsamość regionalna pojawia się właśnie w momencie, gdy czujemy się osobiście dotknięci tym, że miejsce, w którym żyjemy, jest niszczone, deformowane, szpeczone. Gdy jesteśmy oburzeni, że do czegoś podobnego dochodzi. Jak ktoś się zupełnie nie oburza i obojętnie patrzy, jak to miejsce jest niszczone, deformowane, oszpecane, to on nie ma żadnej tożsamości regionalnej i niech nie trąbi o żadnym regionalizmie. Prawdziwe, mocne oburzenie jest tutaj fundamentem wszystkiego. Ja właśnie tak reaguję, kiedy widzę tego rodzaju zranienia substancji miasta. Na przykład, że ktoś wpada na pomysł, by zbudować tak zwaną plombę w dawnej dzielnicy, bo to się opłaca, a niszczy tym samym układ przestrzenny zaprojektowany przez dawnych architektów. Tak się stało w Oliwie, tam, gdzie się toczy akcja *Hanemanna*, przy ulicy Grottgera. I ja to przyjąłem jako coś, co mnie dotknęło osobiście. To właśnie jest dowód na to, że mam wyrazistą tożsamość lokalną i regionalną.

M.W.: Gniew?

S.Ch.: Tak, gniew! Jak kogoś to nie obchodzi, to on nie ma żadnej tożsamości regionalnej. Właśnie dopiero wtedy, kiedy naruszenie jest przyjmowane osobiście, pojawia się rzeczywista tożsamość własna. Myślę, że to jest fundament psychologiczny wszystkiego.

M.W.: Ciekawe: budować tożsamość na oburzeniu, na gniewie, na osobistym urazie. Ale rozumiem – taki sprzeciw jest w tym wypadku konstruktywny. Bo okazuje się, że uruchamia głębsze procesy, nie tylko same emocje, idzie za tym jakaś praca intelektualna projektu naprawczego, który chce zaleczyć ranę, zadaną miejscu, na którym nam naprawdę zależy.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Opracowała Krystyna Chwin

MIROSŁAW DZIENÍ

Muchy

1.

Są wszędzie. Zielone, czarne, brązowe,
podobne do gęstego potu. Idziesz i potykasz
się o cień rzucany przez wielorybie bloki
z prześwieconymi oknami. Wszędzie puste
butelki, odłamki gruzu, zużyte pragnienia leżące
pokotem. Jesteś na krawędzi. W programach triumfuje
podstęp i nienawiść. Podają je w dzień i w czasie
największej oglądalności. Zabija w nas współczucie.

2.

Ona mówi: jestem samotna jak drzewo, jedyne
obok skrzyżowania. On mówi: jestem głodny
między pełnymi półkami. Światło karmi nas
tlenem i jasność rozbłyska w oku. Potrzebujemy
więcej od cienia zdejmującego blask z policzka.
Bez wyrazu jesteśmy, bez delikatnych niteczek
na wielkich krosnach sensu. Są wszędzie. Zielone,
czarne, brązowe. Słysząc dzwony. (Niedziela
po południu w mieście). *Pan wzywa*, mówi
przygarbiona kobieta ze starą torebką, w której
pachną nardem paciorki różańca. Ile świata innych
uratowała, ile blasku spłynęło z opuszków
jej palców. Na drodze korek. Samochody w pauzie
czekają na wyrok choć jeszcze nie ostateczny.
Wszyscy wracają do domu. Wygasła *grille*,

jednorazowe tacki z tłustymi plamami
po musztardzie. Zapach chmielu unosi się
leniwie. Muchy mają ucztę jak u Baltazara. Ręka

nie zapisze. Ręka waha się. Zostanie w cieniu
jak puszczone płyta na adapterze nie dotknięta
przez igłę. Na horyzoncie zbierają się burzowe chmury.

3.

Cisza. Cisza. Cisza. Obsługuję ciszę
nocy za oknem. Na czarnym jak trumna
od wewnętrznej strony asfalcie przysiada
drozd. Cisza. Cisza. Cisza. Ułamki myśli
ustawiają się w szereg: *nie, nie ma, nie ma*
nas – tutaj. Jeszcze jeden zapalony papieros
jest jak świetlik. Zanim zgaśnie błyska
czerwonawym ciepłem. (Jak światełko w kościele).

W samotność wchodzi się w obecności. Rozpacz
ma innych kompanów. Cisza. Cisza. Cisza.
Kieliszki brzęczą, alkohol paruje. Błyska się
na horyzoncie. Muchy pod sufitem patrzą na nas
z wysoka. – *Nie oceniam twojej pustki, tak samo*
jak mojej. Drzę jak osika. Neony podają twarde
rozwiązania. Na jakiś czas pływasz w nich,
na jakiś czas.

4.

Nie jesteś zwierzęciem mówi głos.
Pod skórą głębiej niż rów mariański
jest punkt, z którego rozchodzi się
ciepło delikatne jak aksamit, jak bańka
pryskająca w dłoni. To ty.

Ponad cieniem, obok nieczynnej walcowni,
za żwirowiskiem na skrawku trawy
kwitną maki. Dobro i piękno wystarczą
światu w mikroskopijnej ilości.
(Zobacz je widzący nawet nocą
o niemowlęcych rączkach i sercu
wyjętym z *Pences* Pana Pascala).

Muchy nad głowami krążą jak
zawieszone na czujnych orbitach
satelity, jak bestie w marzeniach
sennych okradające nas z prostoty
rozróżnień na prawdę i fałsz.

5.

Pamiętaj o tym najważniejszym ze znaków
– krwi wijącej się po goleniach jak bluszcz.
W kwietniowe ranki na balkonie podlewałem go
czule. Przez żelazną kratownicę podglądałem
rozrastające się kłacza. Woda wsiąkała w donicę,
piła ją ziemia głęboko, zachłannie. Myślałem wtedy
o wodzie żywej wspinającej się ku najwyższym listkom,
liżącej ich delikatną sierść bycia pod baldachimem
wyłuskanego z nocy nieba.

Muchy. Muchy. Muchy w salonach pod żyrandolami,
na muślinowych kanapach, obok kubańskich cygar.
Spinki wpięte w krochmalone mankiety, garnitury
ze srebrnymi guzikami, chronometry z Genewy
o znajomo brzmiących nazwiskach na tarczach
z tytanu. Muchy nad kawiozem, blisko źrenic, obok kas
pancernych i skrytek bankowych. Tam leżą bazaltowe
plany na przyszłość rozpisane klatka po klatce

w algorytmie. Muchy. Muchy. Muchy wszędzie.
Akolici świata zmiany przeglądającego się
w ukrytym w przepaściach obliczu.

6.

Czujne są nasze myśli. Pozują od czasu
do czasu konieczności. Nie ufaj w rozdane
karty. W tobie i obok ciebie wystarczająco
wiele jest pomieszania, a spadające listki
topoli zwiastują wolność i są jej dowodem,
podobnie jak słowa miłości. W nich świat się
rodzi z nicości, na zawsze. Bo ostatnim jest
przecinek, nie kropka.

Wyjawić do końca tęsknotę gryzącą
spojówki za Innym, co przebiegnie
jak sarna obok twojego domu. Będiesz
na nią patrzył bez żalu, że nie spojrzała
wtedy na ciebie. I zgodzisz w sobie
sprzeczność, wyjmując gniew
jak drzazgę z umysłu.

Usta pękają. Sok leje się i nie możesz
powstrzymać słów. Zielone, czarne, brązowe,
podobne do przychodzącego
zza kotary, nagle.

MICHAŁ CZORYCKI

Zola w Lourdes

Marie Lemarchand, wciąż młoda, pół twarzy
Pokryte krwawiącym liszajem, kładzie
Na policzki chustę zwilżoną wodą źródła.
Rana przysycha, zaczyna się goić.

Marie Lebranchu, ledwo żywa, ostatecznie
Stadium gruźlicy, wstaje z noszy – sama
Między tłumem chorych – i tańczy, woła:
Wyzdrowiałam! Rusza razem z procesją.

W ostatniej scenie powieści (powrót
Do Paryża) uśmierci ją nagłym nawrotem
Choroby, choć prawdziwa Marie

Wyzdrowiała na dobre. *To ja decyduję
O losach bohaterów moich książek.*
Odpowie, zgodnie z prawdą, na zarzuty.

*

Zresztą każdy cud powszedniejsze szybko.
Pierwsza Marie co rusz zerka w lusterko,
Coraz bardziej zalotnie. Druga, wygłodzona,
Pochłania pół pieczonego kurczęcia.
Cuda w rzeczy samej nie przydają się na nic.

*

Co nam zostaje? Tylko gorzka prawda,
Z którą zmierzyć się może heroiczny Rozum.
I pieniądze. Pieniądze Moskwy. Pieniądze

Turgieniewa. *Wielka Rosja, gdzie tak mnie
Kochają*. I wtajemniczenie w Sprawę,
Misteria socjalizmu tylko dla wybranych.

*

Bądźmy jednak łagodni i wyrozumiali.
Wiek dziewiętnasty: wciąż jeszcze za wcześnie,
Żeby naiwnym odbierać nadzieję.
Dziecinną ludzkość prowadzić ku prawdzie.
Na zawsze zamknąć Lourdes i inne groty.
Na razie niech się uczą własnej nędzy,
Z której nie będą widzieć już żadnego wyjścia.

Dlatego Thérèse (z jego pierwszej, bardzo
Słabej powieści) spada w ciemność zbrodni.
Laurent w kostnicy ogląda topielców.
I cały świat zaczyna krążyć wokół Nany.

Aż wszystko stanie się przewidywalne.
Żadnych więcej cudów. Niejasnych
Wybawień. Niespodziewanej znikąd pomocy.
A wtedy ludzkość dojrzeje do prawdy.

Więc, drodzy panowie, *point de rêveries*.

2023

Tydzień

Pochmurny ranek na początku lipca.
Szedłem chodnikiem wzdłuż muru klasztoru.
Na drzewie głośno grzechotała sroka.
Zwinięte w piąstki suche liście klonu
Zgrzytały na asfalcie popychane
Wiatrem – przedwczesna zapowiedź jesieni.

Tej nocy śniło mi się, że czas ruszył
Z miejsca. Wystarczył tydzień, żeby jesień
Zagarnęła wszystko. Drzewa już prawie
Bezlistne. Ciemne gałęzie. Ranne mgły.
I znad rzeki syreny ostatniego
W tym sezonie statku. Przyjmowałem

To z rezygnacją jak zrzucenie losu
Dziwiąc się tylko, że przyszło tak nagle.

2023

Pięćdziesiątnica

Promień słońca na szorstkich kamieniach posadzki.
Wpada ukośnie przez grube szkło okien.
Porusza się wolno, modlitwa po modlitwie,
Dotyka głów wiernych, pracuje w ciszy.

2023

Obłoki nad Spargi

Usiadłeś na chwilę w cieniu karłowatych
Lentyszków. Mistral burzył morze, spieniał
Fale, sypał w twarz drobnym piaskiem plaży,
Rozpinał na niebie długie, pierzaste

Obłoki – tak podobne do tych, które
Widziałeś w innym życiu, nad Bałtykiem,
Ćwierć wieku temu. Od wiatru bolały
Zęby. I nie umiałeś przestać myśleć
O swoich kłopotach. Skądinąd całkiem

Nieistotnych w porównaniu do tego,
Z czym musiał mierzyć się pasterz imieniem
Natale Beretta, który, niesłusznie

Oskarżony, ukrywał się na wyspie
Półtora wieku temu, wypatrując
Przez lunetę zbliżającej się łodzi
Żandarmów, nocując w skalnych załomach

Na wzgórzach. Aż oczyszczony z zarzutów
Osiadł tu z rodziną i urządził się
Jako tako zakładając na skrawkach
Gruntu poletka zboża i winnicę.

Jak też trzymając stada bydła w liczbie:
Dwieście owiec, sto kóz i krów czterdzieści,
Które oglądał wybitny agronom,
Książę Aventi, i opisał w listach

Zebranych później w tomie *Niecodzienna
Podróż po wyspie Sardynii*, gdzie wspomniał
Również roślinę nazwaną *ferula*,
Która, bardziej niż gdzie indziej trująca,

Dziesiątkowała zwierzęta Beretty.
Podjęty hojnie serem i ricottą
Książę agronom odjeżdżał tak jak ty
Z pragnieniem, żeby jeszcze kiedyś wrócić.

2023



KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

w salonach EMPIK

i

na legimi.pl

 Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Widnoksiąg (14)

Kenneth White: *Entre deux mondes. Autobiographie*, traduit de l'anglais (Écosse) par Brice Matthieussent, Le Mot et le Reste, Marseille 2021.

Kenneth White, szkocki myśliciel, eseista, poeta, wykładowca, urodził się 28 kwietnia 1936 roku w Glasgow, a zmarł 11 sierpnia 2023 w Trébeurden, w dawnym bretońskim gospodarstwie koło Lannion we Francji, które przekształcił w swoją pracownię Gwenved (co oznacza po celtycku „miejsce szczególnej koncentracji”). Do Francji przeniósł się ze Szkocji w 1967 roku, mieszkał w Pau, Paryżu, w regionie Ardèche (sezonowo), a od 1983 w atlantyckiej Bretanii, której stał się znawcą i miłośnikiem. Wierną towarzyszką życia, a zarazem tłumaczką jego utworów na język francuski (mimo że pisał w dwóch językach, to jednak twórczość ściśle literacką uprawiał wyłącznie po angielsku), była Marie-Claude, której poświęcił między innymi i tę autobiografię.

Latem 1993 roku przebywałem przez miesiąc w zabytkowym i malutkim Dinan oraz nieodległych okolicach nad Kanałem La Manche. To był mój drugi pobyt w Bretanii. Przesiadywałem w niewielkiej, ale stylowej i dobrze zaopatrzonej bibliotece miejskiej, czytając utwory dwudziestowiecznych pisarzy i poetów bretońskich języka francuskiego: Pierre-Jakez'a Héliasa, Guillevica, Xaviera Gralla, Armanda Robina, Yvon Le Mena, Paola Keinega, Yves'a Prié. Największym ówczesnie moim odkryciem okazał się szkocko-bretoński (a więc celtycki w szerokim tego słowa rozumieniu) twórca Kenneth White i jego doktryna geopoetyki (przymierza ze światem i ziemią, poszerzenia świadomości bycia w heideggerowskim „poetyckim zamieszkiwaniu na Ziemi”, postmodernistyczna refleksja nad ekologią umysłu zespolonego ze światem pojętym jako pole życiodajnych, naturalnych energii). W tym czasie – jako poeta i „ideolog” borussiański prusko-warminsko-mazurskiej Atlantydy Północy – poszukiwałem programowych conceptów na twórcze wyzyskanie uniwersalnego wymiaru lokalnego miejsca, co początkowo nazywałem

metafizyką miejsca, a następnie – już po lekturach i przekładach wierszy i esejów White'a – światowaniem („światowanie” w warmińskiej gwarze znaczy tyle, co życie), a wreszcie światologią. Różnica między poezjowaniem moim a White'a polegała na tym, że jego bardziej interesowała fizyczno-mentalna geografia (kierując go do oryginalnego *travel-writing*), a mnie konkretna dziejowość, geohistoryczność kondycji ludzkiej (kierujące mnie do minihistorii, lokalnych historiografii). White nigdy nie podejmował rozważań etycznych, co z kolei było mi bliskie. Sądzę, że na takie podejście do roli moralności w budowaniu wspólnoty miał silny wpływ Heidegger, który nigdy nie wypracował zasad etycznych swojej egzystencjalnej filozofii wykluczenia (Żydzi i Słowianie niegodni „prześwitu bycia”). Chyba dlatego nigdy nie wystąpił ze zlikwidowanej przez Aliantów NSDAP.

White zwrócił się do mnie z propozycją przełożenia całej wydanej autobiografii, ale musiałem odmówić z racji pragmatycznych. Natomiast przed śmiercią autora ukazał się w Wydawnictwie Forma wybór jego ostatnich wierszy, które zatytułowałem *Przymierze z Ziemią*. Niektórzy z nas pamiętają świetny, bodajże z lat sześćdziesiątych, szkic historycznoliteracki Piotra Kuncewicza o tym tytule, w którym opisał absolutną zasadę chłoniczno-metafizyczną wileńskich katastrofistów (Miłosz, Zagórski, Rymkiewicz i inni). *Przymierze z Ziemią* White'a nie ma nic z (dziejowej) apokalipsy, klasowo-politycznej katastrofy, z antycypacyjnym straszeniem bestią ze Wschodu, ale jest dobrą nowiną holistyczną o silnym zabarwieniu ekologicznym i filozoficznym: stanowimy z tym niezwykłym (wszech) światem jedno życie, które ma podstawy biologiczno-fizyczne (immanentne) a zarazem duchowo-transcendentne (transcendencja immanentna rozumiana jako „nadwartość” fizyczności, nie jako zewnętrzny „czysty i sprawczy” absolut, a nie daj boże osobowy Bóg). W ostatnich utworach zaczęły pojawiać się wyraźniejsze wątki o zagrożeniach wywołanych rozwojem jednostronnie rozwijającej się techniczno-konsumpcyjnej cywilizacji.

Cytat z posłowiecia do tomiku *Mémorial de la terre océane* (2019): „W momencie, kiedy nasza nowoczesność się kończy, w okresie powszechnej relatywizacji i niewyobrażalnego przyspieszenia, kiedy teleskopy kosmiczne odkrywają miliony nowych gwiazd, globalnie rozpowszechnia się odczucie, mniej lub bardziej świadome, że planeta Ziemia ma przed sobą niewiele dni, że ludzkość, jeśli przetrwa (robotyzacja postępuje), to zaraz zaokrętuje się i odleci na inną planetę, że sztuka, w głębokim znaczeniu tego słowa, stała się powierzchowna, a zamiast niej otrzy-

mujemy wszelkiego rodzaju przyjemne podróbki. Jeśli chodzi o mnie, to pozostaję wierny Ziemi; jestem przekonany, że ta ekstremalna sytuacja wzbudzi aktywne, subtelne i szerokie, działanie umysłu”.

Autobiografia przynosi szczegółowe fakty z życia autora, jego szkockiej (prostej) rodziny z okolic Glasgow, które podawane są serdecznym tonem i chronologicznie. Znajdujemy w niej opisy najbliższych ludzi i okolic (początki umiłowania mapy, geografii, krajobrazu, wędrówek po bliższych i dalszych terenach), genealogię, etymologię, koloryt lokalny, rosnącą fascynację Północą, Atlantykiem, dawnymi epokami i plemionami. Nie jest to wyłącznie, jak by się oczekiwało od takiego ponadprzeciętnego erudyty, porządnie zlepiąca autobiografia „duchowego rozwoju”, prezentująca przede wszystkim postęp intelektualny i poznawczy kultowego z biegiem czasu autora, lecz przejrzyste napisana historia konkretnych wydarzeń z życia, które rzeczowo splatają się z ujawnianymi stopniowo namiętnościami literackimi i filozoficznymi: wrażliwy wiek nastoletni, studia humanistyczne (romanistyka i germanistyka, łacina) na uniwersytecie w Glasgow (symptomatyczne, że bardziej interesowali go autorzy francuscy i niemieccy niż angielscy), istotne pobyty studyjne w Niemczech w połowie lat pięćdziesiątych (Nietzsche, Heidegger) oraz we Francji (zainteresowanie nadrealizmem). White swoją pasjonującą autobiografię intelektualną – jako „szkocko-kosmopolitycznego beatnika-geopoetyka-nomady” – zawarł w licznych i wartościowych publikacjach naukowych, podróżniczych, eseistycznych, więc nie musiał wszystkiego zawierać w tej i tak bogatej w fakty kilkusetstronicowej autobiografii. Na marginesie: White raczej długo dojrzewał do pracy literacko-intelektualnej, a w każdym razie nie spieszył się z wydawaniem książek – trochę czasu minęło, zanim, jak w transie (po latach intelektualnych przygotowań), zaczął penetrować świat zewnętrzny, pisać i wydawać swoje liczne utwory (uwaga: głównie i z zasady we Francji). Może dlatego pojawił się na scenie literackiej jako od razu dojrzały pisarz i myśliciel.

W bodajże 1959 roku White, ze spotkaną w Glasgow studentką z Francji, a przyszłą oddaną żoną Marie-Claude, otrzymawszy stypendium na pisanie pracy dyplomowej o poezji i polityce w poezji francuskiej XX stulecia, dociera do Francji, która w rezultacie kilku pobytów i osobistego wyboru kariery stała się jego drugą ojczyzną. Zakup domu po starej zagrodzie w górach Ardèche (region Owernia-Rodan) i wieloletnie, głównie urlopowe pobyty w tej okolicy dały prawdziwy po-

czątek fascynacjom White'a geologią, geografą, geofizyką, topografią, późniejszą geopoetyką. Urokliwe i samotne, jakby mnisie, miejsce to, zwane Gourgounel, uświęcone zostało *Lettres de Gourgounel* (1979), pierwszą pozycją w bogatym, poczynsany od lat siedemdziesiątych, dorobku autora, która została tu i ówdzie dostrzeżona. Podobnie jak wcześniej zauważony (ale bez przesady) został dwujęzyczny (co stało się później stałą praktyką wydawniczą) tom wierszy *En tout candeur* (1964). Praktyka poetycka sprzęgnięta z praktyką medytacyjną miała wydać różnorodne owoce, ale początek pobytu i duchowo-fizycznych doświadczeń w Gourgounel powiązany został z odkryciem wiedzy chińskiej *feng shui* o krajo-brazie, o żywiołach natury i kosmosu...

Wczesną jesienią 1967 roku, po nieciekawych doświadczeniach uniwersyteckich w Szkocji i literackich w Anglii, White zdecydował się przenieść do Francji na stałe. Marie-Claude zaczęła uczyć angielskiego w liceum w Pau (z widokiem na pasmo Pirenejów), a Kenneth w tym samym mieście, w filii Uniwersytetu Bordeaux, gdzie zabrał się za upowszechnianie wiedzy z zakresu warsztatu tłumacza oraz historii poezji XIX i XX wieku. W następnym roku otrzymał propozycję z Uniwersytetu Paris-VII na prowadzenie zajęć pięć godzin w tygodniu (poetyka przekładu, historia poezji angielskiej). I tak jego życie przez czas jakiś trwało regularnym i pracowitym trybem, który sprzyjał pracy twórczej: systematyczne wędrowki krajoznawczo-geopoetyckie po Pirenejach oraz bardziej intelektualno-literackie po Paryżu, a poza tym pilne i urozmaicone lektury z różnych dziedzin (od geografii, geologii i archeologii przez wielkie przestrzenie humanistyczne po mitologię, pierwotne religie, niekonwencjonalną wiedzę religijną i filozoficzną Wschodu, literaturę od antyku po czasy współczesne, ze szczególnym naciskiem na poezję Whitmana, Rimbauda, Segalena, francuskich nadrealistów, amerykańskich beatników). Wpływ Nietzschego i Heideggera uznać można w dalszym ciągu za decydujący w rozwoju White'a: wolność niedogmatycznego myślenia, które startuje jakby od punktu wyjściowego, powrót do filozofii elementarnych żywiołów, do mitotwórstwa, romantycznych panteizmów, poetyckie zamieszkiwanie Dasein...

Tak, White pracował nad rozwojem duchowym metodycznie, wytrwale, oryginalnie, co zaowocowało potężnym wzlotem aktywności pisarskiej, a osobliwie od szczęśliwego osiedlenia się w Bretanii w 1983 roku, skąd bliżej było do Paryża (doktorat), z którego zaczął wyruszać na dalsze wyprawy i podróże po świecie (nigdy nie

były to podróże awanturnicze, raczej intelektualno-poetycko-odkrywczo-introspekcyjne), podczas których wzbogacał swoje rozmyślanie nad cywilizacjami i krajobrazami (najbliżej mu było do plemiennych mitów i odczuwań, na przykład indiańskich, celtyckich, germańskich, do dalekowschodnich rejestrów zadziwienia światem i samym nagim życiem poza racjonalistycznymi rygorami, na przykład do buddyzmu, którego nie praktykował, ale „doświadczał poetycko”, między innymi pisząc świetne haiku...). Jego oryginalny i kreatywny racjonalizm oparty na pełnej wiedzy (na bazowym sceptycyzmie także!), kontemplacji, doświadczeniu twórczej myśli odrzucał łatwy podział na to, co racjonalne i irracjonalne. Skostniały intelekt też bywa irracjonalny, a irracjonalizm głupi. Bardziej mu chodziło o kreacyjną syntezę empirycznej *praxis* wolnego umysłu poszukującego „ziemskich” energii z metafizycznym pragnieniem partycypacji w doświadczeniu Jedni życia poza sztucznym podziałem na zmysłowe/duchowe, co nazwać można postmodernizmem. I żadnego przy tym zagadkowego wieszczania, pesymizmu, żadnego heroicznego antropocentryzmu, a ukazywanie na różnych poziomach i w różny formalnie sposób (a zawsze potoczyscie) etapów dochodzenia do osobiście przeżywanej prawdy o „życiodajnym” świecie-środowisku (Ziemi), w którego wnętrzu bytuje poetycko obdarzony głęboką jaźnią ziemsko-kosmiczny człowiek. Autor *Entre deux mondes* założył ponadto w 1989 roku prężnie rozwijający się Institut International de Géopoétique. Oby Instytut przetrwał śmierć swojego założyciela i mistrza!

Po doktoracie na Sorbonie wykładał „Poétique du Monde”, zajmując się reinterpretacją nie tyle poezji, ile samego jej doświadczenia świata, stosunkiem świata do ziemi, ładu i chaosu, życia nomadycznego i stacjonarnego, klimatu i cywilizacji – miała to być nowa mapa kulturowa świata opartego na takich pojęciach jak geopoetyka właśnie, nomadyzm intelektualny, chaotycyzm, doświadczenie biosfery, ekologia umysłu, dzieło otwarte a świat otwarty. Poezja miała pozostać bliska źródłowemu myśleniu w nieustannej eksplozji zadziwienia światem, korzystać z kosmologii, odkryć fizyki współczesnej – nowatorstwo polegające nie na tworzeniu nowatorskiej formy, a na oryginalnym doświadczeniu wewnętrznym zbudowanym na praktyce fundamentalnego doświadczenia ekstatycznego i zagadkowego świata. Żadnej wierszowanej moralności, zaangażowania społecznego, historycyzmu, ekshibicjonistycznego wyznania. Poezja bliska prozie (długie reporterskie wiersze, wyliczanki, traktaty) albo iluminacjom (wiersze krótkie).

Proza – to osobista proza świata, rodzaj autobiograficznego reportażu ja-świat, moja wędrująca jaźń w widzialnym świecie. Mimo wszystko chyba bardziej Arystoteles niż Platon (pomimo odwołań do filozofii presokratejskiej i dalekowschodniej). Na pewno nie racjonalny i dzielący istnienie na żywe (z duszą) i martwe (bezduszne) Kartezjusz, a gorący i mistyczno-naturalistyczny Szkot Eriugena, a więc coś w rodzaju nieustannie przemiennego i totalnego panteizmu. A więc powrót do romantyzmu: do Novalisa i Osjana? Czemu nie, na swój sposób przecież! W sumie program, który zaliczyć można do rozległego ideowo kierunku zwanego postmodernizmem?

STEFAN CHWIN

Dziennik 2024

Sobota, godzina 17.23. Krótkie uwagi o szczęściu

Żyjemy w epoce, w której rozmaite filozofie szczęścia gryzą się ze sobą jak wściekłe psy. Szczęście lewicowe i prawicowe, katolickie i antykatolickie, szczęście semickie i antysemityczne, szczęście feministyczne i antyfeministyczne, szczęście wojskowe i cywilne, szczęście inteligenckie i robotnicze, szczęście starości i szczęście młodości, szczęście matek i córek, szczęście ojców i synów, szczęście mieszkańców osiedli chronionych i szczęście blokowisk niechronionych, szczęście ministrantów i narkomanów, szczęście policjantów i złodziei, szczęście lekarzy i pacjentów, szczęście modernistów i postmodernistów, strukturalistów i poststrukturalistów, szczęście postępowców i szczęście konserwatystów, szczęście biskupów i szczęście gejów, szczęście rabinów i proboszczów, szczęście wierzących i niewierzących, białych i czarnych, grubych i chudych, wysokich i niskich... Boże drogi, i co tu z tym nadmiarowym bogactwem zrobić?

A tak naprawdę liczy się tylko jedno. Trafić na właściwą osobę. Jak to się nie udaje, przegrane jest wszystko. A jak się udaje, należy wyśpiewywać co rano hymny podniebne wdzięczności – nie wiadomo zresztą do kogo. Bo szczęście jest zawsze niezasłużone. Ani go wyblągasz, ani wypracujesz, ani wymusisz. Jego prawdziwą nazwą, którą wypowiadamy niechętnie, jest Niesprawiedliwość.

Ach, sporządzić osobisty katalog szczęśliwych chwil. Opisać czule każdą, wgrzyźć się w nią, przeświecić, rozświecić, pokazać w całej okazałości i jedyności. Zamiar piękny – ale... Bo niby wiadomo, kiedyśmy szczęśliwi, kiedyśmy nieszczęśliwi, ale pojęcie (i odczucie) szczęścia to jedna z najbardziej tajemniczych spraw... Nawet jeśli czujemy się szczęśliwi, nigdy nie czujemy się szczęśliwi do końca. No, może przez krótki jak mgnienie moment, kiedy w miłosnym uniesieniu tracimy świadomość razem z kimś, kogo kochamy.

Moja definicja szczęścia bezwarunkowego, niewątpliwego, bezdyskusyjnego? – Szczęście to chwila, w której czuję, że mogę być – a może nawet jestem – przyczyną czyjegoś szczęścia.

Poniedziałek, godzina 23.41. Dobra samotność

O, piękne są chwile, gdy odgradzam się od świata zamkniętymi drzwiami mieszkania, w którym jestem tylko ja, a wszelkie włókna nerwowe, które łączą mnie z niebem i ziemią, zostają przecięte. Właśnie w samotności czuję się najlepiej, gdy rozrasta się i umacnia moje skromne ja, które niczym astralna ektoplazma wypełnia sobą wszystkie zakamarki pustych pokoi. Ustępuje dziwny ból, który ściska serce pod mostkiem, tłumiąc moje światło wewnętrzne samą cudzą obecnością, która zawsze czegoś ode mnie chce, natarczywa nawet w uprzejmym milczeniu?

Co jakiś czas rozstajemy się z K. na wieki. Mieszkamy osobno, w oddaleniu, które nas umacnia i osłabia? Ona jedzie pomieszkać na Ujeścisku, ja zostaję na Morenie, w naszym mieszkaniu na szczycie betonowej wieży, z której okien północnych widać morze, a z okien południowych wzgórza Kaszub i światła lotniska w Rębiechowie. Oświetlone odrzutowce schodzą spod chmur do lądowania nad Jasieniem, migają zielono-czerwonymi światłami, jak fosforyzujące owady rozkładające skrzydła za szybą, która delikatnie brzęczy i drży. Uspokaja mnie ten majestatyczny lot, gdy równolegle do naszych okien przecinają ciemne powietrze nocy nad domami osiedla, znikając za grzbietem lasu na niewidocznym pasie startowym.

Więc całe dnie żyję wbrew mojej, najgłębszej, naturze, która zawsze skrycie marzyła o zupełnej duchowej samowystarczalności, możliwej do osiągnięcia tylko we śnie?

Nigdy nie miałem kłopotów z samotnością. Nigdy się jej nie bałem, tak jak boją się jej ludzie. Moim zmartwieniem był raczej nadmiar ludzi niż ich brak. Pamiętam powszechny strach kolegów z czasów dzieciństwa, że co to będzie, jak inni koledzy nie będą chcieli się z nami bawić na podwórku. Ten strach ciągle widzę w oczach dorosłych, w ich krzątaniu towarzyskiej, podszytej niepokojem odrzucenia, lecz ja tego strachu nie znam zupełnie, raczej czekając niecierpliwie na chwilę samotności niż broniąc się przed nią. Ale może dzieje się tak dlatego, że nigdy, odkąd poznałem K., nie czułem się tak naprawdę samotny nawet przez jedną minutę,

choć bywało, że byłem gdzieś zupełnie sam, na przykład w długich podróżach po Europie i Ameryce, gdy K. zostawała w naszym gdańskim domu?

Moja samotność zawsze była zabarwiona jej obecnością, więc tak naprawdę nigdy nie byłem sam, chociaż wiele razy miałem wrażenie, że urodziłem się, by żyć w samotności. Gdyby nie K., wszystko byłoby pewnie inaczej.

Piękna jest taka samotność we dwoje, gdy oddalenie zbliża nas, bo już na drugi dzień po rozstaniu muszę w słuchawce telefonu usłyszeć jej głos. Serce nie chce niczego więcej, tylko paru słów, które są potwierdzeniem obecności, jakby oddalenie wyrażało uczucia, jakie na co dzień przesypują się w nas niczym piasek w klepsydrze. Ta chwila, gdy w telefonie słyszę słowa K., którym odległość nadaje metaliczne brzmienie.

A to wszystko na dziwnym, wiecznotrwałym podkładzie dawnego, studencko-młodzieńczego koleżeństwa, przyjaźni podszytej żartem, zaczepną kpina, która nie rani, lecz właśnie przyciąga jak dotknięcie ciepłej dłoni, leciutko tar-moszącej po włosach usypiające dziecko. I jeśli nawet czasem dochodzi do spięć, ratuje nas to, że umiemy śmiać się z samych siebie. Ileż to razy uratowała nas przekorna skłonność do wygłupiania się, która poważną chwilę umiała zmienić w kpiarski incydent, jednym machnięciem ręki obezwładniając to, co najgorsze.

Może wszystko bierze się stąd, że żadne z nas nie zabiło w sobie głupiego, pogodnego dziecka, które umie bawić się w dom i nie do końca poważnie traktuje życie? Bo kto umie bawić się w dom, ma szansę na mądre życie? Tylko ilu z nas – dorosłych, zużytych – umie się bawić w dom?

Boże drogi, jak to się stało, że w całym naszym życiu nawet jeden raz nie mieliśmy cichych dni, kiedy to urażliwe dusze zamykają się w dziwnej zapiekłości, by milczeniem ukarać drugiego za własne grzechy. Może jesteśmy jak dwie igły, które się odnalazły w stogu siana? A może broni nas przed klęską dystans, który każe wybuchnąć śmiechem, gdy czujemy, że w sprzeczce posunęliśmy się za daleko? Zdolność do wzruszenia ramionami w chwilach, gdy dusza chce się zmienić w gniazdo os? A może już zaczynamy rozumieć, że nie warto marnować minut na przepychanki, które mogą nas ranić? Skoro rani nas życie, po co mamy ranić siebie, niepotrzebnie upierając się przy swoim? Zbawia nas poczucie obowiązku, rygor pracy, który sami sobie umiemy narzucić?

A może po prostu potrafimy żyć razem w przyjaznej samotności, która samą siebie rozumie najlepiej?

K. wierzy, że miłość można cierpliwie budować jak jasny dom na równinie. Ja wierzę w głęboką niesprawiedliwość, która obdarza ludzi miłością bez żadnej zaśluzgi, jakby na ludzkie głowy sypała nagrodami z dziurawego kosza. Po prostu nie wiadomo dlaczego, jednych obsypuje złotem, a drugich brudną sadzą. Tu – K. i ja – rozmijamy się zupełnie.

Co nie przeszkadza nam siedzieć razem przy śniadaniowym stole z uśmiechniętym sercem, które swoją jasność czerpie nie wiadomo skąd.

Wtorek, godzina 12.34. Nowe chrześcijaństwo?

W dzieciństwie nad moim łóżkiem wisiał drewniany krzyż z ukrzyżowanym Jezusem. Były takie noce, kiedy patrząc na wychudłego mężczyznę, przybitego gwoździami do dwóch skrzyżowanych belek, któremu po żebrach ściekała krew, nie mogłem zasnąć. Cóż to był zresztą za zwyczaj, żeby nad łóżkiem paroletniego dziecka wieszać scenę tak straszną jak sceny tortur z gestapo. Bo scena Ukrzyżowania jest tak strasza jak sceny tortur z gestapo. Ale nikomu to nie przeszkadzało.

Pamiętam, jak w jakiejś chwili zaczął mnie przerażać zupełny spokój ludzi w obliczu Ukrzyżowania.

W kościele patrzyli na Ukrzyżowanie, siedząc sobie spokojnie w ławkach, niektórzy ziewali, przysłaniając dłonią usta, a nawet z lekka przysypiali.

Oburzało mnie to do głębi. Jak można – powtarzałem sobie w duchu – krzyczeć z przerażenia na widok takiej męczarni? A tu po dobrym śniadaniu ludzie szli sobie do kościoła, zasiadali wygodnie w kościelnych ławkach, patrzyli na scenę tortur – i nic. Chrześcijaństwo odsłaniało się przede mną jako religia, która oswajała ludzi z widokiem męczarni. Przyzwyczajała do patrzenia z pełnym spokojem na absolutny ból. Znieczulała serca w obliczu niewyobrażalnego cierpienia. Uczyla spokojnego zobojętnienia, zamaskowanego szczerym żalem. Siedzisz sobie w ławce, patrzysz na torturowanego Człowieka i dyskretnie ziewasz, zaśluchany w miłą melodię organów. Człowiek przyzwyczaja się, jeśli długo chodzi do kościoła. Po jakimś czasie na widok Ukrzyżowania nie czuje już nic z tego świętego przerażenia, które czuł, kiedy był dzieckiem. Ot, wisi sobie Jezus na krzyżu i tyle.

Oczywiście modlitwami i śpiewami kościelnymi wyrażano smutek i żal z powodu Ukrzyżowania biednego Jezusa, ale obrzędy, w których uczestniczyłem, mówiły coś jeszcze: – To straszne, że Jezus strasznie się męczył, żywcem przybity gwoździami do dwóch skrzyżowanych belek, ale z drugiej strony to bardzo dobrze, że się męczył, bo męczył się dla naszego dobra. Z miłości do nas. Jak by się tak nie męczył, to byśmy nie mogli dostać się do Nieba. Ta męka i krew przelana bardzo nas zasmuca, ale jest dla nas korzystna. Za cenę strasznego bólu mężczyzny przebitego gwoździami będziemy mogli przez całą wieczność słodko wypoczywać na niebiańskich wakacjach w słońcu Wiecznego Szczęścia.

Oburzała mnie taka cena niebiańskich przyjemności. Uważałem, że to podłe, zgadzać się na taką cenę. Jak można cieszyć się własnym, wiecznym szczęściem, wiedząc, że ktoś zapłacił za to tak strasznym cierpieniem? Że Jezus sam się dobrowolnie wydał na mękę za nas? Jak można spokojnie przyjmować tak strasznego dar? Nie chciałem być zbawiony za taką cenę. Nie chciałem, żeby za moje pośmiertne przyjemności ktoś oddawał życie w sposób tak straszny. Nie godziłem się na to, żebym ja dostąpił wiecznej radości za taką okropną cenę. Jak można czuć się szczęśliwym choćby przez chwilę, wiedząc o tak strasznym cierpieniu, które jest warunkiem szczęścia?

W jakiejś chwili uświadomiłem sobie, że w całej Ewangelii nie ma nawet jednego człowieka, który choćby tylko próbował czynnie uratować Jezusa od męczarni Ukrzyżowania. No, był oczywiście Piotr, który wyciągał miecz w obronie Jezusa, ale dużo chętniej powtarzano sobie słowa: „Schowaj miecz, Piotrze”. Bo czyż Jezus sam nie powiedział, żeby go nie bronić? Tak to sobie wygodnie tłumaczono.

Rozmyślając nad tym wszystkim, w jakiejś chwili zacząłem myśleć o takim chrześcijaństwie, w którym najważniejszą opowieścią nie byłaby opowieść o korzystnych dla nas, zbawczych męczarniach Jezusa, tylko opowieść o kimś, kto za wszelką cenę próbowałby uratować Jezusa od Ukrzyżowania.

I tak pojawił się obraz kobiety, która gotowa byłaby zrobić wszystko, by Go uratować od tortur strasliwej śmierci. Przecież – myślałem – to Maria z Nazaretu powinna wszelkimi sposobami starać się o ocalenie Syna! Robić wszystko, by go uratować! Organizować pomoc, żeby wyciągnąć Go z więzienia! Przekupywać kogo się dało, żeby nie został ponizony i zmasakrowany! Tymczasem ona nie robiła nic.

Nawet nie próbowała. Wolała stać pod krzyżem i płakać. Zresztą nikt poza Piotrem nie zrobił nic, by uratować Jezusa.

Chciałem dodać do Ewangelii postać, która była gotowa zrobić wszystko, by Go uratować. I pomyślałem, że to powinna być kobieta. Nie mężczyzna. Po to napisałem *Pannę Ferbelin*. Żeby była chociaż jedna taka postać na całym świecie. Oczywiście, nie miałem złudzeń. Doskonale wiedziałem, że nikt nie pragnie takiej opowieści. Bo kogo takie rzeczy obchodzą? Ale miałem przynajmniej czyste sumienie, że napisałem to, co napisałem.

A K. była w pobliżu. To jej obecność mnie natchnęła. Jej wieczna, czysta wola pomocy, która mnie zawsze urzekała. Jakbym dotykał czegoś najświętszego, co nie jest z tego świata. Nieważne czy K. była chrześcijanką, czy nie. Ważne, że miała duszę chrześcijańską, której mogli pozazdrościć jej wszyscy chrześcijanie.

To właśnie to dobre światło, które biło z jej serca, zrodziło pannę Ferbelin.

Sobota, godzina 18.24. Nędzarz i Piękna

Do tramwaju wsiedliśmy na Hucisku. Miejsca zajęte, więc stanęliśmy przy schodkach prowadzących na wyższą platformę. Za nami wszedł bezdomny. W rękę trzymał tranzystorowe radyjko. Za sobą paroma szarpnięciami wciągnął do wagonu metalowy wózek dziecięcy, zapchany tekturą i szmatami. Miał ciemną cerę, czarne włosy w strąkach, które spadały mu na oczy, policzki pocięte bruzdami, ciężkie, obrzmiałe powieki, nastroszone brwi. Był brudny i potargany. Kiedy usiadł przy oknie, jeszcze bardziej podkręcił muzykę, tak że rwało powietrze uderzeniami perkusji i gitar. Starsza pani, obok której usiadł, odwróciła głowę, by go nie widzieć. Radyjko uniósł nad głowę. Miał wytarte džinsy, postrzępione, dziurawe, z ciemnymi plamami tłuszczu na nogawkach. Oczy, którymi na nas spojrzał, były mętne i zmrużone. Hałas muzyki rockowej wypełnił cały tramwaj, niemal zagłuszając stukotanie kół na rozjazdach. Kobieta z czerwoną torebką, która stała obok nas, krzyknęła w jego stronę: – Może pan ściszyć tę muzykę?! Głowa od tego pęka! – Ale on wyglądał tak, jakby jej nie słyszał. Przytknął radyjko do ucha i rytmicznie kiwając głową w rytm uderzeń bębna, przytupywał sobie obcasem. Ludzie z dalszych miejsc odwracali się w jego stronę, ale on wyglądał tak, jakby w ogóle nie wiedział, gdzie go zanosło. Łoskot muzyki był okropny, bo radyjko na dodatek chrypiało, co jemu wcale nie przeszkadzało.

Gdy tramwaj dojechał do następnego przystanku, do wagonu wsiadła para z dzieckiem w wózku. Ona, dwudziestoparoletnia, długowłosa, w niebieskich szortach, zgrabna, wytatuowana na rękach i szyi. On, trzydziestoparoletni, starannie ostrzyżony, przystojniak w czarnym tiszercie, z tatuażem na przedramieniu. Wózek z dzieckiem wniósł do wagonu, postawił pod oknem, naprzeciwko drzwi.

Ona tymczasem od razu z krzykiem rzuciła się na nędzarza: – Ścisz to radio, ku... wa! Nie widzisz, że dziecko śpi?! – Ale brudas z radykiem przyciśniętym do ucha patrzył przed siebie zamglonymi oczami. Kobieta pochyliła się w jego stronę: – Zamknij to radio, słyszysz, gnoju! – Po czym pobiegła przez cały wagon do motorniczego. Po chwili wróciła wściekła, przeklinając pod nosem, bo motorniczy ani myślał wychodzić ze swojej kabiny. Wtedy jej mąż, który trzymał przed sobą wózek z dzieckiem, ryknął na bezdomnego: – Ty, ku...wa, jak tego nie wyłączysz, to ci przypie...dolę z kopa w mordę!

Kobieta z wyrazem obrzydzenia patrzyła na nędzarza, jakby poczuła pod nogami glistę, którą trzeba rozdeptać. Drogi, biały tiszert, wyprany do śnieżnej białości, ładnie opinał jej piersi. Miała pięknie opalone ramiona ze wspaniałym tatuażem, drogie sandały zapinane na złotą klamerkę, świeżo umyte, piękne włosy, spadające falistymi skrętami na ramiona i plecy, starannie wymalowane oczy. Ludzie siedzieli, udając, że niczego nie widzą, a ona trzymając się lewą ręką niklowanej rury, pochylona, zaróżowiona po czubki uszu, rzucała w stronę nędzarza wyrazy sprawiedliwego gniewu. Chciałem powiedzieć jej, żeby dała mu spokój, bo on i tak pewnie zaraz wysiądzie i cała sprawa rozejdzie się po kościach, ale K. powstrzymała mnie, więc tylko stałem i patrzyłem.

Nędzarz był podobny do kogoś, kogo znałem. Miał twarz hiszpańskiego mnicha, przeciętą wąską szczeliną wilgotnawych ust, które coś tam mamrotały pod nosem. Palce lepkie od brudu z połamanymi paznokciami o czarnych obwódkach ścisnęły tranzystorowe radyjko, z którego wybuchały uderzenia gitar, zmieszane z wrzaskami rockowców i łomotaniem bębnów. W całym tramwaju z pewnością nikt nie był po jego stronie, a i on sam odgradzał się od nas wściekłym hałasem. Niby był razem z nami, na tej samej Ziemi, ale tak naprawdę był gdzie indziej. A gdzie, sam pewnie Bóg jeden wie.

Tramwaj dojechał do następnego przystanku. Nędzarz nagle zerwał się ze swojego siedzenia i wymijając mężczyznę z tatuażem, wytoczył się razem ze swoim

szmacianym wózkiem z wagonu na betonowy chodnik. Przez chwilę rozglądał się bezradnie, jakby nie wiedział, w jakim kierunku iść. Była w jego ruchach twarda stanowczość wymierzona przeciwko całemu światu? Wsadził grające radyjko pod kupę szmat, spiętrzoną na metalowym wózku, przykrył gałganami, docisnął łokciem. Mętny dźwięk rockowej muzyki dobywał się z kłębowiska brudów jak krzyk spod powierzchni wody. Po chwili zgasł.

Kobieta była wybitnie ładna. Jej dłonie – drapieżne, szponiaste – z długimi paznokciami koloru jaskrawej czerwieni, chciały rozgnieść tego brudnego robaka, który pojawił się na jej drodze? Kiedy tramwaj ruszył, zobaczyłem przez okno, jak nędzary kulawymi krokami idzie przed siebie. Wiotki w stawach, chwiał się przy każdym kroku jak nadłamana gałąź pod uderzeniami wiatru. Jego cień, rzucany przez słońce, szedł w stronę podziemnego przejścia jeszcze bardziej niezdarnie i chwiejnie niż on sam, potykając się na betonowych płytach chodnika.

A oni? Kim byli? Właścicielami małej pizzerii? Samochodowego warsztatu? Sklepiku warzywnego? Lodziarni? Kebabu? Z pewnością należeli do udanych, którym los sprzyja. Ich śliczne dziecko w dżinsowym kombinezoniku – chłopczyk o jasnych włoskach – patrzyło z wózka na wszystko szeroko otwartymi oczami. Bluzgając na brudasę, czuli, że czynią dobrze? Dokładnie tak, jak powinni?

Poniedziałek, godzina 18.22. Milczenie, mówienie,
kobieta w życiu pisarza

Mam naturę skrytą, zamkniętą ciasno na klucz, pchać się nie lubię na widok, a muszę – bo, nie ma rady, muszę – występować w telewizji, w teatrach, na targach książki, w salach wykładowych, na spotkaniach autorskich, na uniwersytetach, na okładkach książek, czasopism, gazet, kolorowych magazynów, w Internecie. Bo jak jesteś niewidoczny, nikt nie zajrzy do twoich książek? Pamiętam, co mówił Jan Błoński, kiedyśmy się spotykali w Żarnowcu: – Tak to już jest! Nie ma rady! Nikt nie czyta nieznajomych! – Więc moją naturę skrytą, milkliwą, wilczą, co jakiś czas heroicznym sposobem przerabiam na zupełnie obcą mi naturę jawną, publiczną, reflektorową.

Ale nie mam wyjścia, bo jak ludzie nie wiedzą o twoim istnieniu, po prostu nie istniejesz, więc coś mną zawinęło jak trąba powietrzna, coś mnie wyciągnęło z milkliwej skrytości na drażniącą jasność, coś rzuciło na scenę i teraz oto stoję

przed wami w pustych światłach, mrużąc oczy jak rozespana dziwka, którą prosto z łóżka wyciągnięto na środek ulicy – i udaję, że mnie to mocno cieszy?

A u samego spodu zawsze to samo ciche, zawzięte uczucie niechęci, monotony opór, zdziaczała świadomość, że wcale nie mam ochoty mówić i pisać do kogokolwiek o czymkolwiek, szkoda czasu, na co, po co, milczenie jest moim stanem naturalnym, czuję się w nim jak ryba w wodzie, oceaniczny przestwór, cisza wewnętrzna, w której pływam się z rozkoszą. Ale co robić z tą wieczną, nieprzepartą potrzebą mówienia, z tym strachem przed ciszą, co wymazuje ze świata, z tą potrzebą zderzania się z ludźmi, ożywiającej walki na słowa, tym pragnieniem, by metafora, metonimia, synekdocha zadrasnęła do krwi, do żywego mięsa, do samych nerwów. Tak jakby moja skóra wiecznie łaknęła cierniowych zadraśnień krzaku gorejącego?... Bo naprawdę tylko poparzenia nas budzą z nicości? Bo tylko one się liczą naprawdę?

Tak więc żyję sobie dniami i nocami w sprzecznościach, w których dusza moja rwie się na strzępki. Raz zbieram się do skoku między ludzi, mówię do nich, wołam, wykrzykuję, chwytam za łokieć, przekonuję, upieram się przy swojej racji, żądam, protestuję, bronię wartości, potem wycofuję się jak ślimak do swojej muszli, posiniaczony, poparzony, zniesmaczony – i za chwilę znowu pragnę nowych poparzeń, by się utwierdzić w sobie, że jednak istnieję? Bo wystarczy, że opuszczam przestrzeń zderzających się słów, a byt mój ziemsko-anielski pryska jak bańka mydlana?...

Nigdy nie wysyłałem moich tekstów do kogokolwiek z prośbą o radę i ocenę. Nigdy nie radziłem się kogokolwiek w sprawach pisania. Tu trzeba samemu twardo decydować, co ma być napisane, a co nie. Ale tak naprawdę czyż nie działa się tak dlatego, że Ona pierwsza zawsze czytała to, co napisałem? Więc dlatego ze mnie taki chojrak, zupełnie obojętny na cudze gadanie? Więc to dlatego czuję w sobie tę niespożytą, spokojną siłę, która mnie niesie jak na skrzydłach? Więc to dlatego mogę sobie pozwolić na wzruszenie ramionami, gdy słyszę skargi tych, którzy – samotni jak palec – żalą się, że nikt z najbliższych nie czyta tego, co piszą? Co z tego, że masz sławę, skoro własna żona ma gdzieś to, co napisałeś, syn wzdyga się na samą myśl, że musiałby przeczytać najnowszą prozę ojca, córka odwraca głowę, bo ma dość całej tej pisaniny?

Biedacy! Ileż to ja widziałem takich związków pisarsko-mażeńskich, w których kobieta ma kompletnie gdzieś pisanie swojego mężczyzny! A on – biedaczek –

szuka wszędzie duszy przychylniej, współczująco mądrej i żebrząco się łąsi do ludzi, żeby tylko łaskawie ktoś zechciał rzucić okiem na to, co właśnie napisał. O, jakże oni są spragnieni, by ktoś rzucił krytyczno-przychylnym spojrzeniem na bolesne linie ich wyrwanego spod serca pisma! A tu ukochana żona ma gdzieś najnowsze dzieło, kochanka ziewa, gdy dostaje do rąk świeżutki wydruk komputerowy, siostra wzdryga się na sam widok zapisanych kartek, a brat wychodzi z pokoju, gdy tylko teczkę tekturową z maszynopisem na stole zobaczy, bo ma sprawy dużo ważniejsze.

I wtedy na nic wszystkie publiczne pochwały, na nic gloria, sława, nagrody, honory, trąby i dzwony, wieńce laurowe i premie, gdy ktoś tobie najbliższy ma zupełnie gdzieś to, co napisałeś, gdy bliska ci kobieta mówi, że całe to twoje pisanie to jest twoja prywatna sprawa, zajmuj się tym sam, jak już musisz, ale nie zwracaj mi głowy, idę do fryzjera, idę do koleżanek, idę na fajf. Dwa równoległe życia – jej i jego – biegną sobie obok siebie i nigdy nie przetną się w nieskończoności, pustka w domu, więc od razu szukanie ratunku poza domem, wódka z kolegami, głędzenie w pubie, knajpa, gwóźdź do trumny, klęska. Ja, kochany, mam swoje życie, ty, kochany, masz swoje życie. A jeśli już coś tam piszesz, to pisz tam sobie, ile chcesz, mnie nic do tego. Polakierowane paznokcie, szminka, tusz.

A ja? Za jakie to właściwie zasługi wobec Boga i ludzi mam taki komfort duchowy, że mogę się z tych wszystkich samotnych zmartwień i psychicznych skręceń śmiać z całego serca – dzięki Niej?

Gombro miał Ritę gdzieś. Słyszałem, że traktował ją – jak służącą. Wątpliwe, by dawał jej do czytania kawałki swojego dziennika przed puszczeniem do druku. Jeszcze by czego! Na dziennikowych kartkach wspomniał o niej może ze trzy razy, chyba nie więcej, chociaż był z nią przez całe lata. Tak jakby wyparowała w mgliste tło. A ona mu po tym wszystkim zapewniła jeszcze pośmiertnie – drobiazg! – przekłady na czterdzieści języków! Własną pracą i upartym staraniem!

Miłosz narzekał na Jankę, że złośliwa, ale w głębi ducha piał ze szczęścia, że chciała swoim lodowato-przenikliwym spojrzeniem przeświećlać jego rękopisy – jako pierwsza... Bardzo cenił jej opinie, nawet te mocno kwaśne. Podobnie było z Renatą i Carrol. Tylko pozazdrościć!

MAREK KĘDZIERSKI

Marginalia (5)

– Ja już to robię od wielu lat, pan mógłby powiedzieć: od niepamiętnych czasów. Jeszcze jest pan młody, ale włosy pana już trochę słabsze niż jeszcze niedawno temu. Powiedziałbym: mocno słabe. Ja, proszę pana, przyjmuję tu ludzi od pół wieku, od czasów Bieruta siadają przede mną, na moim fotelu, rozmaite głowy, starsze i młodsze, chore i zdrowe, białe i czarne, ryże i całkiem rude, ostatnio pojawiły się nawet zielone i turkusowe, jak siarczan magnezu, nie mogłem uwierzyć, ale *de gustibus...*, jak nas uczyli, choć to niesamowite, pleć męska, z własnej chyba nieprzymuszonej woli, farbuje sobie włosy. Kolejna moda. Tu, na Karmelickiej, jestem już od lat czterdziestu, pan sobie wyobraża? Czasy się zmieniły, czasy się nieustannie zmieniają, a przez ten czas kogo ja tu nie miałem? Lekarze i pielęgniarze, inżynierowie i zwykli robotnicy, nawet chłopci, naród w przekroju, profesor Markiewicz na przykład, tu, na moim fotelu, artyści, muzycy, kilku tancerzy też było, wspólna troska o włosy, oni biorą, ja daję, różni mundurowi, ale głównie wyżsi funkcjonariusze, od razu ich pan rozpozna, odróżni, jak tylko w drzwiach staną. To jest moja wspólnota, wszyscy do mnie przychodzą, nawet kilku łysych, mówi pan Władysław, strząsając na podłogę obcięte kosmyki moich włosów. Wszystkim jedno jest wspólne.

– Pana włosy w pana wieku przechodzą wraz z panem w inną fazę. Te, co jeszcze nie wypadły, stają się coraz cieńsze, rzadsze, że tak powiem i coraz słabsze. Za każdym razem, kiedy pan do mnie przychodzi, a przychodzi pan przecież dobrych parę razy w roku, jak pan wpada do Krakowa, zauważam też, że złoto ustępuje pola srebru, pewnie miał pan blond włosy, a teraz będzie dominować kolor mądrości. Bezpowrotnie, niestety. A może i stety. Jak ktoś ma słabsze włosy, to ja, tak jak u pana, stosuję technikę, którą dla takich jak pan, jak pana włosy, wypracowałem przez lata. Między zęby grzebienia wprowadzam trochę waty, cienką warstwę,

i przeciągam grzebieniem przez tę przerzedzoną czuprynę, o tak! Efekt oczyszczający i, powiedziałbym, włosom dodający ciała. Widzi pan? Optycznie stają się jakby gęściejsze, poprawia się ich jakość. To nieco wyrównuje szanse – po wyjściu od pana Władka z Karmelickiej będzie miał pan takie włosy, że nie ma mocnych – oczywiście w ramach tego, co da się zrobić. Ja już, proszę pana, zęby zjadłem na głowach słabych i mocnych. Pańska raczej słaba, ale na przykład choćby pan Zbyszek, wie pan, ten z ujotu, co tu co dwa tygodnie przychodzi – prawnicy, proszę pana, prowadzą uregulowane życie – ma włosy, jak ze stali. I o takim połysku jak stal, albo jakiś minerał. Mówię stalowe, bo on ma włosy jak z drutu – ja, proszę pana, jego obsługując, nie muszę wkładać w grzebień żadnej waty. Nasz prawnik z Krakowa. Wielka szycha, ale jak robię mu włosy, potulny jest jak baranek, kulturalny. Wie pan o kim mówię, prawda? Szkoda, no widać, niestety, że pan nietutejszy, choć niby stały klient, ale jeśli jego pan nie zna, to znaczy, że pan nietutejszy, no bo tu go wszyscy znają. Młody i z polotem, i często wita w moje skromne progi. Karierę mu wróżą ogromną, ktoś z włosami ze stali, ta stal się zahartuje, on się nie ugnie, ma też stalowy kręgosłup moralny. I mocną głowę. I w szyję chyba nie daje. Nie da sobie w kaszę dmuchać.

Opowiadam bratankowi o panu Władku z zakładu fryzjerskiego przy Karmelickiej.

– Wujku, nie przejmuj się, przecież, jak sam mówiłeś, Giacometti twierdził, że włosy są kłamstwem, że prawdą jest czaszka. Poza tym, twoje wizyty u pana Władysława to pewnie było jeszcze, zanim zaczęto stosować osocze bogatopłytkowe? – pyta bratanek.

– Osocze Boga co? – odpowiadam, pytając.

– Nie Boga, tylko boga-to-płytkowe. To są zabiegi przeciw łysieniu. Mezoterapia osoczem bogatopłytkowym pozwala w znaczny sposób zagęścić włosy, poprawiając ich jakość. Osocze odżywia skórę głowy i pobudza ją do pracy.

– Hmm, to musiało być dużo wcześniej. Wtedy ludzie wcześniej łysieli.

– A co to za minister z tymi włosami?

– Chybaś nietutejszy, bratanku mój, skoroś nie słyszał. No ale nie z włosami jak stal się go kojarzy. Na pewno go znasz. To solidarna twarz nowej zmiany.

– Co do włosów i mocnej głowy, to przypomniało mi się coś, co, zresztą za twoim, wujku, podszeptem, przez ciebie kiedyś podjudzony, widziałem na youtube. Dwie doskonale udrapowane głowy, w ujęciu z tyłu, bez twarzy, na tle pięciu widzianych frontalnie głów z twarzą. I taki obrazek: eleganckie wnętrze pałacowe, a w nim, między dwoma wysokimi po sufit salonowymi oknami, umieszczone z dbałością o staranną symetrię dwa na wysoki połysk wyczyszczone stoliki, których blaty biją w oczy barokowym blaskiem, a ich z barokową fantazją wykrzywione nogi ze szlachetnego drewna w liczbie ośmiu uzupełniają z niewymuszoną elegancją umieszczone pod blatami obu stołów nogi i stopy męskie w realu, mówi bratanek, u lewego stolika cztery nogi męskie, pod prawym blatem cztery kolejne męskie, zaś między nogami panów, a zarazem między stolikami, cała postać kobieca. Nad ową panią, jedyną w tym męskim gronie, widać niemal symetrycznie zawieszony pejzaż w złotych ramach, z dużym tak zwanym artyzmem oddający realistycznie nasz krajobraz, chyba park jakiś ważny. Grupa ekspertów kultury spotkała się, nie za darmo, mówi bratanek, pod pejzażem, niewykluczone, że są to królewskie lub książęce ogrody, tu wszystko musi być wykwintne, więc ta silna grupa pod wezwaniem wystąpiła w nader subtelnie, z założenia, zaaranżowanym kadrze, oflankowana postawionymi na starym, dębowym parkiecie, białoczerwonymi flagami. Po stronie dwóch fryzur męskich na prawo dwie uroczyście, acz z poczuciem umiaru udrapowane flagi, po stronie lewej również flagi dwie, równie starannie udrapowane. Na postać w centrum nie starczyło ani blatu, ani flagi, dzięki temu wszakże widzimy ją, jedyną pośród siedzących przedstawicielkę płci pięknej, w całej krasie. Na tę grupę Laokoona spozierają dwie wspomniane głowy bez twarzy, tak zarejestrowane przez kamerę pałacowej telewizji. Jak się okazało, są to głowy ministerialne. Po prawicy elegancko uczesana popielata głowa ministra kultury, na lewicy zaś dobrze uczesana tudzież wytwornie ufryzowana na czarno głowa jego zastępczyni.

I wszystkie te głowy, pięć plus dwie, pokazane przez kamerę, a otoczone przez jakieś trzydzieści głów z tyłu na widowni, na godzinę z hakiem znalazły się w jednym czasie i w jednym miejscu w pałacu, i to w pałacu nie byle jakim, bo w naszym Belwederze, po to, by uroczyście, a zarazem niewymuszenie, swobodnie, na tyle, na ile przystoi, na ile przystanie, na uroczystym luzie godnie pogadać o teatrze. I jak na Belweder przystało, była to debata prezydencka, choć prezydent swoją obecnością jej nie zaszczylił. Odbyla się dokładnie dwudziestego września, do-

brze zapamiętałem tę środę, jako że dwudziestego września się urodziłem – mówi bratanek – więc nieobecny na debacie prezydent niejako mi tę debatę na urodziny sprezentował, zostawił mi upominek na portalu www.prezydent.pl.

To już nie czas siermiężnych początków odzyskanej suwerenności, kiedy to... wujku, pamiętasz, opowiadałeś mi o rozczochranych, odzianych niedbale ministrach w wytartych swetrach zaraz po wyborach w 1989 roku. Dyskusje odbywały się w skromnych wnętrzach, gdzie aż wiało niedostatkiem. Ale było o czym deliberować. Teraz drzewa liście na się wzięły, łąki państwa pięknie zakwitnęły, i siup, w starannie odnowionych wnętrzach dyskutuje sobie towarzystwo w dobrze skrojonych garniturach i w nieźle dopasowanych do nich krawatach, nie zdziwiłbym się, że od Diora. A o czym to? Co takiego nasz prezydent sprezentował mi na urodziny? Debatę o kulturze pod tytułem *Teatr polski – tradycja i przyszłość*. Czegóż to, pyta bratanek, dowiedzieliśmy się z tej debaty w wybranym gronie ekspertów w wybornych wnętrzach państwowo-pałacowych, prowadzonej przez dygnitarzy i faworytów władzy i partii w eleganckich strojach i, na ile to możliwe, perfekcyjnie ufryzowanych głowach? O teatrze teraźniejszym? Hmm, zobaczymy.

Pan prezydent jest nieobecny, pan minister owszem jest, przypomina o tym fryzura bez twarzy w prawym dolnym rogu ekranu, ale się nie odzywa – jako niemy świadek nie tyle nadzoruje, ile obserwuje starannie zaaranżowaną debatę o teatrze i w ogóle kulturze, zaserwowaną narodowi przez prezydenta na stulecie naszej niepodległości państwowej. Udział biorą: wicedyrektor kanału kultury w państwowej telewizji, świeżo upieczona dyrektorka agencji teatru telewizji, filozof, a jednocześnie redaktor pisma teologiczno-politycznego, licealny profesor z naszych wschodnich rubieży, tudzież, *last but not least*, pisarz, tłumacz klasyki światowej najcięższego kalibru oraz intelektualny stołeczny celebryta, autor światowego bestsellera o licealnej miłości na Żoliborzu. Mówią o wspólnocie Polaków.

Szkoda, że wśród prezydencko-ministerialnych ekspertów zabrakło przedstawicieli chłopów i robotników, wszystko byłoby w komplecie, jak za twoich czasów, mówi bratanek. Ale zabrakło też ludzi teatru, wtrącam. No właśnie, a przecież, jako żywo, o teatrze mowa, mówi bratanek. Minister pewnie przysłuchuje się tej debacie o teatrze bez udziału ludzi teatru z większą gwarancją spokoju, bo nie

wichrzycieli w Belwederze nam potrzeba, tylko wspólnego spokoju. Jest tak spokojnie i przewidywalnie, że w przerwach między wystąpieniami, lub w ich trakcie, ministrowi marzy się już pewnie jakiś film akcji, może obmyśla szczegóły kontraktu z Melem Gibsonem, tym razem w roli Tadeusza Kościuszki, bo w ramach światowego wizerunkowego spopularyzowania obecnej Polski warto zainwestować nawet spore pieniądze w jakąś wielką hollywoodzką produkcję.

Bez mała półtoragodzinną debatę zagał w pozycji stojącej przed mikrofonem podsekretarz stanu prezydenta, nazywany też desygnowanym przez prezydenta ministrem, zapowiadając, że oto eksperci-paneliści wypowiedzą się na temat wspólnotowości, w domenie teatru generalnie, a teatru polskiego partykularnie, i to zarówno w przeszłości, jak i przyszłości. Następnie desygnowany przez sekretarza ministra na moderatora debaty redaktor teatrolog, nim oddał głos wspomniał, jak to, wcale nie półgębkiem, zasugerował, panelistom, pozwolił sobie nawiązać do fundamentalnego tekstu, introdukcji do narodowej kultury słynnego u nas ostatnio profesora, w którym zawarta była pewna fundamentalna myśl, o której wspomniał pan minister prezydencki, mówi bratanek, zaznaczając, że będzie, moderator, cytował, tę myśl, a mianowicie o zasadniczej i nieodpartej publicznej roli teatru, zwłaszcza teatru polskiego. Zdaniem ministra, cytuję bratanka, rola teatru publicznego w Polsce zostaje właściwie od początku powiązana z dziedzictwem Grecji, w której jak wiemy, polityczność teatru, jego funkcja wspólnotowa właśnie, była także czymś zasadniczym. Wspólnotową polityczność polskiego teatru da się odnaleźć zwłaszcza w trzech pomnikach naszej polskiej literatury teatralnej. *Odprawa posłów greckich*, *Krakowiacy i górale* oraz *Wesele* to wielkie teksty, które jeszcze dziś decydują wręcz o przetrwaniu polskiego narodu, naczelne ogniwa historycznego łańcucha, naprawdę determinujące w przedstawianiu naszej teatralnej wspólnotowości na przyszłość. Teatr bowiem, ciągnął moderator, jak żadna ze sztuk, wiąże się z życiem społecznym, szczególnie polski teatr, który afirmuje wspólnotę narodową i dlatego dzisiaj rodzi takie emocje. Wprawdzie na przestrzeni wieków nasz teatr problematyzował kwestie metafizyczne, filozoficzne, egzystencjalne, psychologiczne, ale przecież spaja to wszystko jakaś nić wspólnotowa i narodowa, zaznaczył z emfazą moderator, na koniec wstępu do dyskusji, zadając zasadnicze pytanie, czym jest właściwie teatr i do czego nam jest potrzebny.

Odpowiedział na to nasamprzód żoliborski pisarz, o czym później, uprzedza bratanek, potem mikrofon powędrował do filozofa, redaktora i politycznego teologa, a przy tym znawcy antyku i pasjonata teatru antycznego, który zaznaczył, że mówiąc o współczesnym polskim teatrze, można sięgnąć do teatru antycznego nie bez racji, koniec cytatu, mówi bratanek. Na greckiej widowni, jak wiadomo, nie zasiadała zblazowana elita, podczas gdy ostatnio w teatrze aż nas korci, by krzyknąć „To nie ma nic wspólnego z Dionizosem”. No bo zamiast wyjawiać prawdy wspólnotowe ten niedobry teatr serwuje widzom to, co brutalne, wulgarne i prymitywne. Mógł temu tylko przyklasnąć kolejny panelista, nauczyciel licealny, który wdraża młodzież do kontaktu z kulturą wysoką i wychowuje na bazie wspólnie przyjętych wartości, aby budować wspólnotę. Idąc do świątyni sztuki, młodzi uczą się dobrych manier i zasad odpowiedniego ubioru. Niestety, jego wysiłek niszczą reżyserzy, którzy mizdrzą się do młodych i przerabiają całego Szekspira na jakieś wojny subkultur młodzieżowych gangów, to, co podniosłe, osadzają w rzeczywistości blokowisk, garaży czy wysypisk śmieci, do tego okraszając wszystko wulgarnym słownictwem i obscenicznymi gestami. Następnie głos zabrała pani między stolikami, dyrektor Agencji Kreacji Teatru TVP, cokolwiek to znaczy, zapowiadając rychłą odbudowę teatru telewizji. Przedstawiła zakrojone na szeroką skalę plany rewitalizacji ongiś tak popularnej instytucji licznymi produkcjami dla upamiętnienia stulecia odzyskania państwowości przez Polskę. Dwa sezony polskie, niepodległościowe, mają służyć budowaniu wspólnoty, Kościuszkę, Piłsudski, papież Wojtyła, w polskich domach telewizor będzie znów spełniał tradycyjną polską funkcję kominka domowego. Po pięćdziesięciu minutach odpytywania panelistów moderator zasygnalizował istnienie jakiegoś sporu na łonie kultury i oddał głos zebranym, trzy minuty na głowę. Po godzinie i jedenastu minutach wydarzyło się coś nie wiem, czy zaplanowanego, mówi bratanek, wyglądało to dość spontaniczne. Pani wiceminister kultury, której ciemne włosy dotychczas widzieliśmy bez twarzy u dołu ekranu, powstała ze swego miejsca na widowni, wreszcie ujrzeliśmy jej twarz, i stojąc z mikrofonem w ręku, w niepozbanionym wdzięku wystąpieniu, z sympatyczną pasją wskazała odpowiedzialnych za zasygnalizowany przez moderatora spór. Winowajcami za kryzys polskiego teatru są ci, którzy miast służyć naszej wspólnotcie, postanowili wysługiwać się wspólnotcie ponadnarodowej, opartej o zupełnie inne kanony, ludzie spod znaku krajowych i międzynarodowych festiwali.

Bez podawania nazwisk niepokornych reżyserów i twórców teatru, z którymi minister miał na pieńku, nie wspominając o urzędniczo-partyjnych próbach demonstacji tak zwanego nurtu krytycznego, o próbach wrogiego przejęcia znanych teatrów, wiceminister lekko tanecznym krokiem po pałacowym dywanie chodząc, potępiała tych, którym bardziej na sercu leży zaspokojenie potrzeb kosmopolitycznej widowni w obcych państwach w ramach różnych tam festiwali niż wspólnotowa solidarność z patriotyczną widownią naszych miast i wsi. A przecież mądrą polityką resortową można by napiętnować ponadnarodową utopię i przyciągnąć narodowych widzów. Co jest możliwe pod warunkiem wprowadzenia standardów XXI wieku, tak, żeby powstałe dzieło było „seksi”.

Wujku, tak zmysłowo zabrzmiało to słowo, jego echo jeszcze trwa w moich uszach, że niemal zapomniałem wrócić do pierwszego chronologicznie panelisty. Wujku, ten znany pisarz, reżyser teatralny i tłumacz, zaatakował temat debaty z najszerzej perspektywy. Jest w stanie wytłumaczyć sytuację i konflikt w środowisku artystycznym i kulturalnym w Polsce bezpośrednim związkiem z zagrożeniem naszego bytu państwowego, któremu grożą nie tylko jak dotąd, Rosja i Niemcy, ale także cały liberalny, bezbożny Zachód, z Francją na czele. Polska po prostu po raz trzeci znajduje się między dwoma bardzo silnymi ogniskami, które naciskają na nią z dwóch stron. Warto pamiętać o tym tak zwanym testamencie Piotra I. W Niemczech właściwie spotykało się z aprobatą, żeby Rosja i Niemcy graniczyły ze sobą. Po raz trzeci w historii Polska jest w podobny sposób zagrożona i cały konflikt, który dzieje się w Polsce i który się wyraża najsilniej właśnie, powiedziałby panelista, w kulturze, a w teatrze powiedziałby już w szczególności, jest funkcją tej sytuacji. Dlaczego tak duża część środowiska artystycznego w naszym kraju opowiada się po *tamtej* stronie, widać to dobitnie przez pryzmat tak zarysowanej sytuacji ogólnej. Winna jest temu ideologia, trudno uchwytana ze względu na to, że choć jest częścią zasadniczej polityki Unii Europejskiej, nie definiuje siebie jako ideologia, tym samym wykazując duże podobieństwa do komunizmu. A jej celem jest osiągnięcie nieograniczonej wolności przełamывania wszelkich tabu, to jest właśnie, zdaniem pisarza i tłumacza, ta kategoria *transgresji*, która pojawia się oczywiście w sztuce. Ta ideologia, zdaniem prezydenckiego mówcy, mówi mój bratanek, jest samobójcza, charakterystyczna ideologia dla zmierzającej cywilizacji i rzeczywiście należy taką obawę przyjąć, konkluduje pisarz, tłumacz

i ogólnie tłumacz. Wujku, to było w 2017 roku, a teraz mamy 2024. Niepokorni ludzie teatru nie zostali uciszeni, prezydent pozostał, Belweder stoi, czy nas jeszcze czekają kolejne debaty? Wujku, widzę jednak, że oczy ci się zamykają, widzę, że cię znużyłem. Przypomnisz mi, żebym wrócił do tematu?

– Żebyś wrócił do tematu?

– Tak, o włosach ministra.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Komora (9)

To jest to samo słowo i to samo światło, i ciemność, w którym przeszłość, teraźniejszość i przyszłość łączą się ze sobą. My, glina i ten, który nas ulepił. Odnowieni, z życiem przed sobą, w drodze.

Odrośl, różdżka, pień i korzeń.

Droga jest zawiła, ale słyszy słowa, jak ma iść. I czuje siłę, gdy jest zmęczony i bezsilny. Robak, nieborak obdarzony łaską. Dający świadectwo nie na swoją miarę, w mocy i duchu, jakie ma, w jedności lub dążeniu do niej, w próbach, w ćwiczeniach, w walce.

W grzęzawisku, zablokowany, martwy. I znowu idący do przodu, w świetle słów, w ich iskrach, iskierkach i blasku. Dla niego stając się nim i dla siebie nim się stając. Wiedząc, ile od każdego zależy i ile nie zależy. Oddając mu swój czas. Widząc, co znaczy wolna wola i jak przez nią działa zło. Marząc o współuczestnictwie, w ciemności.

Uwolniony z pułapki. W Nim, nie w Nim i znowu w Nim, w takim konglomeracie. Prowadzony. Wychodzi i nie wie dokąd idzie. W łasce, bez swojej zasługi.

Kim jest ten, który na pytanie: Kim jesteś? – odpowiada: Jestem głos. Będę do niego podobny, gdy zobaczę, jaki naprawdę jest.

Moc ciemności i moc światła. To, co się mówi, w kółko powtarza i to, jak się postępuje. Zmienia to moje wnętrze? A czy dobrze z nim współpracuję?

Przekształcenia, zewnętrzne i wewnętrzne. Życie słów, życie duszy.

Jego słowa są moimi słowami. Jego myśli są moimi myślami. Jego drogi są moimi drogami. Jakie owoce dają moje słowa? Czy głos, który słyszę, jest z nieba czy z piekła?

W ruinach, pośrodku Miasta. Czas już się wypełnił? Pamiętam jej usta, poruszała wargami, ale głosu jakbym nie słyszał.

Widzę wokół siebie opętanych. Miotają się i mówią głośno. Były takie lata, że nie słyszałem głosów i nie miałem widzeń. Potem wracały i znowu ich nie było. Wołanie pierwsze, drugie i trzecie, w rozmowie, w wewnętrznej ciszy, w pokorze, z uwagą. Nagle otwarte uszy. Nie słyszałem, słyszę, jak cud.

Słowa bez działania są martwe. Według, naśladowanie. Chcenie i niechcenie, w ruchu i w zastoju. Dotyk i brak dotyku, możliwości i skuteczność. W codzienności, każdego dnia, przez ludzi i w wydarzeniach. Nic ze swoją zasługą. Ja, grzesznik, sługa.

Mówiący: Mów! I słuchający, wsłuchujący się, niepozwalający upaść żadnemu słowu. Łączący się, w jednym duchu. W sobie i jakby już nie w sobie. W jego i w swoich oczach. Z wolną wolą, ale już jej nie spełniając. Mówiący: Dosyć! I słyszający: Mów! Posłuszny i nieposłuszny. W rygorze. Nie na drodze donikąd. Idący.

Z rogiem napelnionym oliwą. Posłany, składający dziękczynienie, oddany. W walce, jak na pustyni, wyrzekając się samego siebie, nie sam, stale w pogotowiu.

Niedokonujący sądu, bo zło od złych pochodzi. Odnowiony, znowu odnowiony, odchodzący od zmysłów.

W trzech zdaniach, głęboka treść, w tysiącu nic ciekawego, ani ważnego. Frazy u Jonasza: „Wstań, idź...”, „...wstał i poszedł...”. Poznanie, jak pokochanie, w tym krótkim czasie, tak mało korzystając. Nieprzyzwyczajony, natychmiast, nie licząc strat.

W działaniu. Z nim i w nim. Jak z podwojonym sobą. Słyszac podszepty diabła, ale starając się być wszystkim dla wszystkich. Te i inne słowa. W szyku, w toku, w ciele i w duchu, w głowie i w sercu. Patrząc, widząc i nie widząc, słuchając, słysząc i nie słysząc, rozumiejąc i nie rozumiejąc, w wyznaczonym wnętrzu, w środku, w pustce.

I tamten, który czai się obok. Słowa owocne i bezowocne, takie i takie, jedno i drugie. Słyszac, choć inni z tego się śmieją. Niszczą i atakują z wściekłością. Widać, z jakim skutkiem.

Zbawiony, potępiony, za sprawę, w sprawie. Jakby nie ja, ale przede wszystkim on, ja za nim, w szeregu. Kim jest? I kim ja jestem? Kim byłbym bez nich? Kim byłbym bez niego? Mając w ustach jego słowa, ale inną moc i mając zdać sprawę, zdający ją. Prosto, i nie prosto, ale niczego nie udając, mówiąc prawdę, jak najprościej i jak najjaśniej.

Tamten wścieka się i atakuje. Wie kiedy, gdzie i jak uderzyć i bije z wielką siłą, ale ja wiem, co mam robić, i posuwam się naprzód, z nadzieją, że skończy się pomyślnie. Trzeba być cierpliwym. Wiedząc, że jest się wspomagany i iść z podniesioną głową.

Opętani i wyzierające z nich duchy, jest ich legion, i nie próżnują. Jutro pojawią się znowu. Wściekli i wstrętli. Czy nie ma dla nich ratunku?

Z Hölderlina. Różnorodny w jedności. W jednej mocy, kierowany przez jedną siłę. Ja, nie ja, nie nie ja i coraz bardziej ten, który był na początku. W zarodku, w ziarnie, w zaczątku. Słowami, rozumem i wyobraźnią, w wolności. Rozstrojony, zestrojony, czujny.

Podmiot swoich działań czy przedmiot? I jeden, i drugi, w zjednoczeniu, w którym podział jest już niemożliwy. Bycie i tożsamość. „Nie ma dla nas żadnej pojmowalnej możliwości, która nie byłaby rzeczywistością”.

„Gdy mówię: ja jestem ja, to podmiot (ja) i przedmiot (ja) nie są ze sobą tak zjednoczone, że nie można by dokonać ich podziału, nie naruszając istoty tego, co ma być rozdzielone; wręcz przeciwnie: ja jest możliwe wyłącznie dzięki temu oddzieleniu ja od ja. Jakże mogę powiedzieć: Ja! Bez świadomości? Ale jak jest w ogóle możliwa samoświadomość? Dzięki temu, że przeciwstawiam się sobie samemu, oddzielam się od samego siebie, jednak nie bacząc na to oddzielenie, rozpoznaję siebie w tym, co przeciwstawione, jako tego samego. Ale w jakiej mierze jako tego samego? Mogę, muszę o to zapytać; bowiem pod innym względem jestem sobie przeciwstawiony. Tożsamość zatem nie jest zjednoczeniem podmiotu i przedmiotu, które zachodzi w sposób absolutny, a więc tożsamość nie = absolutnemu byciu.

Sqd [Urtheil] jest w najwyższym i najściślejszym sensie pierwotnym oddzieleniem najściślej zjednoczonych w oglądzie intelektualnym – podmiotu i przedmiotu, tym oddzieleniem, dzięki któremu w ogóle przedmiot i podmiot są możliwe, pra=po-

działem [*Urs=Theilung*]. W pojęciu podziału zawiera się już pojęcie wzajemnego stosunku przedmiotu i podmiotu, jak również konieczne założenie pewnej całości, której przedmiot i podmiot są częściami. »Ja jestem ja« to najbardziej odpowiedni przykład owego pojęcia pra=podziału, jako prapodział *teoretyczny*, albowiem w prapodziale praktycznym ja przeciwstawia się *nie-ja*, nie zaś *sobie samemu*.

Rzeczywistość i możliwość różnią się od siebie tak, jak pośrednia i bezpośrednia świadomość”.

Pojęcie pierwszego oddzielenia, w którym zawiera się już pojęcie absolutnej jedności i dzięki któremu podmiot i przedmiot w ogóle są możliwe. W miłości, konkretnej, realnej, codziennej, ludzkiej i boskiej, zjednoczonej w moim ciele i wnętrzu. Jest wszystkim, co człowiek może otrzymać, a ja biorę z niej tyle, ile mogę, tak to jest ze sobą powiązane, jest otwarta cała, ale ja mogę z niej wziąć tylko tyle, na ile jestem z nią złączony.

Połączenie – łączność – złączenie – jednoczenie się – jedność. Zły i świat od tego odciągają z całą swoją siłą, ale moc tej miłości jest większa, gdy w niej jestem, połączony nawet najsłabiej. Słabną żywioły tego świata, słabości, skazy, wady.

„Różnica pomiędzy stosunkami religijnymi a – z jednej strony – intelektualnymi, moralnymi, prawnymi i – z drugiej – fizycznymi, mechanicznymi, historycznymi; tak że religijne stosunki z jednej strony posiadają w swych częściach osobowość, wzajemne ograniczenie, negatywne uszeregowanie elementów na wzór stosunków intelektualnych, a z drugiej wewnętrzny związek, bycie danym jedno drugiemu, nierozzerwalność w swych częściach, która charakteryzuje elementy stosunku fizycznego”.

Paradoksy tej miłości, na przykład nie będąc samodzielny, jestem najbardziej samodzielny jak jest to możliwe.

„Musi w ogóle nawyknąć do tego, aby całości, którą sobie zamierzył, nie starać się osiągnąć w pojedynczych momentach i tym samym znieść chwilową niedoskonałość; rozkoszają musi dlań być, że z chwili na chwilę przechodzi sam siebie, *w tej mierze i w ten sposób, jak tego wymaga przedmiot*, aż w końcu uzyska zasadniczy ton całości. Nie wolno mu jednak myśleć, że przechodzić samego siebie może tylko w *crescendo* od tego, co słabsze, do silniejszego, bo wówczas stanie się niewiary-

godny i zbyt się napnie. Musi czuć, że zyskuje na lekkości tyle, ile stracił na znaczeniu, że cisza zastępuje gwałtowność, a zmysłowość pięknie zastępuje rozmach, wówczas w przebiegu jego dzieła nie będzie jednego koniecznego tonu, który pod pewnym względem nie przewyższyłby poprzedzającego, a ton dominujący będzie taki tylko dlatego, że całość jest skomponowana w ten, a nie inny sposób”.

Otoczenie można dopasować do charakteru lub charakter do otoczenia. Czy jest to wolny wybór? Tak jak język, który zawiera w sobie niewiele lub w ogóle żadnego żywego istnienia i może mieć je w sobie całe. To także nie wydaje się kwestią wolnego wyboru.

Rozpad to coś trwałego, „realne nic” i mocne coś, nowe powstające z tego, co się rozpada, przebiegając wszystkie swoje punkty, świadomie lub mniej świadomie, poddane siłom, które mogą działać z wielką determinacją. Punkt początkowy, punkt końcowy i to, co jest między nimi, w środku. Materia i duch. Rozpada się i zaraz odtwarza, bez dłuższych przerw, w ogniu niebiańskim, nie ziemskim. To warunek. W rozróżnieniu na rozpad idealny i tak zwany rzeczywisty, w przechodzeniu czy przemianie od skończonego do nieskończonego, „idealnie indywidualnego w nieskończenie realne oraz z nieskończonego realnego w indywidualnie idealne [...] także i rozpad idealnie indywidualnego jawi się nie jako słabnięcie i śmierć, ale jako ożywienie, jako wzrost, rozpad nieskończonego nowego nie jako unicestwiająca przemoc, ale jako miłość, a oba razem jako (transcendentny) twórczy akt, którego istotę stanowi zjednoczenie indywidualnie idealnego i realnie nieskończonego, którego produktem jest więc zjednoczone z idealnie indywidualnym realnie nieskończone, gdzie wówczas nieskończenie realne przyjmuje postać indywidualnie idealnego, to z kolei przyjmuje życie nieskończonego realnego, a oba jednoczą się w mitycznym stanie, gdzie wraz ze sprzecznością nieskończonego realnego i skończonego idealnego zanika również samo przejście, tak dalece, że zyskuje ono tyle spoczynku, ile tamte zyskały na żywotności”.

„Materiał więc musi zostać podzielony, wrażenie całości – zawieszona, a tożsamość musi stać się dążeniem od jednego punktu do drugiego, gdzie z pewnością znajduje się całościowe wrażenie, jako że punkt początkowy, środkowy i końcowy są ze sobą wewnętrznie związane, tak iż w chwili ostatecznego rozstrzygnięcia punkt końcowy powraca do początkowego, a ten do środkowego”.

Mówi o *jedności* tego, co *zjednoczone*, gdy w harmonijnym połączeniu *jedno* i *drugie* obecne jest w *punkcie przeciwstawienia i zjednoczenia*, a „ *duch, który przez przeciwstawienie ukazywał się jako skończoność, w tym punkcie jest odczuwalny w swojej nieskończoności*”, o dążeniu do punktu pojednania, wymianie przeciwieństw, poetyckim duchu, nieskończonym punkcie widzenia, więzi i tożsamości, nieskończonej jedności, która może być podziałem, ale także punktem zjednoczenia jedności jako przeciwstawienia, a także oboma jednocześnie, gdy przeciwstawienie i jedność są w niej nierozłączne.

Nie tkwić w bezowocnych sprzecznościach z samym sobą, ale „*Za pomocą wolnego wyboru ustanów siebie w harmonijnym przeciwstawieniu ze sferą zewnętrzną, tak jak w samym sobie jesteś w harmonijnym przeciwstawieniu, z natury, ale w sposób nierozpoznawalny, póki pozostajesz w sobie samym*”.

Trzeba poznać samego siebie, także w ramach swojej sfery, zjednoczyć się i rozpoznać w *jedności*, w skrajnych przeciwieństwach rozróżnienia i zjednoczenia, „*zarówno w stanie zbyt subiektywnym, jak i zbyt obiektywnym człowiek na próżno stara się odszukać swoje przeznaczenie, które polega na tym, że poznaje siebie jako kogoś, kto zawiera się jako jedność w tym, co boskie i harmonijnie-przeciwstawne, i na odwrót, to, co boskie, jedno, harmonijnie-przeciwstawne, poznaje jako jedność zawartą w sobie*”.

Nie powtarza jak papuga, ale żywa się z nim i spoufala, z otwartym sercem. W ten sposób poznaje siebie i umacnia się w tym, czego chce. Wspomina, snuje myśli, bada wolę, patrzy na emocje, uczucia, stan ducha. Nie raz nie robi tak jak powinien, robi to, co chce, a to jest złe, osłabia i niszczy. Nie zna samego siebie? Nie wie, jaki jest naprawdę?

Rozdwojony, połowiczny, czy jednak zlepiony, działający w jednym kierunku, spójnie i konsekwentnie? Zakłada maski, kostiumy i prowadzi grę? Przed innymi? Przed sobą? Kto tu jest na pierwszym planie?

Jakie ma pragnienia? Co jest w głębi jego wnętrza? Czy jest zdyscyplinowany i wytrwały? Widzi wypaczenia w patrzeniu na siebie i innych, czy ich nie dostrzega?

Idzie za pokusami i zostaje sam, opuszczony i smutny. Zmylony cierpi, ale znowu tam wraca, jak do matni i traci wolność. Wyjaśnić to, w sobie, bez emocji, zoba-

czyć, co jest naprawdę ważne i pójść w tamtą stronę. Po śladach. Za głosem serca. Wiedząc, kto i co jest warte. Widzieć przebieg uczuć i myśli, wrażeń i odczuć, coraz lepiej poznawać siebie i jeśli trzeba będzie, to zawrócić. Wtedy jest rozwój, w miłości i w wolności.

Czy wiesz, jaka gwiazda ci świeci? Znasz swoje główne pragnienia, główny kierunek i główną siłę, która cię tak prowadzi?

Zawsze idziesz do przodu? Czy cel i pasja, która jest w tobie umożliwiają ci to i gwarantują? Jesteś silny i odważny czy zdarza się, że tracisz siły i odwagę, jesteś słaby i boisz się? W jakich to jest chwilach, pasmach? Mówisz: Ja tego chcę – i idziesz do przodu, cokolwiek by się działo. Robisz tak? I czy robisz tak zawsze?

Nie rozpraszaś się, nie marnujesz czasu, skoro już wiesz, czego chcesz. Żaden dzień, żadna godzina, minuta, sekunda nie będą cofnięte. Jaka jest historia twojego życia? Od urodzenia aż do teraz. To twoja księga. Pisz ją i czytaj uważnie, żeby nie okazało się, że nie byłeś z sobą, byłeś na zewnątrz, tam szukałeś tego, co jasno było wewnątrz, w tobie. Tak mówię do siebie. Ale czy uważnie siebie słucham, czy słyszę i wyciągam z tego naukę?

Prawda jest w każdym z nas. Nie zagłuszaj, nie bój się jej i otwórz się na nią. Istotnie wróć do samego siebie i swojej historii, tam jest wszystko. W niuansach i zakamarkach, przemilczeniach i niedopowiedzeniach, tłach, miejscach i kontekstach, znakach i symbolach, oczekiwaniach, spełnieniach i niespełnieniach, w zapale i zastoju, w ruchu do przodu, staniu w miejscu i cofaniu się. Sprawy i rzeczy małe i proste, układające się w ciąg, w największe co może być i jest. Ukryte i jawne, pod korcem i na świeczniku.

Byłeś blisko, potem się oddaliłeś, odszedłeś, ale zacząłeś wracać, zbliżać się, krok po kroku, ale bardziej w błyskach i epifaniach niż w żmudzie i trudzie, prowadzony, bo chciałeś być prowadzony, i to było dobre.

Gdy zaczął rozpoznawać duchy, które w nim działały. W radościach i w smutkach, do radości. Wśród trosk i strapień, w ciemności, letni i leniwy, na manowcach i wtedy wyrzuty sumienia. Jak ukłucia szpilką, w tym smutku i zaniechaniu, droga ku dobru.

Ile razy, gdy chcesz pisać, odciąganie od tego, to to, to tamto, gra na zwłokę, rozproszanie, przekładanie, odkładanie, zawracanie kijem Wisły. Wiesz, że to głupie, niedorzeczne, beznadziejne, ale poddajesz się temu, i brniesz w to, idziesz jak na skały, z mętlikiem w głowie. Uważaj! Te próby, ta walka to są ważne chwile, decydujące. Podejmij je i wygraj, wyjdiesz umocniony, zawsze to jest w twoim zasięgu. Wtedy tamten czmycha, oddala się, ale nigdy nie za daleko i nie na długo.

Jeżeli zjawia się taki natarczywy głos czy głosy, zagłusz je i przepędź i zrób coś przeciwnego niż to, czego chcą. Trzeba umieć je w sobie rozpoznawać i walczyć z nimi odważnie, na życie i śmierć. Nie słomiany ogień, fałszywe pociechy i puszczanie w niepamięć, to jest nasze życie, jedyne i jego główny cel.

Zjawia się zamaskowany, jest przebiegły, świetnie przygotowany i ma siłę. Nie daj mu przeniknąć do środka, śledź swoje myśli, emocje, poruszenia i od razu zawracaj i zapobiegaj. Może być nawet łagodny i czuły, ale szybko to się zmienia, przyglądaj się, co jest prawdziwe, a co nie. Wchodzi w nas przez najbliższe punkty, najwrażliwsze miejsca, wabi, chwali, kusi i przenika. Zauważanie tego jest znakiem, że działa łaska, a więc miłość. Znaki potwierdzają, że idzie się dobrą drogą. Główny to ten, że słyszę głos, autentyczny, który bezpośrednio odnosi się do mnie i do świata, nie jakąś jego imitację, mówiącą w swoim lub jego imieniu. Wiem, że to jest ten głos i go przyjmuję, wiem, że to imitacja i natychmiast odrzucam i dziękuję za otrzymane dobro, które wypełnia. Wiem, że jestem na swoim miejscu, w prawdziwym sobie, według planu, którego jestem częścią, we właściwej hierarchii ważności. I jestem wolny, nic mnie nie więzi, nawet nie ogranicza, a jeżeli już, to zło.

Podważają to, każdego dnia, chcą wysadzić z siodła i wydają się pewni swego. Daję to, co mam najlepszego i najcenniejszego, można powiedzieć, że wszystko. Nic dla siebie nie zostawiam, bo po co. Jestem w jego rękach, nie w łapach i szponach tamtych, bez lęku, bez strachu, z respektem. Nawet gdy dzieją się złe rzeczy, wiem, że są po to, żeby umacniać i tak jest, i idę naprzód.

Poznawanie siebie, pragnienie i życie, takie jakie jest, nie do powtórzenia. Zły chce, żebym wrócił do punktu wyjścia, zaczął od nowa, jeszcze raz, inaczej, ale ja trzymam się swoich obowiązków i drogi, czujny i gotowy.

Nie mówię, że zwyciężyłem, ale że jeżeli wytrwam, to na pewno zwyciężę. Dlatego nie zepchną mnie z tej drogi. Są ze sobą powiązani, ale słabi, zbyt pewni siebie, bez pokory i serca dla innych. Trzeba czuć nad swoim sercem. Głos Pana i te inne głosy, których jest pełno, setki, tysiące legionów, rozlegają się nieustannie, w dzień i w nocy, narzucają się, zajmują, zawracają głowę i zostawiają zamęt i chaos. A głos Pana słyhać tylko w skupieniu, w ciszy, nie w hałasie, zgietku i krzyku, ale w ściszeniu, łagodności i czułości. Nie narzuca się, jest pełen pokory i pokoju, zostawia czas i miejsce na twój głos, chce być z tobą w milczeniu i w ciszy, daje światło, siłę i radość, nie tak jak tamte. Nie na zewnątrz, w tym hałasie, ale wewnątrz, w spokoju, i wtedy zobaczysz i usłyszysz, że on na ciebie czeka. Czasami są to błyski, słowo lub kilka słów, czasami monologi, dłuższe i krótsze, lub dialogi, a czasami milczenie, cisza, przypływ uczuć i emocji. Posłuchaj. Usłysz. Doświadcz tego!

Patrz też z innej strony. Na ciemność ze strony światła, na cierpienie ze strony radości, na zło ze strony dobra. Zbawienna dialektyka. Co może być wspanialsze i większe od nadziei? Otwiera przed tobą wszystko. Pozwala iść naprzód, zmierzać do celu. Zmienia, powoduje rozwój i wzrost. Przecież karły nie muszą do końca pozostawać karłami. Muszą się rozbroić i być rozbijającymi, dla innych.

LESZEK SZARUGA

Świat, w którym żyłem (12)

27.

Jednym z zagadnień, którym się zajmuję jako wykładowca uniwersytecki, jest pojęcie Zachodu – historycznie i geograficznie przecież zmienne. Jeśli się zastanowić nad tym, czym Zachód w rzeczywistości jest, wówczas kilka kwestii siłą rzeczy musi być podniesionych jako fundamentalne.

Pierwszą z nich jest bez wątpienia zakorzenienie początków Zachodu w basenie Morza Śródziemnego i w dziedzictwie Aten oraz Rzymu. Niby to oczywistość, ale co ona w rzeczywistości oznacza, nie jest do końca jasne. Carl Friedrich von Weizsäcker w eseju *Czas, fizyka, metafizyka* podkreślał: „Teoria jest, tak to odczuwam, szczególnym dziełem sztuki kultury zachodniej, odróżniającym ją od wszystkich innych kultur. Hindusi i Japończycy powiedzieli mi: »Siłą i granicą waszej kultury jest panowanie logiki arystotelesowskiej«. [...] Pierwszy raz stanęła nam przed oczyma jako dedukcyjna matematyka Greków i siostrzana dla niej metafizyka. W czasach nowożytnych w pełni rozwinęły się nauki przyrodnicze, dla których matematyka jest nie tylko paradygmatem, ale i narzędziem. Nauki humanistyczne i społeczne, przez odrzucanie albo stosowanie, orientowały się na nauki przyrodnicze. Centralnym pojęciem teorii jest to, co prawdziwe, przeciwstawione jest mu to, co fałszywe: logika dwuwartościowa. [...] Wypowiedzi dotyczące pomiarów klasycznych, stwierdzenia nieodwracalnych faktów, stosują się do dwuwartościowej logiki; nie wynika stąd, że ma to miejsce również w przypadku opisu możliwości. Teoria kwantów naturalnie również jest teorią. Koryguje ona zbyt wąskie alternatywy przez szersze alternatywy, a determinizm przez zmatematyzowane prognozy probabilistyczne. Ukazuje ona teorię jako otwarty proces kolejnych przybliżeń”.

Oczywiście, logika dwuwartościowa z arystotelesowską definicją prawdy to w zasadzie (poza poezją) punkt wyjścia (samo)poznawczego procesu podjętego przez Zachód, a jej reguły pozostawały niezmiennie (wyjawszy poszukiwania mistyków)

aż po wiek XIX i początki XX stulecia, gdy podjęto teoretyczne początkowo (później znajdujące swe zakorzenienie w praktyce mechaniki kwantowej, a w końcu i technice) rozważania na temat logik wielowartościowych (towarzyszyły temu takie zjawiska, jak wyjście poza ograniczenia geometrii euklidesowej i – może nade wszystko – rozwój filozofii języka). Te gwałtowne, choć zarazem z punktu widzenia zainteresowania szerokiej opinii publicznej dyskretne przemiany postaw (samo) poznawczych miały dość interesujące epizody, do których należy bez wątpienia zaangażowanie młodego Romana Jakobsona, późniejszego współtwórcę praskiej szkoły strukturalistycznej, w poszukiwania kręgu rosyjskich kubofuturystów (Chlebnikow, Kruczonych czy twórca *Czarnego kwadratu* Malewicz), ale także prace dotyczące logik wielowartościowych podejmowane przez późniejszego sowieckiego dysydenta i autora głośnych antyutopijnych utworów *Przepastne wyżyny* czy *Homo sovieticus*, Aleksandra Zinowiewa, który po powrocie z emigracji objawił się jako wielkoruski szowinista. Zwracam na te epizody uwagę – a jest ich przecież dużo więcej – gdyż owa faza skokowego otwarcia wyobraźni budziła otwartą wrogość systemów totalitarnych konsekwentnie zwalczających awangardę – czy to w Sowietach (gdzie prócz represjonowania pozasystemowych artystów nie cofano się też przed określeniem cybernetyki bądź teorii kwantów mianem – jak to definiowano na stronach *Krótkiego słownika filozoficznego* – „burżuazyjnej pseudonauki”, czy w nazistowskich Niemczech, gdzie wynaleziono określenie „sztuka zwyrodniała” (*entartete Art*). Z punktu widzenia przemian w sferze teorii zwłaszcza sowieckie dążenie do odrzucenia ustaleń przynoszonych przez fizykę kwantową jako śmiertelne zagrożenie dla doktryny „materializmu dialektycznego” zdominowanej przez determinizm. Jak widać – dojście do pojmowania teorii „jako otwartego procesu kolejnych przybliżeń”, a w konsekwencji dążenie do upowszechnienia tej postawy nie jest procesem oczywistym dla szerokiej publiczności, która co prawda korzysta z praktycznych – głównie technicznych – konsekwencji tego biegu spraw, lecz nie jest skłonna do wyjścia w to, co Weizsäcker określa jako korektę „wąskich alternatyw” i przyjęcie „zmatematyzowanych prognoz probabilistycznych” niezbędnych do zrozumienia zmian zachodzących w globalnym społeczeństwie metamasowym, którego elity, przede wszystkim elity polityczne, zdają się mentalnie pozostawać w dziewiętnastowiecznym świecie, dla którego zrozumienia wystarczały zasady logiki dwuwartościowej. Im zatem dedykuję słowa Będzianina otwierające (w kreacji Wielimira Chlebnikowa

i przekładzie Piotra Mitznera) pierwszy (i chyba jedyny) kubofuturystyczny dramat *Zwycięstwo nad słońcem*:

Obserwalnia poprowadzi was,
Obserwilnia jest wodzownia,
Zgromadzenie wodzów ponurych
Od męczników i straszawców do weselan i nietutejszych śmiejących
 i wesologów – wszyscy ukażą się uważnym patrzywcom
 i obserwalom i oglądarom: minawy, bywawy,
codzieniawy, chodziacze, wezwacze,
olbrzymale, losospory i maluty.
Zawezwą was tak wezwacze, jak i późniebne odedni.
Minawy opowiedzą wam, kim ongiś byliście.
Codzieniawy – kim jesteście, bywawy – kim mogliście być.
Maluty jutroby i świtacze opowiedzą, kim będziecie.
Niegdysze przeminą jak cichy sen.
Maleńkie powieluty władczo powiodą was.
Będą tu niekiedylnie i wyobraźnilce.
A z nimi sno i zno.
Świrogi i psonogi łzy obetrą.

Co zaś do funkcjonalności teorii w tradycji cywilizacji Zachodu, warto chyba wziąć pod uwagę poszukiwania zaprezentowane w eseju Achille Mbembe *Polityka wrogości*, w którym rozważa on możliwość zastosowania metody „odczytania *à rebours* naszej współczesności”: „Wychodzi ono z założenia, że jakakolwiek rzeczywista dekonstrukcja współczesnego świata musi się zaczynać od pełnego uznania nieuchronnie prowincjonalnego statusu naszych dyskursów i zawsze regionalnego charakteru naszych pojęć – a więc od krytyki każdej formy abstrakcyjnego uniwersalizmu”, by w konsekwencji uznać, że „nie może być innej »myśli globalnej« niż ta, która odwracając się od teoretycznych podziałów, opiera się na archiwach »Tout Monde«”.

*

A po drugie – Zachód to kolonie. Ich pozyskiwanie możliwe stało się głównie za sprawą rozwoju technologii – zarówno w sferze mobilności pozwalającej wy-

dostać się poza obszar Morza Śródziemnego, jak rozwoju w dziedzinie uzbrojenia dającego przewagę w konfrontacji z mieszkańcami podbijanych obszarów, które z kolei stawały się źródłem bogactwa społeczności kolonizatorów. W istocie już w wieku XVIII w krąg cywilizacji zachodniej włączone zostały tereny Ameryki Północnej i Australii oraz Nowej Zelandii, zaś model organizacji społeczeństw w struktury narodowych państw parlamentarnych stał się na planecie dominujący, choć wciąż jeszcze często mający charakter fasadowy.

Rozwinięte w wieku XX, zwłaszcza w jego drugiej połowie, ruchy dekolonizacyjne doprowadziły do wyzwolenia wielu społeczności zdominowanych przez zachodnioeuropejskie centra, w efekcie państwa Zachodu – w przeciwieństwie choćby do Rosji – zrezygnowały ze swych imperiów, dzięki czemu mogły, jak Francja czy Anglia, ocalić swój status mocarstwowy a jednocześnie kultywować związki z byłymi posiadłościami (Brytyjska Wspólnota Narodów, Międzynarodowa Organizacja Frankofonii). Obecnie, od połowy XX stulecia, czyli od zakończenia drugiej wojny światowej, rozpoczął się – mający różne formuły i praktykę – proces rozliczania przeszłości i badania odpowiedzialności Zachodu zarówno za dokonywane w koloniach zbrodnie, jak i nadużycia (niewolnictwo, rozmaite formy ludobójstwa, rabunkową gospodarkę, uniemożliwianie realizacji społecznych i kulturowych aspiracji), co znajduje wyraz w badaniach naukowych nurtów studiów postkolonialnych zapoczątkowanych przez Frantza Fanona w pracy *Wyklęty lud ziemi* z roku 1961 oraz orientalistycznych zainicjowanych przez wydaną w 1978 roku książkę Edwarda Saida *Orientalizm*, które pozwalają na znalezienie alternatyw dla oglądu Zachodu z szerszej i całkowicie odmiennej perspektywy niż ta, z jaką mieliśmy wcześniej do czynienia. Można zaryzykować tezę, że jest to sytuacja podobna tej, w której nie kwestionując zasadności sformułowanej przez Ptolemeusza teorii geocentrycznej, jako alternatywną – i precyzyjniej oddającą realia świata – przyjmuje się teorię heliocentryczną Kopernika. Zachodnioeuropocentryczny opis świata znajduje dzięki temu równie poprawne i zasadne acz niekoniecznie konkurencyjne wizje prezentujące inny punkt widzenia – problemem najtrudniejszym wydaje się wciąż przyjęcie zasady partnerstwa czasem nawet sprzecznych ze sobą dyskursów, przynajmniej tak długo, jak długo owe sprzeczności nie znajdują innego rozwiązania niż wojna, która w konsekwencji, zważywszy na charakter metasystemowego społeczeństwa globalnego, musi stać się wojną światową.

To zagrożenie wydaje się mieć o tyle realny wymiar, iż rosnąca dynamika ruchów migracyjnych – niezależnie od przyczyn, które ją wywołują (lokalne wojny, zmiany klimatyczne, głód) – od co najmniej półwiecza jest procesem, którego nie sposób powstrzymać, a jednocześnie skomplikowane przemiany demograficzne (rosnąca gęstość zaludnienia, mieszanie się zróżnicowanych językowo i kulturowo społeczności) może stać się źródłem napięć i konfliktów. Jednakże nawet jeśli perspektywa globalnego konfliktu wszystkich przeciw wszystkim jest wyobrażeniem ekstremalnym, to już, zwłaszcza w odniesieniu do Europy, ale też i pozostałych obszarów Zachodu, kolejne fale migracyjne, których celem są właśnie te przestrzenie, mogą przybrać charakter procesów kontrkolonialnych, w wyniku których przybysze doprowadzą do podważenia fundamentów zachodniej cywilizacji, przede wszystkim za sprawą zakwestionowania zasad praw człowieka jako szczytowego osiągnięcia kultury prawnej Zachodu, ale mogą przecież stać się łącznikiem odmiennych, pozornie niedających się ze sobą pogodzić doświadczeń kulturowych, co zaświadcza choćby wiersz *Karencja* zakorzenionej w tradycji tureckiej niemieckiej poetki Zehry Çirak:

Między świętami
dwóch wyznań
jedne wędrują po kalendarzu
inne mają stałe miejsce

kiedyś zapytałam
czy Wielki Piątek zawsze
w piątek

dobrze już dobrze

Lecz najpiękniejsza w Wielkim Piątku jest
ta Bachowska
Pasja św. Mateusza
i pragnę ją znów usłyszeć
w czasie Święta Ofiarowania

Od Ramadanu do Bożego Narodzenia
słodka przestrzeń oczekiwania

W tym kontekście rację przyznać należy spostrzeżeniu Mbembe, który, nawiązując do heideggerowskiego rozróżnienia między bytem i byciem, podkreśla: „Odnośnie do historii bycia i polityki bycia możemy więc powiedzieć, że Zachód nigdy naprawdę nie przemyślał swojej własnej skończoności. Zawsze przedstawiał jako nieunikniony i absolutny swój własny horyzont działania i uważał, że horyzont ten jest z definicji globalny i uniwersalny”.

I rzeczywiście – kultura Zachodu, choć wypracowała perspektywę apokaliptycznego wymiaru „końca historii”, odnosi pojęcie skończoności do całości ludzkiego bytowania, a czyni to wyłącznie w przestrzeni własnej narracji tożsamościowej. Zarazem jednak taka apokaliptyczna perspektywa przynosi, obok wizji skończoności doraźnego bytowania w historii, obietnicę odnalezienia się w wieczności, co niekoniecznie musi mieć walor uniwersalny i po części zostało zakwestionowane w piśmiennictwie oświeceniowym. Można się jedynie zastanawiać, czy w przestrzeni refleksji Zachodu dochodzi do głębszego namysłu nad odpowiedzialnością za kształt przeszłości nie tylko własnej, ale przede wszystkim reszty świata, której społeczności w mniejszym lub większym stopniu pozbawiane były swej podmiotowości i tożsamości: dość wspomnieć o roli, jaką w pamięci historycznej Arabów odgrywa wciąż postać „krzyżowca” jako symbolicznego przedstawiciela Zachodu. Wiele przedsięwzięć zdaje się świadczyć o tym, że właśnie obecnie, poczynając od połowy XX wieku, ambicje zmierzenia się z tą problematyką przynoszą studia orientalistyczne i postkolonialne, a także prace badaczy pamięci historycznej – szczególnie w tej ostatniej dziedzinie dochodzi do często inspirujących konfrontacji czy dialogu Zachodu z przedstawicielami innych społeczności, co może być podstawą przewartościowania dotychczas funkcjonujących przekonań czy po prostu przesądów, a z pewnością może się przyczynić do reinterpretacji zachodniej narracji tożsamościowej. Zwracał na to uwagę Jacek Bocheński w publikowanym na łamach wówczas podziemnego „Zapisu” szkicu *Niepodległość wśród ludzkości*: „Wśród inteligencji polskiej wciąż jeszcze mało kto dostrzega, że środkiem ciężkości świata przestał być Paryż, że – co więcej – przestają być nimi także Waszyngton i Moskwa, że ów środek jest już w miejscu niezbyt określonym a niesłychanym, jak gdyby w Azji, jak gdyby w Ameryce Łacińskiej, może w afrykańskim buszu. Nie znaczy to, że »biała cywilizacja« dogorywa i może nas nie obchodzić. Skończyły się imperia kolonialne (z wyjątkiem rosyjskiego na dwóch kontynen-

tach), ale to »biała cywilizacja« właśnie dała impuls i kierunek rozwojowi Trzeciego Świata, poczynwszy od Japonii. Europa nie ma władzy nad resztą kuli ziemskiej, lecz ta reszta, chcąc nie chcąc, naśladuje »białą cywilizację«, bo żadnej innej nie może. »Biała cywilizacja« będzie zatem istnieć, sęk tylko w tym, że jej macierzysta postać, tradycyjna »zachodnia cywilizacja«, nie jest już taka jak kiedyś, gdy ośrodkiem ciężkości był Paryż”.

*

Wreszcie po trzecie – by na tym tu poprzestać – prawo. Jednym z przekleństw studiów prawniczych jest egzamin z prawa rzymskiego (*ius romanum*), niemniej nikt z moich znajomych, którzy te studia ukończyli, a nawet, jak mój ojciec, któremu naukę przerwała wojna, tylko zgłębiali, nie wpadł na pomysł, by normy i zasady tego prawa jako źródła współczesnego prawodawstwa europejskiego kwestionować. Bez wątpienia też właśnie prawo jest tym, co stanowi o spójności Zachodu. Wszelako wprowadzanie praw Imperium Romanum w obszarach społeczeństw germańskich czy słowiańskich nie mogło obyć się bez konfliktów. W *Barbarzyńskiej Europie* Karol Modzelewski podkreśla: „W procesie kodyfikacji chrześcijańska kultura słowa pisanego spotykała się z tradycyjną kulturą opartą na przekazie ustnym. Było to spotkanie naznaczone konfliktem, choćby dlatego, że tradycja ustna przekazywała prawo zwyczajowe w połączeniu z mitami i wartościami, których chrześcijaństwo nie mogło akceptować”. Można powiedzieć, że właśnie w procesie „cywilizowania” praw barbarzyńskich można obserwować kształtowanie zdolności Zachodu do rozwoju poprzez przezwyciężanie kryzysów traktowanych nie jako załamanie czy zapaść, lecz jako wyzwanie i przełom, a zatem kształtowanie umiejętności dochodzenia do konsensu.

Warunkiem *sine qua non* owego porozumienia było uznanie trwałości zasad i procedur, ustanowienie zatem wspólnoty minimum, przyjęcie i gotowość stosowania tych samych, niepodważalnych reguł. Co interesujące, pierwszą taką regułą, jakiej zostałem przez ojca nauczony, była zasada mówiąca, że dozwolone jest wszystko, co nie zostało zakazane. To określiło granice mojej – wówczas dzieciaka jeszcze – wolności, ale też i odpowiedzialności. Ale nie tylko mojej – jego również. Uniknąłem zatem tego, co było udręką większości moich rówieśników poddawanych presji paternalistycznej „władzy rodzicielskiej” – samo zresztą pojęcie takiej „władzy” zostało w zarodku zakwestionowane. A po latach pojąłem, że podobne

nauki stały się punktem odniesienia tego, co w istocie było największym osiągnięciem Rewolucji Francuskiej – za jej sprawą bowiem dotychczasowi poddani przeobrażili się w obywateli. I to właśnie obywatele, a nie „naród”, jak to się najczęściej przekłada na polski, ogłosili fundamentalne *we the people*: my obywatele. To partnerskie relacje między obywatelami tworzą wspólnotę, państwo. Tak przynajmniej to rozumiałem wtedy i tak to rozumiem dzisiaj, stąd mój stosunek do wszelkiej „władzy” pozostaje w sporym dystansie: sama z siebie, jeśli nie została ustanowiona w procesie uzgodnień, nie może mi niczego zakazywać, wszakże prawa, a zatem i zakazy, stanowione w owym procesie muszą obowiązywać wszystkich. Co nie znaczy, że owe prawa muszą na wieki pozostawać niezmiennie – życie nie sie sporo doświadczeń wcześniej niebywałych i, choć to pozostaje w sprzeczności z zasadą powiadającą, że „prawo nie działa wstecz”, to przecież po drugiej wojnie światowej w procesie norymberskim skazano nazistów za dopiero wtedy ustanowione, a w czasie ich panowania nieistniejące przestępstwo „zbrodni ludobójstwa”.

Owe „niekonsekwencje” jednak czy „wyjątki od reguły” muszą być silnie umocowane w doświadczeniu i zyskać konsens powszechny, inaczej stają się precedensem dla tych wszystkich, którzy, korzystając z uzyskanej przewagi w strukturach władz ustawodawczych, dokonują zmian prawa we własnym interesie, argumentując, że władza wykonawcza nie może być w swych poczynaniach ograniczana „imposybilizmem prawnym”, czyli mówiąc po ludzku, tym, że prawo uniemożliwia jej samowolę. I to właśnie jest fundamentalnym wyróżnikiem cywilizacji Zachodu – niezbywalnym mimo wszelkich różnic określających odmienności kulturowe lub religijne składających się na społeczeństwa. Co nie znaczy, oczywiście, że politycy nie będą próbowali, często zresztą wierząc, że to dla dobra kraju i ludzi słuszne, ułatwiać sobie życia poprzez próby zawieszania czy obchodzenia obowiązujących reguł – rzecz w tym, by jednocześnie mogły funkcjonować mechanizmy ich kontrolowania i blokowania takich praktyk.

*

Zachód w trakcie zajęć u nas prowadzonych stał się głównym punktem odniesienia, podobnie jak głównym punktem odniesienia dla Zachodu jest europejski antyk – w sferze filozofii Grecja, w sferze prawa Rzym. Zajmujemy się w naszej katedrze problemami obszaru określanego mianem Europy Środkowo-Wschodniej – wzajemnymi relacjami krajów ów obszar tworzących we wszelkich możli-

wych dziedzinach, przy czym istotne jest tu ujęcie owych relacji w procesie historycznym i uświadomienie sobie faktu, że nie jest to proces zamknięty, ale mający w przeszłości dość istotne doświadczenia, z których wagi nie do końca potrafimy sobie ciągle zdawać sprawę. Nie jest bowiem bez znaczenia, że współcześni politycy Słowacji odwołują się do dziedzictwa, jakie dla ich kraju stanowi Księstwo Wielkomorawskie czy, inaczej mówiąc, Rzesza Wielkomorawska. To, że Litwa odwołuje się do tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego, nie dziwi, lecz mało kto zdaje sobie sprawę z faktu, że obie te państwowości miały, podobnie jak Rzesza Niemiecka czy obecnie Federacja Rosyjska, charakter związkowy łączący różne kraje wchodzące w ich skład.

Nie ulega też wątpliwości, że państwa dziś będące przedmiotem naszych badań są czym innym niż Zachód, zaś w okresie kształtowania się nowożytnych państw narodowych, przede wszystkim w XIX wieku i w okresie niemal całego XX stulecia pozbawione były politycznej podmiotowości. Obecnie, po przemianach zapoczątkowanych w roku 1989, stanęły przed alternatywą – być niepodległe, jak w okresie międzywojennego dwudziestolecia, bądź dobrowolne włączenie się w struktury Zachodu, w tym wypadku Unii Europejskiej, co dla wielu ich obywateli może oznaczać zbyt daleko idące ograniczenie z trudem uzyskanej suwerenności. Zarazem brak tym krajom doświadczenia w kreowaniu własnej, niezależnej polityki, przede wszystkim zagranicznej, i praktykowania życia w regułach, jakie narzucają normy państwa prawa. W szczególności reguły owe zdają się uciążliwe dla władz wykonawczych, a powiązane z procedurami obowiązującymi całą Unię zdają się drastycznie ograniczać swobodę postępowania władzy, która w krajach unijnych traktowana jest jako służba społeczeństwu, a nie jako narzędzie kształtowania jego tożsamości politycznej czy kulturowej. W istocie wielu przedstawicieli sfer politycznych zdaje się ignorować przełom, jaki stanowiło odejście od pojęcia „poddanego jej królewskiej mości” i zastąpienie go pojęciem obywatela, który, podobnie jak przedstawiciele wybieralnych władz i na równi z nimi, poddany jest prawu. W ogólności – wciąż problemem pozostaje kwestia politycznej i narodowej tożsamości. I tak na przykład profesor Krzysztof Mikulski, pytany o narodowość autora *O obrotach sfer niebieskich* podkreśla: „Mikołaj Kopernik kilka razy w sposób bardzo zdecydowany i jasny zadeklarował swoją narodowość. Najpiękniejsza deklaracja jest zawarta w liście do polskiego króla Zygmunta, w którym pisał, że

będzie bronił Olsztyna przed Krzyżakami nawet z narażeniem swojego życia, bo jest wiernym poddanym króla polskiego". Ale przecież nie oznacza to deklarowania przynależności narodowej, lecz jedynie wskazanie swego statusu jako płacącego podatki poddanego. Podobnie zapewne mogli się wypowiedzieć czy to Hans Dürer, nadworny malarz polskiego monarchy, czy Wit Stwosz bądź łacińskojęzyczny poeta Konrad Celtis.

Brak zrozumienia istoty tego przełomu, jakim było wyzwolenie obywateli z poddaństwa – a nie jest to oczywiste w krajach „nowej Europy”, w których procesy uwłaszczeniowe chłopów, rozpoczęte w krajach Zachodu już w XV stuleciu, były mocno opóźnione – i wynikających stąd konsekwencji w systemie prawnym stanowi jedną z istotnych barier w dążeniu do dostosowania życia społeczno-politycznego tych państw do zasad obowiązujących na Zachodzie, co sprawia, że transformacja ustrojowa w byłych krajach bloku moskiewskiego wciąż miewa charakter fasadowy, co siłą rzeczy powoduje narastanie napięć wewnątrz Unii. Staram się zatem w trakcie zajęć, które prowadzę ze studentami, zastanowić się nad konsekwencjami tego stanu rzeczy i możliwymi scenariuszami dalszego biegu spraw, przy czym nie wykluczam perspektywy *finis Europae*...

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (72)

Bez tytułu i daty (LXI)

I tu zaszła zmiana – na podwórko po drugiej stronie domu przy ulicy Wypiańskiego we Wrzeszczu nie przychodzą już bezdomni z wózkami, torbami, rowerami i psami. Nie posilają się w porannym słońcu, nie kruszą chleba ptakom. Nic dwa razy się nie zdarza? Bez gołębi, kawek i mew podwórko wydało mi się jeszcze bardziej opustoszałe. Brązowe, zielone, niebieskie i żółte kontenery stoją w szeregu, tak jak je zostawiłem rok temu i jak stały w poprzednich latach, obok nich jeden blaszany, brudnobiały, z uchylonymi pokrywami jak wielkie, stale otwarte, głodne usta. Bywa, że przysiadają na nim i wyklócają się o swoje kawki... Ale dzisiaj na wardze kontenera nie przysiadł nawet gołąb. We Wrzeszczu niespokojna pogoda – wietrznie i pochmurnie. Co pewien czas na krótko pokazuje się słońce, aby tacy jak ja wiedzieli, że gdzieś nad chmurami jest.

Początek sierpnia. Siwe wrony żoliborskie pierzą się, latają z wystrzępionymi ogonami.

Gdy jako drugoklasista, po przeprowadzce z Tomaszowa Lubelskiego do Zamościa w 1970 roku, trafiłem do Szkoły Podstawowej numer 2, a w niej do klasy drugiej B, zauważyłem, że niektórzy uczniowie mieli naszyte na fartuszkach owalne znaczki z napisem WZOROWY UCZEŃ. Tego w tomaszowskiej szkole nie było. Czym moi nowi koledzy zasłużyli sobie na przywilej noszenia takiej naszywki? Przyznam, że trochę jej zazdrościłem – nie dlatego akurat, bym się uważał za wzorowego ucznia. Ale „nowego rozdania” naszywek już nie było i nie dowiedziałem się, czy bym sobie na nią zasłużył...

Żeby nie było wątpliwości: polszczyznę masakrują – acz nie zdają sobie z tego sprawy – uczestnicy wszystkich stron sceny politycznej. W październiku i listopa-

dzie 2023 roku słyszę i czytam o „formułowaniu rządu”. „Półtorej roku” i „półtorej miesiąca” to już prawie norma.

Jak się okazuje, usytuowana przy zachodniej stronie rynku wytwórnia wód gazowanych, do której chodziłem w początkowych latach siedemdziesiątych, by kupić oranżadę i wodę sodową w butli z syfonem (butle wymieniało się: oddawałem opróżnioną, kupowałem napełnioną), swój początek – dowiaduję się z internetowej *Zamościopedii* Andrzeja Kędziory – wzięła w roku 1905. Pojawiają się nazwiska Katz, Szajba, Czernicki, Sikora, Rycak. W moich czasach właścicielami byli Rycakowie. Pani Rycakowa, w fartuchu i chustce na głowie, przyjmowała należność w drobnych. Dwie pracownice, w zawieszonych na szyi gumowych fartuchach, w wielkich wannach płukały butelki. W parterowej wytwórni było chłodno, szumiała i tryskała woda; panowała aura świeżości, jak u źródła. Lubilem tam chodzić. Wodę sodową i oranżadę szybko wypijaliśmy, co dawało pretekst, by do wytwórni chodzić tak często, jak to było możliwe. Murowana oficyna przy wytwórni pozostała, ale służy innym zadaniom. Stoi niejako za plecami dawnej budki z ciastkami pani Siennickiej, obok przystanku, na którym zatrzymywały się autobusy jadące w stronę Kalinowic i Jarosławca. Zmienia się okolica i przeznaczenie budynków. Na te zmiany ma baczenie lud Boży z witraży u Świętego Krzyża, kościoła oddalonego nie więcej niż kilkadziesiąt metrów. Teraz – rok 2023 – w budynku po wytwórni wód gazowanych można kupić, jak głosi szyld, „zioła, herbaty, kosmetyki”.

Mieczysław Jastrun: „Jest jakaś granica, którą przekroczywszy, liryka przestaje być sobą, staje się czysto intelektualną robotą. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby owa tkanka intelektualna nie była pozorna. Szczegół, jeden szczegół dobrze uchwycony jest więcej wart od tej gry pozorów” – zapis z roku 1957 w tomie *Dziennik 1955–1981*.

Mały zielony siewnik stał w tylnej części spichlerza, na prawo od sąsieków. Gdy wiosną, na przełomie maja i czerwca spełnił swoje zadanie, szedł tam w zapomnienie na rok. Do blaszanego pojemnika, który był jego najważniejszą częścią, wysypywane były nasiona ogórków. Trzymany za czepigi i popychany, siewnik toczył się na jednym kółku przed dziadkiem i właściwym sobie sposobem umieszczał nasiona tuż pod ziemią. Przypomina mi się, że na czepigi – nie tylko siewnika, ale

i pług – dziadek mówił capigi. Rok 1972, 1973, 1974... Niech teraz deszcz zmoczy ziemię i nasiona wykiełkują. Utrapieniem były ptaki, które wydziobywały nasiona, zanim te weszły. Biegałem z korkowcem na zagon za stodołę, żeby spłoszyć żerujące gawrony. Ktoś poradził, żeby wzdłuż zasianych rzędów ogórków umocować konopne sznurki, takie same, jakich używano do snopowiązałki – one miały odstraszać ptaki. Bo ptaki boją się sidła, jak mówiono. A rozciągnięte na zagonach i przymocowane do palików sznurki miały imitować sidła. No więc zakładaliśmy owe sidła-nie-sidła, a wrony i inne ptaki nic sobie z nich nie robiły. Wiara w sprawczą moc „sidła” trwała w najlepsze. Potem, gdy ogórki wykiełkowały i podrosły, trzeba było sznurki zwijać. Taką toczyliśmy grę ze szkodnikami: nie było zwycięzcy i pokonanego. I ptaki korzystały z nasion, i ogórki wyrastały. A ich zbiór i wożenie furmanką w skrzynkach do Łapiguza to już inna historia.

Wykomunikować, wykomunikowane – to słowo pojawiło się w ustach marszałka rotacyjnego Sejmu Szymona Hołowni w kontekście komentarza do protestów i zastrzeżeń dotyczących przedstawionego przez większość parlamentarną projektu zamrożenia cen energii (i przy tej sposobności wpisanej do projektu koncepcji budowy wiatraków w pobliżu domów i chronionych obszarów natury). Polszczynza się krtusi?

ARTUR SZLOSAREK

Notatki do zapomnianych podróży (18)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Eksperyment Milgrama

„Eksperyment Milgrama został po raz pierwszy przeprowadzony w 1961 roku w New Haven przez amerykańskiego psychologa Stanleya Milgrama. Milgram chciał zbadać, czy ślepe posłuszeństwo Niemców w czasach narodowego socjalizmu można wyjaśnić psychologią społeczną. W jego eksperymencie badanym zadawano pytania i karano ich porażeniem prądem, jeśli udzielili na nie nieprawidłowych odpowiedzi. Badany był nadzorowany przez eksperymentatora, który był dla niego autorytetem. Oprócz badanych, wszyscy uczestnicy (uczniowie i eksperymentator) byli aktorami i zostali poinformowani o eksperymencie.

Na początku eksperymentu uczestnicy zostali poinformowani, że testowana będzie korelacja pomiędzy sukcesem w nauce a karą. W tym celu role badanych były wybrane losowo, choć od początku było jasne, że aktor zostanie wyznaczony do odegrania roli ucznia, a nieświadomy badany zostanie nauczycielem. Uczeń został wybrany ostrożnie, ponieważ osoby badane nie powinny, zgodnie z założeniami eksperymentu, rozwinąć z góry niechęci do niego. Osoba wcielająca się w rolę eksperymentatora również została dobrana starannie, tak aby wydawała się ona obiektywna i autorytatywna, a jednocześnie – przyjazna dla badanego.

Eksperyment przeprowadzono w różnych wersjach, ale skonfigurowany został w swej wersji klasycznej w sposób następujący: przed rozpoczęciem eksperymentu, nieświadomy badany został porażony prądem o napięciu 45 woltów, tak aby mógł ocenić siłę oraz konsekwencje porażenia prądem. Ponadto badanym pokazano konfigurację w sąsiednim pomieszczeniu, w którym uczeń był unieruchomiony na krześle elektrycznym podczas trwania doświadczenia. Następnie badany znajdował się w tym samym pomieszczeniu, co eksperymentator, i wypowiadał

różne pary słów do ucznia przez mikrofon. Uczeń został poproszony o wskazanie błędu w kompozycji par słów. Jeśli uczeń odpowiedział błędnie, badany wywoływał u niego wstrząs elektryczny, którego siłę zwiększał po każdej niepoprawnej odpowiedzi. Zarówno uczeń, jak i eksperymentator, zachowywali się w czasie trwania eksperymentu według ustalonego schematu.

Schemat ucznia:

75 woltów: głośne chrząknięcie

120 woltów: okrzyki bólu

150 woltów: nie chce już brać udziału w eksperymencie i żąda usunięcia ograniczeń

200 woltów: bardzo głośne krzyki

300 woltów: odmawia odpowiedzi

330 woltów: cisza.

Schemat eksperymentatora:

Jeśli badany zgłaszał wątpliwości co do tego, czy ma kontynuować wstrząsy, eksperymentator prosił o kontynuowanie eksperymentu za pomocą określonych zdań:

»Proszę, kontynuuj!«

»Eksperyment wymaga kontynuowania!«

»Absolutnie musisz kontynuować!«

»Nie masz wyboru, musisz kontynuować!«

»Nawet jeśli wstrząsy elektryczne są bolesne, tkanka nie zostanie trwale uszkodzona, więc proszę kontynuuj!«

»Niezależnie od tego, czy uczniowi się to podoba, czy nie, musisz kontynuować, dopóki nie nauczy się poprawnie wszystkich par słów. Więc proszę, kontynuuj!«

Eksperymentator, zapytany o odpowiedzialność, zapewniał, że w pełni ją ponosi.

Wynik:

Spośród czterdziestu badanych, dwadzieścia sześć osób ukończyło eksperyment z maksymalną wartością 450 woltów (oznaczoną jako »ekstremalnie niebezpieczna«). Można z tego wywnioskować, że sześćdziesiąt procent badanych postępowało zgodnie z instrukcjami eksperymentatora, mimo że byli świadomi konsekwencji (możliwa śmierć badanego) i często działali w konflikcie ze swoim sumieniem. Spośród czternastu osób, które przedwcześnie zakończyły eksperyment, żadna nie zatrzymała się przy napięciu niższym niż 300 woltów. Ekspery-

ment Milgrama był kontynuowany w różnych wariantach, w tym w różnych kulturach, również z udziałem kobiet – ale ani płeć, ani kultura nie zmieniały jego wyników. Wynik wskazuje, że prawie wszyscy ludzie są skłonni podążać za autorytetem, a nie w zgodzie z własnym sumieniem, jeśli znajdują się w odpowiednich warunkach. Eksperyment Milgrama jest nadal wykorzystywany do wyjaśniania i omawiania kwestii, dlaczego ludzie popełniają zbrodnie wojenne”.

Informationsportal zu den Methoden der empirischen Kommunikationsforschung
der Katholischen Universität Eichstätt-Ingolstadt

Eksperyment Calhouna

„John B. Calhoun, etolog z Narodowego Instytutu Zdrowia Psychicznego, przez blisko czterdzieści lat swojego życia zajmował się badaniem zachowań zwierząt, a szczególnie najbardziej interesujących go gryzoni. Dzięki prowadzonym na szczurach i myszach eksperymentom udało mu się odkryć, że instynkty i przyzwyczajenia badanych zwierząt ulec mogą drastycznym zmianom pod wpływem czynników, takich jak dostępność pożywienia, obecność zagrożeń czy wreszcie wielkość powierzchni gotowej do zamieszkania.

To właśnie jeden z eksperymentów Calhouna, trwająca przez cztery lata mysia utopia, miała spowodować wiele konstruktywnych pytań i obaw o przyszły los ludzkości. Pomysł na doświadczenie wynikał wprost z drugiej fascynacji amerykańskiego etologa – kwestii przeludnienia. Założenia tego eksperymentu były proste – stworzyć populację myszy zamieszkującą idealne środowisko. Gryzoniom umieszczonym w klatce o podstawie kwadratu o bokach długości 2,7 metra i wysokości 1,4 metra zapewniono nieograniczony dostęp do pożywienia, wody oraz materiałów potrzebnych im do budowy gniazdek, stworzono domki-boksy, usunięto wszelkie zagrożenia, w tym naturalne drapieżniki, temperaturę ustawiono na optymalne dwadzieścia stopni, a także zadbano o opiekę weterynaryjną w celu ochrony populacji przed chorobami zakaźnymi. Jedynym ograniczeniem w tym mysim raju był rozmiar samej klatki, która pomieścić mogła maksymalnie 3840 osobników.

Etap przystosowywania się – od dnia 1 do dnia 104

Doświadczenie rozpoczęło się w lipcu 1968 roku wraz z umieszczeniem w klatce ośmiu osobników – czterech samców i czterech samiczek. Myszy początkowo miały

problem z przystosowaniem się do nowego środowiska i do siebie nawzajem, sytuacja ulegała jednak stopniowej stabilizacji w miarę dokonywania się podziału terytorialnego i budowy gniazd. Etap zakończył się w 104 dniu eksperymentu wraz z przyjściem na świat pierwszego potomstwa urodzonego już w utopii.

Etap gwałtownego rozwoju – od dnia 105 do dnia 314

W drugim etapie zaczęła wykształcać się pewna forma struktury socjalnej. Osobniki dominujące, silniejsze i bardziej agresywne, posiadały znacznie większe potomstwo od tych słabszych. Myszy zaczęły zacieśniać relacje społeczne poprzez częstsze przebywanie z innymi, gromadzić się w wybranych przez siebie boksach, pomimo że wszystkie z nich były identyczne i zapewniały jednakowe warunki bytowe. Cała populacja dublowała się co 55 dni.

Pod koniec drugiego etapu osobników o słabej pozycji było już trzykrotnie więcej niż osobników dominujących. Do tej ostatniej grupy należały natomiast głównie starsze myszy z pierwszych pokoleń.

Etap stagnacji – od dnia 315 do dnia 559

Tempo rozwoju populacji uległo zdecydowanemu spowolnieniu, liczebność dublowała się co 145 dni. Umiejętność obrony własnego terytorium zaczęła stopniowo zanikać u samców – tę rolę przejmowały samice, a do szczególnie agresywnych należały osobniki karmiące swoje potomstwo. Przemoc stała się powszechna, a niekiedy kierowana była także przeciwko własnym młodym, które wyrzucano z gniazd tuż po urodzeniu. Samce przestały zabiegać o samice, zaczęły natomiast wzajemnie atakować się, wykształciły się również zachowania homoseksualne – bierne samce wykorzystywane były przez samce dominujące. Instynkt macierzyński uległ stopniowemu zanikowi, pod koniec etapu niemalże całe potomstwo wyrzucane było z gniazd i zaczynało życie bez wyuczonych zachowań emocjonalnych oraz społecznych. Ilość zapłodnień stale spadała, a samice wykształciły nawet coś na wzór naturalnej antykoncepcji – wchłanianie płodów.

Etap wymierania – od dnia 560 do dnia 1588

Po minięciu 560 dni oraz osiągnięciu liczby 2200 osobników – dalekiej od zakładanego maksimum 3840 myszy – wzrost populacji uległ zakończeniu. Pojawili się tak zwani piękni, czyli męskie odpowiedniki samic. Nie wykazywały one zainteresowania płcią przeciwną, nie brały udziału w konfliktach i walkach, a jedynym

ich zajęciem było spanie, picie i jedzenie. Dbały przy tym o swój wygląd poprzez dokładne czyszczenie futerek. Zdolność do reprodukcji została niemalże całkowicie utracona, samice bardzo rzadko zachodziły w ciążę, z których jedynie nieliczne potomstwo miało szansę przeżyć. W dniu 600 nastąpiło ostatnie żywe urodzenie, a w dniu 920 miała miejsce ostatnia kopulacja. Od tego czasu ilość mieszkańców utopii zaczęła drastycznie spadać w miarę umierania kolejnych osobników. Ostatnia generacja myszy pozbawiona była agresji oraz jakichkolwiek zachowań społecznych, takich jak dbanie o własne terytorium i potomstwo. Myszy zajmowały się już wyłącznie piciem, jedzeniem, spaniem i dbaniem o siebie, co powodowało, że wyglądały one na bardzo ładne i zadbane. Umiejętność radzenia sobie z nietypowymi bodźcami w zupełności zanikła. Ostatnie żywe osobniki opisywano jako bardzo głupie. Śmierć ostatniej myszy miała miejsce w 1588 dniu, co ostatecznie zakończyło eksperyment”.

www.magnifier.pl/eksperyment-calhouna-mysia-utopia/

A o tym, że istnieje takie zjawisko, jak „bambizm”, wcześniej nie wiedziałem.

Syndrom Bambiego

„Pierwszy raz opisano syndrom Bambiego w latach siedemdziesiątych XX wieku. Odnosi się on do infantylnej postawy człowieka wobec przyrody, czyli do idealizacji. Jednocześnie osoby z syndromem Bambiego twierdzą, że wszystko, co robi człowiek, jest złe i prowadzi do destrukcji.

W 1942 roku powstał film animowany *Bambi*, wyprodukowany przez wytwórnię Walta Disneya. Fabuła dzieła koncentruje się na przygodach jelenka Bambiego, który zaprzyjaźnia się z innymi leśnymi zwierzętami. W 2006 roku powstał kolejny film, *Bambi II*, który przedstawia relację bohatera z ojcem.

Czym jest syndrom Bambiego?

Od dziecka wielu osobom towarzyszy słodki i uroczy obraz przyrody, który przedstawiany jest w filmach animowanych, głównie w tych stworzonych przez wytwórnię Walta Disneya. Przykładowo, wielkie oczy i cienkie nóżki to cechy charakterystyczne jelonka, marchewka zaś to nieodłączny atrybut zajączka. Można więc uznać, że przyroda jest często infantylizowana, a zwierzęta ulegają personifikacji. Osoby, które cierpią na syndrom Bambiego, postrzegają przyrodę w sposób dziecinny i w znacznym stopniu wyidealizowany, czego konsekwencją jest brak rzeczywistego i obiektywnego spojrzenia na świat. W przypadku dzieci, taki punkt widzenia jest często związany z oglądanymi seriami filmowymi i czytаныmi książkami. Wiele filmów opowiada historię zwierząt, którym nadano pewne ludzkie cechy. Takie produkcje w znacznym stopniu opierają się na stereotypach i popularnych motywach. Przykładem może być chciwy lis lub przestraszona trusia. Maluchy wiele czasu spędzają na czytaniu książek, oglądaniu bajek oraz filmów, w których to zwierzęta grają główne role. Z tego powodu już w okresie dzieciństwa pojawia się pewien obraz rzeczywistości, który jest utrwalany przez różnego rodzaju produkcje. Dzieci otrzymują więc następującą informację: zwierzęta są zawsze sympatycznymi stworzeniami, przyjaźnie nastawionymi do świata i człowieka. To ludzie są uznawani za największe zagrożenie, a nie natura.

Jakie są konsekwencje syndromu Bambiego i infantylności?

Oderwanie od rzeczywistości i postrzeganie przyrody w sposób infantylny najczęściej dotyka te osoby, które na co dzień nie obcują z naturą, a więc mieszkają w większych miastach. Syndrom Bambiego może okazać się niebezpieczny, zwłaszcza w momencie spotkania brutalnego zwierzęcia, na przykład niedźwiedzia, w trakcie wakacyjnej wyprawy do lasu. W takiej sytuacji szybko okazuje się, że wcale nie mamy do czynienia ze słodkim misiem, który lubi miód i mówi »ludzkim głosem«. W rzeczywistości takie zwierzę jest bezlitosne i traktuje człowieka jak ofiarę, potencjalne pożywienie. Syndrom Bambiego ma także konsekwencje społeczne, związane przede wszystkim z brakiem zrozumienia praw rządzących światem i naturą. Takie osoby mogą mieć problemy z porozumieniem się z innymi ludźmi, zwłaszcza podczas rozmów dotyczących zwierząt, przyrody, a nawet ekologii. Warto także dodać, że syndrom Bambiego wynika z braku odpowiedniej wie-

dzy przyrodniczej, dlatego takie osoby mogą być postrzegane jako niewystarczająco wyedukowane, nieznające się na różnych sprawach. Kolejną konsekwencją infantylności ludzi dorosłych są korzyści wytwórni filmowych oraz agencji reklamowych. Produkt przedstawiający słodkie i ładne stworzonko sprzedaje się zdecydowanie lepiej niż brutalne i nieprzyjemne, dzięki zwierzę”.

Gaba Kopyto, *Czym jest syndrom Bambi i jakie są jego konsekwencje?*,

dziendobry.tvn.pl

Timothy Treadwell

„Ekstremalnym przykładem postrzegania natury wyłącznie w pozytywnych aspektach może być przypadek Timothy’ego Treadwella, eko-aktywisty, miłośnika zwierząt i filmowca-zapaleńca. W latach dziewięćdziesiątych co roku wyprawiał się na teren Parku Narodowego Katmai na Alasce, by obserwować i bronić tamtejsze niedźwiedzie grizli przed »domniemanymi« zagrożeniami. Przy okazji wypraw powstawały amatorskie filmy, które finalnie posłużyły do produkcji filmu dokumentalnego *Grizzly Man* w reżyserii Wernera Herzoga. Pomimo licznych ostrzeżeń ze strony pracowników parku i ekologów, by nie zbliżał się i nie dotykał dzikich niedźwiedzi, Timothy robił to dalej, twierdząc, że wytworzył z nimi wyjątkową więź, jednocześnie zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Został ostatecznie rozszarpany, zabity i częściowo pożarty, razem z jego ówczesną konkubiną, Amy Huguenard, przez jednego z tamtejszych niedźwiedzi 5 października 2003 roku. Zdarzenie zostało zarejestrowane dźwiękowo przez włączoną w trakcie ataku kamerę”.

Wikipedia

Czarodziejska góra

Pod obłokami, w pewnym wysokogórskim kurorcie w Szwajcarii, który przestał się kojarzyć już dawno z klasycznym dziełem literatury, odbywa się właśnie, tak jak od wielu długich lat, coroczne spotkanie Światowego Forum Ekonomicznego, tej ponadnarodowej organizacji nad podziałami, założonej z inspiracji świętej pamięci Henry’ego Kissingera i prowadzonej przez znakomitego wizjonera, organizatora, człowieka renesansu – Niemca z krwi i kości, profesora Klaus Schwab, autora dzieł znacznie ważniejszych od wielkich powieści Tomasza Manna, mimo tego, że są – i to bez sprzeciwów – gorzej napisane. Taką mamy już odmianę czasu mar-

nego, tej nowej ery wedle profesora Schwaba, która rozpoczęła się od Koronawirusa, zrównując Chrystusa z epidemią (w angielskim skrócie B.C.), że do Davos nie zajeżdża już Hans Castorp, tylko Bill Gates, ani nie zasiada tam wysoko do posiłków za okrągłym stołem w rzęsście oświetlonej sali jadalnej spowita w tajemnicę Madame Chauchat, dla której wszystko było *liudzkie*, w końcu minęło sto lat, tylko uśmiechająca się jak robot Ursula von der Leyen, rodaczka Schwaba, wcześniej ministra obrony RFN, przedstawicielka wielu talentów. Jest dziś całkiem inaczej... nawet jeśli uznalibyśmy faworyta Yuvala Noah Harariego („prawa człowieka to fikcja”) za współczesną odmianę jezuitę w stanie spoczynku. Przyznać jednak trzeba, że dzieje się tam w dniach tej pory zimowej, najgorętszej w historii pomiaru, znacznie więcej niż iskrzyło podczas dyskusji, w których udział brał Settembrini... A to Klaus Schwab dla naszego dobra nam zdradzi, że już niebawem będą wreszcie możliwe prawdziwe demokratyczne wybory, w których rolę Temidy odegra na naszych oczach humanitarna Sztuczna Inteligencja... A to von der Leyen wygłosi płomienną mowę na błękitnej scenie, dzięki której zrozumiemy, że priorytetem w rozwoju świata na najbliższe dwa lata będzie stopniowe tudzież konsekwentne eliminowanie *dezinformacji* i *niedoinformowania*, ważniejszym niż walka z wojną i wojna z klimatem, gdyż w warunkach limitowanej wolności słowa demokracja, która się tu wzięła od greckich pojęć *dēmos* i *krátos*, rozkwitnie się w najlepsze *pro publico bono*. A to pan Mister Jake Sullivan, amerykański National Security Advisor na rządowym pasku, porzuci język ezopowy i bez zawodowego zatroskania będzie rozprawiał ze swadą o Nowym Porządku Świata, w skrócie z angielskiego – NWO. Na świeżym powietrzu najlepiej się przecież myśli, zaś dobra kuchnia robi swoje, jak widać było z postawy królowej Maximy z Niderlandów, która całym sercem wspiera identyfikację cyfrową na ziemi. Jednak to wciąż podpada pod kategorie *nihil novi* i więcej się można spodziewać po tych najbardziej prestiżowych obradach. Ale uwaga! Uwaga, proszę Państwa, uwaga! Padają najcenniejsze strzały, dwa, w jedną zdecydowaną dziesiątkę, choć oba ostrzegawcze. Pierwszy oddaje premier Chińskiej Republiki Ludowej Li Quiang. Bo ponagla kraje Zachodu do bardziej zdecydowanego marszu przez instytucje w kierunku celu: najpełniejszego wdrożenia standardów gospodarki niskoemisyjnej, ponieważ w przeciwnym razie Chiny nie dadzą rady otwierać dwóch elektrowni węglowych w tygodniu. Drugi odpali Tedros Adhanom Ghebreyesus, dyrektor generalny WHO z siedzibą w Ge-

newie. Chodzi *hic et nunc* oraz mianowicie o *Chorobę X*, która pochłonie całe pięćdziesiąt milionów istnień ludzkich za kilka, najwyżej kilkanaście miesięcy, ale – bez paniki! – prace nad Traktatem Pandemicznym już trwają: i jeśli tylko państwa narodowe go podpiszą, zrzekając się przez to suwerenności na rzecz World Health Organisation, oraz kiedy tylko zgodzą się na pominięcie tak zwanych praw człowieka w traktatowych zapisach, będziemy się mogli natychmiast zaszczepić – prace nad szczepionkami są już bowiem w znacznym stopniu zaawansowane, a Fundacja Billa i Melindy Gatesów zainwestowała ponad osiem miliardów w to, żeby były bezbolesne... Taki przekaz. „Nie trzeba uznawać wszystkiego za prawdę – jak to mówił kapelan do Józefa K. w ciemnej katedrze – wystarczy uznać wszystko za konieczność”.

„W poczekalni u dentysty żona doktora opowiada, że była w Auschwitz i przez jakiś czas widywała sławnego kata-lekarza, doktora Mengele. »Był człowiekiem bardzo eleganckim, dobrze wyglądającym« – mówi. Mengele wybierał ofiary do pracy i do komory gazowej nie tylko spośród świeżo przybyłych, ale regularnie dokonywał selekcji również wśród tych, których dotąd zachował przy życiu, ponieważ każdego dnia posyłał na śmierć jakąś liczbę deportowanych, jakby działał według normy, więc kiedy nie przyjeżdżał nowy transport, musztrował w tym celu dawniej przybyłych mieszkańców obozu. Świeżo przybyli na ogół nie wiedzieli, jaki los ich czeka, więc nieświadomi niczego wkraczali do komory gazowej. Ale kto spędził w obozie cztery, pięć dni, wiedział wszystko. Panika wybuchała rzadko, prawie nigdy. Skazańcy, których Mengele wybrał podczas selekcji, stali niemo; płacz i krzyki słychać było tylko wówczas, gdy matki rozłączano z dziećmi. »We mnie wtedy była zawsze jakaś dziwna cisza« – mówi kobieta. Niektórzy – jak ona właśnie – wyskakiwali przez okno z sal znajdujących się na piętrze baraku, kiedy Mengele ze swoim orszakiem hyclów nieoczekiwanie urządzał takie dodatkowe selekcje; ta kobieta też kilkakrotnie wyskoczyła z okna i nigdy nic się jej nie stało. W ten sposób odważniejsi, którzy mieli śmiałość działać w pojedynkę, czasami się ratowali. Ale takich znalazło się niewiele. Tylko kilkuset hycli strzegło stutysięcznego obozu; wśród nich wielu Szwabów z okolic Budy. Ci byli najgorsi. Pytam, jak sądzi, czy Mengele był szaleńcem? Odpowiada, że nie. Był nazistą, który wierzył, że słusznie czyni, mordując ludzi dniem i nocą. Pytam, czy po tym wszystkim, co

widziała i przeżyła, czuje się pesymistką czy optymistką. Odpowiada, że dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi jest zdolnych do wszystkiego, gdy ma po temu okazję. A co do pozostałych pięciu – nie wiadomo, dlaczego są tacy, jacy są. Trudno opowiadać. Może ma rację”.

Sándor Márai, *Dziennik 1949–1956*, przełożyła Teresa Worowska

Márai notował również przed siedemdziesięciu dwu laty w związku z lekturą *Dziennika roku zarazy* Daniela Defoe, że w 1664 roku, podczas dżumy szalejącej w Londynie, kiedy zmarło w ciągu roku sto dwadzieścia tysięcy osób, znacznie więcej ludzi bało się o swoje pieniądze niż o życie. Czy pomyślał wtedy, że taka przypadłość, właściwa dla większości, może się po latach okazać jedyną nadzieją dla reszty? Bo będziemy jej potrzebować pewnie tyle samo, co niezwyklej odwagi – nie bez związku z którą niemiecki minister obrony za pośrednictwem prasy brukowej typu „Bild” radzi się przygotować do Armageddonu pod Aldim, Lidlem i Edeką, na własnym podwórku, który ma się zacząć za sprawą Rosji za „pięć do ośmiu lat” lub w przyszły piątek wieczorem, jakby już dwóch wojen zabrakło... I nieważne to, czy ten Boris Pistorius kpi z innymi generałami, czy już o drogę nie zapyta; czy będzie to przed krwawymi żniwami, jakie zbierze z podlanego glifosatem pola zdrowych zmysłów *Disease X*, czy po wegańskim hamburgerze z kury w poprawnym politycznie sosie na postromantycznej kolacji nad brzegiem, w to niepowtarzalne jednopłciowe dwoje, ku chwale przyćmionego słońca, dla zdrowia planety. *Psyop* jest najlepszym pośród nas pisarzem, chociaż nie dowiemy się nigdy, co wkrótce opublikuje, ani czy pisze od lewej do prawej, z góry na dół, czy może przeciwnie, po kryjomu, odwrotnie. Nie ma znaczenia. Klatka już prawie zdążyła zneutralizować ptaka.

Poezja dotyku

W zacnej serii poetyckiej Szesnaście i pół, stanowiącej „eksperyment wszczenia polszczyźnie poetyk zza granicy”, ukazały się już między innymi takie tomiki poezji, jak *Na zewnątrz i wewnątrz* Nicolasa Bouviera, *Czego potrzeba do szczęścia* Pétera Kántora, *Tu i tam* Yvon Le Mena czy *Jestem i* Andrzeja Wasilewskiego. Ostatnio zaś wyszła w tym cyklu książka Juana Manuela Roki *Obywatel nocy* w znakomitym tłumaczeniu Krystyny Rodowskiej.

Historia tego tomu zaczęła się w lipcu 2013 roku na jednym z największych na świecie festiwali poezji – w kolumbijskim Medellin, rodzinnym mieście poety. „Juan Manuel Roca – pisze w posłowie tłumaczka – którego spotykałam niemal codziennie (choćaby w jadalni), choć każde z nas miało czas wypełniony festiwalowymi występami, okazał się niezwykle ciepłym, dowcipnym i otwartym człowiekiem. Doceniając moje zainteresowanie (z jego poezją zetknęłam się przed przybyciem na Festiwal), podarował mi trzy tomy swoich antologii, dzięki czemu mogły powstać przekłady, składające się na niniejszą książkę”.

Jak to możliwe, że właśnie w Medellin, w którym działał słynny król kokainy Pablo Escobar, odbywa się od trzydziestu trzech lat coroczne święto światowej poezji? Odpowiedzi udziela Roca, który,

nawiązując do znanej formuły Theodora Adorna o niemożności tworzenia poezji po Auschwitz, mówi: „właśnie wtedy trzeba ją tworzyć”. Teoretycy sztuki pokroju Adorna padają ofiarą iluzji, że siedzibą poezji jest Platońska sfera idei tudzież kryształowy pałac Królowej Śniegu. Jest na odwrót, jest jak w wierszu Herberta *Apollo i Marsjasz*: źródło poezji tryska z ludzkich trzewi, z gorącej pulsującej krwi, z cierpiącego serca, z szarpanych bólem ścięgien, z miłosnych omamień, z wyrzutów sumienia, z patrzenia śmierci prosto w oczy. Z takich też źródeł czerpie natchnienie Juan Manuel Roca.

Urodził się w 1946 roku i prócz poezji pisze prozę, uprawia eseistykę, krytykę literacką oraz krytykę sztuki. Dzieciństwo spędził w Meksyku i w Paryżu. Zalicza się go do pokolenia „straconych złudzeń”, którego przedstawiciele debiutowali w latach siedemdziesiątych XX wieku. Na początku drogi poetyckiej inspirował się niemieckim ekspresjonizmem, następnie Rimbaudem, Lautréamontem, francuskim surrealizmem, Peruwiańczykiem Cesarem Vallejo. Debiutował tomikiem poetyckim *Pamięć wody* (1973), jako prozaik jest autorem między innymi zbioru opowiadań *Sekretne plagi i inne opowiadania* (2001), książki eseistycznej *Muzeum spotkań* (1995) oraz powieści *Ten niedobry zwyczaj umierania* (2003). Za tom wierszy *Przekaz nocy* (2012) otrzymał prestiżową nagrodę

hiszpańskiego wydawnictwa Visor, publikującego najlepszych poetów Hiszpanii i Ameryki Łacińskiej.

Polski czytelnik, biorąc do rąk *Obywatela nocy*, ma zatem możliwość zapoznania się z niedużą częścią bogatego dorobku pisarskiego Juana Manuela Roki. W recenzowanym wyborze wybija się na czoło motyw – by tak rzec – skamienienia. Mamy z nim do czynienia już w wierszu otwierającym książkę, zarazem programowym, bo zatytułowanym *Poetyka*: „Niektórzy dawni mistrzowie, / Znający zaklęcia języka, / Radzą skreślić słowo *zapalka*, / Potrzeć je o słowo *kamień* / I rozpalić słowo *stos*”. A wszystko po to, by odstraszyć słowo „kojot”, skoro nieostrożnie napisano je na kartce. Bo słowa wiodą własne, tajemne życie, toteż zapis poety jest gestem demiurga, który powołuje słowa-byty do istnienia. Gdyby w wierszu nie było zapalki i kamienia, nie zapłonąłby ogień, a wówczas kojot załadowałby kartkę i rozszarpał na strzępy na przykład zająca.

Kim są dawni mistrzowie, znający język roślin i zwierząt, mający władzę nad życiem i śmiercią? To Amfion, Arion i Orfeusz, imiona-symbole mocy pieśni. To także nauczyciele Juana Manuela Roki, który podziela ich niedzisiejsze przekonanie o teurgicznej, magicznej funkcji słowa, wymuszającego na siłach Natury pożądane działania.

Jeszcze wymowniejszy pod interesującym nas względem jest wiersz *Czytelnik kamieni*, z którego przytaczam trzy ostatnie strofy:

Zanim stał się katedrą,
Wiatrem przyłapanym na gotyckim
geście,

Kamień dostał chrztu przez rzekę,
Poznał dłuto deszczu.

Czytelnik kamieni
Ogląda ich zaczarowane, niewidoczne
kszałty.

Wie, że gdzieś wśród nich
Przebywają bogowie uśpionej krainy.

Czyżby dłoń trafia – Bożego górnika –
Rozstrzygała, który to kamień stanie
się więzieniem,
Który kościołem, grobowcem,
A który ścianą placu, murem
egzekucji?

Uważny, czujny czytelnik kamieni, ich znawca i egzegeta, wie, że każdemu kamieniowi pisany jest jego własny los, wyznaczany podczas chrztu przez rzekę lub przez dłuto deszczu, albowiem o przeznaczeniu kamienia decyduje często jego kształt. Słowo „chrzest” umieszcza kamień w sferze *sacrum*, „dłuto” sugeruje istnienie rzeźbiarza ze śmiałym zamysłem wobec budulca. Ale gdy kamienie kształtem są do siebie podobne, co rozstrzyga o ich ostatecznej funkcji? Przypadek? Dłoń ludzka?

Czy ktoś z nas, znalazłszy się daleko od miasta pośród skał i kamieni, zastanawia się, które z nich posłużą do zbudowania więzienia, a które do wzniesienia kościoła? A czy ktoś z nas rozpozna w kamieniu, na który patrzy, ściany swo-

jego grobowca lub mur, przed którym zostanie rozstrzelany? Widzę tu tę samą intuicję poetycką, która kazała Tuwimowi napisać wiersz o „tajemnym drzewie trumiennym”, przeznaczonym każdemu z nas. Poznać za życia kamień i drzewo, które poślubimy po śmierci. Czy możliwa jest taka poligamia jeszcze za życia? Zdaniem poetów, tak.

Jeszcze inaczej o skamienieniu mówi wiersz *Zakłęcia dla stworzenia pomnika*:

Michał Anioł odkrył,
Że wszystkie kamienie na świecie
Kryją w sobie uśpiony pomnik,
Że wystarczy zdrapać nadmiar
powierzchni,

By go znaleźć.

[...]

Kamienie mogą chować w swoim
wnętrzu

Figurę boga deszczu,
Pomnik zapomnianego bohatera,
Głowę zdziczałego byka
Lub wilka wpatzonego w księżyc.

Gdy rzeźbiarz dojrzy – niewidoczny dla innych – kształt zaklęty w bryle kamiennej, chwyta za młot i uwalnia zamkniętego w skale więźnia. To oczywiście uświęcony długą tradycją motyw, ale pod piórem kolumbijskiego poety zyskuje nowe ujęcie, wzbogaca się o nowe znaczenia – jak choćby w wierszach *Pomnik z brązu (w stylu Josipa Brodskiego)* czy *Pomnik dla zaginionych*.

Skąd to intensywne uprawianie poezji dotyku – bo jakże lepiej nazwać to,

co czyni w wierszach Roca? Znana jest od zarania literatury formuła, że krajobraz to stan duszy, to lustro charakteru bohatera utworu lub jego autora. Rzadko kiedy owa formuła jest tak adekwatna, jak w przypadku autora *Obywatela nocy*. Roca po hiszpańsku znaczy „skała”.

Robert Papieski

Juan Manuel Roca, *Obywatel nocy*, wybór, przekład i posłowie Krystyna Rodowska, seria Sześćnaście i pół, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin-Bezzrzecz-Toronto 2023

Nieustępliwość serca

Zamość i jego okolice, bogactwo roztoczańskiej przyrody i ludzie, na co dzień towarzyszący pisarzowi od młodości, to świat Piotra Szewca, obecny we wszystkich jego książkach. Uzupełniany ciągle o nowe konteksty i odsłony, hołubiący najintymniejsze tajemnice autora, układa się w akapity, pulsujące w rytmie jego serca i opiewające wszystkie te obiekty miłośnej uważności pisarza. Bo Piotr Szewc jest wyjątkowo wierny swoim młodzieńczym przygodom i fascynacjom. Zarówno w prozie, jak i w zbiorach wierszy wraca do tej „swojskości”, która stanowi podstawę jego twórczej kreacji. I trudno byłoby pojąć jego kult Zamojszczyzny z jakimkolwiek innym pisarskim przesłaniem.

Tym razem autor tych autobiograficznych przypomnień zmierzył się ze swoim światem w zbiorze oktystychów, dając miłośnikom swego pisarstwa nową okazję do zainteresowania i czytelniczey

miasta, szczególnie wieś Czołki, gdzie dorastał w domu dziadków, ma zasadniczy wpływ na strukturę jego wyobraźni, zmysłową wrażliwość i charakter wspomnień zanurzonych w przeszłości, która staje się czasem bieżącym, aktualną chwilą. To zabieg wyjątkowo sugestywny w praktyce pisarskiej poety: odtwarzanie minionych zdarzeń, jakby wcale nie minęły i obdarowywanie ich aktualnym życiem. Pięknym tego przykładem jest wiersz *Tajemnica*: „Lubię leżeć na łące słuchać jak skowronki / Rozwieszają nad polem śpiewane koronki // Czuć pulsowanie trawy w liściach i korzeniach / Lecieć za motylami tam gdzie ich marzenia // Liczyć rozszczebiotane wśród czereśni szpaki / Wypatrywać czy słońce daje Czołkom znaki // Zająrzeć w oko rumianku zobaczyć źrenicę / A w niej dnia lipcowego ciemną tajemnicę”.

Dwubiegunowość tego świata, urok zmysłowych obrazów i smutek, związany z przemijaniem, równoważony wszakże wiarą w dalsze trwanie w przyszłym świecie, wszystko to pozwala nam zanurzyć się w magicznej aurze tej poezji. Wiersz *Łza w witrażu* tak dokumentuje tę podwójną egzystencję liryczną: „Słońce znad Łabuń po łuku się zbliża / Spójrz na witraże u Świętego Krzyża // Poranna kropla drży na aureoli / Zaraz po twarzy Łza spłynie powoli // Po złotym szkieleku po niebieskiej szacie / We łzie jesteśmy siostró moja bracie // Co zgąsło nocą teraz się przemienia / Świat szuka kształtu litery imienia”. Zdarza się też Szewcowi przywoływać w wierszach

innych poetów, z którymi czuje duchowe powinowactwo. W mottach pojawiają się Mickiewicz i Iwaszkiewicz, a bezpośrednio obecny jest Leśmian w wierszu *Słońce na schodach*: „Skrajem rynku pan Leśmian idzie w swoją stronę / A co wiemy o słońcu same niewiadome // Zaryczał lew lecz jeszcze to nie koniec świata / Szpaki obsiadły wiśnie na początku lata”. Zakończenie wiersza staje się aluzją do trwałości istnienia, może nawet domniemaniem naszej nieskończoności. Więcej jest takich bardziej lub mniej wyraźnych oznak przekonania poety, że apoteoza chwili to sposób na osiągnięcie wieczności. Jeszcze jeden przykład z wiersza *Nieostre przeźrocza*: „Pół nocy sen wyświeśla nieostre przeźrocza / Słońce w nich zawracało znad lasów Roztocza // Ksiądz proboszcz Giermakowski moczył w Tanwi dłonie / Wody rzeki przebijał długi ostry promień // Szła procesja ksiądz wiernym dawał rozgrzeszenie / Wierni kłękali w rzece tonęły drzew cienie // I wszystko popłynęło świat schował się w mroku / Znów się kiedyś pokaże w snu otwartym oku”. Tutaj „sen” możemy uznać za miarę doznań pozaziemskich.

Ciekawostką i poznawczą atrakcją tego tomu jest kilkanaście zamieszczonych na końcu książki komentarzy do wierszy, w których pojawiają się wymienieni z imienia i nazwiska bohaterowie utworów, a także przedstawione w nich zdarzenia, miejsca i przedmioty. To dodatkowy autobiogram, uzupełniający treść konkretnych wierszy. Każdy nosi tytuł wiersza i ma objętość około jednej strony.

Tak zaczyna się komentarz do wiersza *Słońce na schodach*: „Nie o Bolesławie Leśmianie, przez kilka lat mieszkańcu Zamościa, tu wspomnę i nie o schodach zamojskiego ratusza. Chodzi mi o lwa, który zaryczał w Zamościu. Na 1919 rok datują się początki ogrodu zoologicznego w tym mieście, ściśle podówczas – i w latach powojennych – związanego z miejscowym gimnazjum i osobą Stefana Milera (1888–1962)”. Warto poznać inne jeszcze sekrety mieszkańców i zakątków Zamościa, zakodowane w skarbicy serca poety.

Adriana Szymańska

Piotr Szewc, *Zielony anioł i inne oktostrychy*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Krakowie, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 36, Kraków 2023

Dwie krzyżujące się linie

Jako motto wers z *Apokalipsy* o białym kamyku i nowym imieniu i trzy słowa z *Agnus Dei* o obdarowaniu pokojem. *Drugie imię*, *Septologia I–II* Jona Fossego, tegorocznego laureata Nagrody Nobla, która po latach wraca do wartości i najwyższego poziomu.

Prawie trzysta stron z całości napisanej w latach 2019–2021, serii siedmiu części połączonych wspólnymi wątkami, liczącej ponad tysiąc stron. Jedno nieskończenie długie zdanie, kilka głównych postaci i akcja trwająca kilka dni w czasie Bożego Narodzenia. Kto? Mieszkający sam w starym domu w małej wiosce Dylgja (z objaśnień wynika, że nazwa

może mieć związek ze staroskandynawskim słowem oznaczającym ukrywanie, zachowywanie w sekrecie, u Fossego wszystko jest znaczące) malarz Asle i mieszkający z psem Bragem (od staronordyckiego słowa *bragr*: najlepszy, najpierwszy lub wiersz; w mitologii nordyckiej Brage to bóg poezji, opiekun skalatów) w pobliskim Bjørgvin, czyli Bergen (to dawna nazwa miasta leżącego około dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Haugesund, rodzinnego miasta Fossego, Asle urodził się w Haugalandet, tak jak jego matka), w bloku nad zatoką Skutevika jego nieszczęsny sobowtór, malarz o tym samym imieniu i nazwisku, mający dwóch synów i córkę, z którymi od dawna nie mieszka, i byłe żony: Liv i Siv, z którymi rozstał się na dobre, sąsiad Aslego z Dylgja rybak Åsleik, Beyer, właściciel Galerii Beyer w Bjørgvin, Ales, zmarła żona pierwszego Asle, która nawróciła go na katolicyzm (wychował się w duchu luterańskim) i ciągle z nim jest w ich dawnym domu, stara Alise, która kiedyś mieszkała z nimi, jego zmarła siostra Alida, chłopiec o imieniu Bård, który utopił się w morzu, tkacz Gudleiv i jego żona Gunvor, Piekarz i Piekarzowa, Łysy, Staruszka, Silje czy Silja i Guro czy Berge z Wąskiego Zaułka 5 lub 3 i Guro, siostra Åsleika, która mieszka w głębi Sognefjorden, najdłuższego i jednego z najgłębszych fiordów na świecie, w Øygna, przed Instefjord, który jest „najbardziej wewnętrznym”, położony około siedemdziesiąt kilometrów na północ od Bergen, na styku Morza Norweskiego

i Północnego, czyli w stronach Fossego, Matka, Ojciec i Babcia Aslego i inni.

Pierwszy zapis to opis podłużnego obrazu „z dwiema kreskami, fioletową i brązową, które krzyżują się pośrodku”, tak zwany krzyż ukośny Świętego Andrzeja, namalowany „na grubo gęstą farbą olejną”, z mieszającymi się w punkcie przecięcia kolorami i tworzącymi w tym miejscu zadziwiający, niezwykle kolor bez nazwy – „żaden obraz, ale jednocześnie obraz taki, jaki powinien być”, „skończony”, jak mówi narrator. Najlepiej oglądać go w ciemności, bo wtedy najlepiej widać, że jest w nim dużo „niewidzialnego światła”.

Ten Asle, z Dylgja, małej wioski, która przypominała mi Bullerbyn, lubi siedzieć na krześle i wpatrywać się w punkt na morzu, na Sygnesjøen, jego „punkt orientacyjny”, rozmyśla o Bogu i modli się kilka razy dziennie, a drugi, „jego nieszczęsny sobowtór”, bliźniaczko do niego podobny i tak samo jak on się ubierający, jest alkoholikiem, który myśli o samobójczej śmierci wśród morskich fal, zniknięciu w ich „nicości”, chociaż niekiedy też widzi „niesłychanie lekkie światło, tak, jak wiara” i maluje obraz zatytułowany *Świetlista ciemność*. Pierwszy Asle uważa, że religia i sztuka są jednością, bo „zarówno Biblia, jak i liturgia są fikcją, poezją i obrazem, są literaturą, teatrem i sztukami wizualnymi i jako takie mają swoją prawdę, bo oczywiście również sztuka ma swoją prawdę”.

W drodze powrotnej do Dylgja zaczyna myśleć z niepokojem, że jednak powinien odwiedzić Aslego, nie zachodząc

do niego stchórzył i nie zachował się po chrześcijańsku. Zatrzymuje się na parkingu w zatoczce przy domu, w którym kiedyś mieszkał z Ales i widzi plac zabaw, a na nim siedzących nieruchomo i patrzących przed siebie, jak na obrazie, młodą kobietę i młodego mężczyznę, jest jesień, jego ulubiona pora roku, a oni milczący, jakby byli jednością i jej bez niego, a jego bez niej nie można było zobaczyć. Zaczynają mówić do siebie i nie tylko do siebie, rozmawiać, wspominać, pragnąć, bać się, chcieć i nie chcieć, na przekór i nie na przekór i w końcu staje się to przyjemne, jak bujanie na huśtawce, w tył i w przód, w górę i w dół, do upojenia i zachwytu i bije od nich „niewidzialne światło”, w tej ciemności i stają się jednością, „jednym człowiekiem”, a im bardziej się ściemnia, to tym więcej bije od nich „coś w rodzaju światła” i stają się jednym światłem, objęci, z krwi i kości, wycięci z tej pogłębiającej się ciemności. Mówi jej o domu jego rodziców i ich gospodarstwie położonym nad Horgefjorden (to jeden z najdłuższych na świecie fiordów, tajemniczy i piękny), na który przyjemnie jest wypływać łodzią. I znowu są ze sobą, tak blisko jak kiedyś – Asle i Ales, Ales i Asle i ich jak z baśni świat, on wyciąga różaniec, który od niej dostał i którego go nauczyła, zawsze ma go na szyi i tak jak każdego dnia modli się w nynorsku, najbliższym mu języku. Ales wyciągnęła go z alkoholizmu i zagroziła do niego drogę, codziennie długo rozmawia z nią, bez słów, tęskni i myśli o niej jak o matce swojego dziecka, chociaż byli bezdzietni.

Wraca do ich starego dobrego domu w Dylgja, na podwórzu spotyka Åsleika, rozmawia z nim i milczy w długiej ciszy, która zapada raz po raz. Mówią o obrazach, malowaniu, cieniach, ciemności i niewidzialnym, „tym prawdziwym świetle”, kolorach, tych farbach olejnych wczepionych w płótno i zlewających się z nim w jedno, tak jak on jest w nie wczepiony. Wspomina swój pierwszy obraz, zatytułowany *Orszak weselny w Hardanger*, właściwie wierną reprodukcję czy kopię, początek tej drogi, z której już nie zszedł, i mówi o swoim malowaniu, a my myślimy o Fossem i jego pisaniu, które coraz bardziej nas zadziwia i wciąga w tych kolistych czy spiralnych rytmach i przypominają się Schulz, Witkacy i Kafka, to obok Becketta jego chyba najbardziej ulubiony pisarz, obok rzecz jasna Ibsena, Hamsuna czy Undset, którzy tu w przebłyskach też przychodzą na myśl, jak obdarzone światłem formy, które są jego aniołami.

I tak wchodzimy, a właściwie wpływamy w ten fiord, w jego głąb, bez chwili postępu i wytchnienia, bo widzimy tylko wijące się przecinki i ani jednej kropki. Piękny opis Bożego Narodzenia, tam na północy, a ja myślę o Bożym Narodzeniu w Toruniu dziesiątki lat temu, gdy czytam te proste i niezwykle opowieści Lindgren. I widzę tak jak on, Fosse czy Asle, „gwiazdę świecącą tak jasno, o wiele mocniej i jaśniej niż wszystkie inne gwiazdy i ta gwiazda świeci wprost na stajenkę, a jej światło jest zupełnie identyczne ze światłem bijącym od dziecka

[...] i wysyła promień światła wprost do stajenki, bardzo wyraźną smugę światła, i to samo światło, które biło od dziecka, teraz bije od gwiazdy”, co dla jednego i dla drugiego jest nie do pojęcia.

Fossego zestawia się z Beckettem, a nawet nazywa się go „Beckettem XXI wieku”. Coś w tym jest, chociaż fizycznie nie jest do niego podobny. To „niewidzialne światło”, o którym tyle myśli i mówi Asle i które uporczywie maluje, czy usiłuje namalować, zastanawiając się, czy ma coś wspólnego „ze światłem, które biło od dziecka w stajence” i widząc, że „żeby obrazy jaśniały, muszą być najciemniejsze, im czarniejsze jest wszystko, im ciemniejsze, im czarniejsze są kolory, tym więcej mają w sobie światła”, chociaż bezbożnik Åsleik nie chce o tym słuchać, mimo że widzi i wie, że „wszystko się łączy w jedną nierozzerwalną całość”, a Asle to potwierdza mówiąc, że „Bóg jest niczym”, bo jest jednocześnie wszystkim, wszystkim łącznie: „Ale do Boga nie da się dotrzeć myśleniem, mówię / Bo albo ktoś czuje, że Bóg jest blisko, albo nie, mówię / Bo Bóg jest zarówno daleką nieobecnością, tak, samym byciem, jak i bliskością zupełnie bliską, mówię”.

Asle mówi, że ten obraz z krzyżującymi się liniami jest podobny do „mojego wewnętrznego obrazu, do mojego własnego obrazu, bo właśnie to stale usiłuję namalować i jeśli chcę, żeby w obrazie było światło, żeby biło z obrazu, to właśnie tak muszę robić, muszę wchodzić w siebie tak głęboko, jak tylko się da, po to, żeby wyjść i wejść w obraz”.

I myśli o swoim imienniku, tym drugim Asle, który zapija się do nieprzytomności, ma *delirium tremens*, bardzo cierpi i chce z sobą skończyć. I mimo zmęczenia wraca do Bjørgvin, żeby z nim się spotkać, bo czuje, że dzieje się coś złego i może potrzebować jego pomocy. Jedzie z powrotem, chociaż jest ciemno, pada śnieg, a on jest bardzo zmęczony. Dojeżdża do Galerii Beyer, parkuje przed nią i rusza do Gospody zwanej Ostatnim Statkiem, gdzie, jak myśli, spotka Aslego. Ulicą Górną dochodzi do Wąskiego Zaułka i tam na schodach do domu pod piątką, gdzie mieszka Guro, widzi leżącego w śniegu człowieka, prawie już zasypanego, jakby bez życia, i widzi, że jest to Asle. Był taki sam jak on, upijał się na umór, staczał się na dno, ale uratowała go Ales, jego miłość i wiara w Boga, której jego samotny imiennik nie miał.

„My się już długo znamy”, mówi pierwszy Asle i słyszy od tego drugiego: „Prawie całe życie”. Zawozi go na pogotowie. Idzie, żeby coś zjeść, wie, że musi zająć się psem Bragem, a potem nim samym, gdy wyjdzie ze szpitala. W Jedzeniu i Picciu spotyka Silje, a może jest to Guro, która mieszka przy Wąskim Zaułku numer 5, choć być może jest to numer 3. Zabiera Bragego, sprawdza, że jego przyjacielem zajęli się w szpitalu, rozmawia z Człowiekiem do Wszystkiego, wędruje z Bragem po Mieście, spotyka Guro, a może Silje, opowiada, że urodził się w niedużym gospodarstwie z sadem w Hardanger, w Barmen (nazwa może oznaczać serce, pierś, łono) i tam się wychował, potem mieszkał w Bjørgvin, a teraz od wielu lat w Dylgji, a ona mówi, że

zajmuje się haftem hardanger, którego nauczyła się od swojej Babci i z tego żyje, oddając wyroby do Spółdzielni Rękodziela. Oboje więc żyją ze swoich wytworów, chociaż tak są od siebie różni. On wie, że ma w sobie „własne światło” i maluje „swoją własny obraz”, to samo, ale nie tak samo, co jest podobne do „obrazu, który nigdy nie został namalowany, nigdy nie mógł zostać namalowany, lecz zawsze tkwił niewidzialny gdzieś w namalowanym obrazie lub pod nim” i od początku nie miał wątpliwości, o jaki rodzaj malarstwa mu chodzi. Czytając to, myśli się także o Bectecie, przede wszystkim o nim i o tylu innych. Asle mówi: „malowanie obrazów to jedyne, co umiem robić w życiu, w każdym razie nic innego nie potrafię”. Znamy bardzo podobną wypowiedź.

I to, co mówi Asle, ten piękny niezwykły fragment, który jest esencją realności i jednocześnie esencją poezji i prozy, w każdym razie sztuki: „kiedy nie maluję, często siedzę godzinami i patrzę przed siebie pustym wzrokiem w nicłość, tak, potrafię przez długi czas siedzieć i tylko patrzeć w pustą nicłość i jest chyba trochę tak, jakby z tej pustej nicości mogło coś przyjąć, jakby z tej rzeczywistości mogło wyłonić się coś rzeczywistego, coś, co wiele mówi, a to, co zostaje powiedziane, może stać się obrazem, ale potrafię też tylko siedzieć i patrzeć przed siebie pustym wzrokiem, i być kompletnie pusty, zupełnie nieruchomy i wyciszony, i właśnie tę pustą ciszę zwykle nazywam swoją najprawdziwszą modlitwą, tak, wtedy Bóg jest najbliżej, bo to w ciszy można usłyszeć

Boga, a zobaczyć Go w tym, co niewidzialne". Mówi, że nie tyle wierzy w Boga, co wie, że On jest i świetnie to rozumie, że jest to „kwestia zrozumienia”, coś, co „człowiek nagle i w sposób niepojęty rozumie jako prawdę, a ta prawda nigdy nie została wypowiedziana, ponieważ nie jest ona słowami, tylko Słowem, jest tym, co się kryje za wszystkimi słowami i co umożliwia istnienie słów, istnienie języka, istnienie sensu, i być może da się to pokazać, ale nie da się tego powiedzieć, tak, tak jest, i taka wiara, takie zrozumienie, taka wiedza jest łaską daną jedynie niektórym, ale ta łaska, ta wiedza, która jest dana tylko tym ludziom w udziale, może objąć też innych, tak również tych, którzy sami tej łaski nie dostąpili albo nawet nie wiedzą o jej istnieniu". To jest prosto i jasno powiedziane, tak jak te dwie namalowane dużą ilością gęstej farby krzyżujące się linie – obraz, który tak pochłania Aslego i robi wielkie wrażenie na Åsleiku.

Brzeg, Fiord, Szopa na Łodzie, Pomost, Łódź, Cypel, pień drzewa, niebo, morze i wiatr. Odcienie niebieskiego, brązu, szarości, bieli i światła, które nie wiadomo jaki ma kolor. Niebieski fiord jest jak metafizyka – to, co go otacza i to, co jest w nim, w środku. Można wyruszyć w podróż i zobaczyć to bezpośrednio lub już za chwilę na zdjęciach i filmach – „coś w rodzaju światła, coś w rodzaju świetlistej ciemności”, delikatne „niewidzialne światło”, które milcząco przemawia, tak jak dzieje się to w niektórych ulubionych obrazach i w niektórych utworach literackich, do których raz po raz się wraca,

„ważne jest nie to, co mówi wprost o tym czy o tamtym”, ale to „coś, co milcząco, przemawia między wierszami”. I tyle wystarczy. Wiadomo, co się zdarzyło i o co chodzi.

Asle i Åsleik jedzą smażony boczek i jajka z cebulą i karmią Bragego, który też musi dostać swoje. Potem Asle po ciemku ogląda obraz i myśli, „że to w ciemności mieszka Bóg, tak, Bóg jest ciemnością, a ta ciemność, ciemność Boga, tak, ta nicość, to ona jaśnieje, to z ciemności Boga bije światło, niewidzialne światło”. I dodaje, że bez światła obraz jest zły, chociaż może tego światła nie widzą inni, większość z nich lub widzą, ale o tym nie wiedzą i uważają je za coś innego lub widzą po swojemu, w świetle dnia, jest dla nich wtedy bardziej widzialne, a nie jak tamte – „niewidzialne w widzialnym”, a Bóg jest we wszystkim, co istnieje, „inaczej niż to, co istnieje tylko dlatego, że istnieje”, jest też we wnętrzu człowieka i jest w nim królestwo Boże, dlatego to, co zniknie – człowiek widzialny, stanie się „jednością z tym, co jest niewidzialne we wszystkim i co jest powiązane z tym, co widzialne, ale nie jest tym widzialnym”, tak jak „niewidzialne, które jest w widzialnym i które w widzialnym działa, i które je podtrzymuje” – świetlista ciemność i pokazuje to sztuka, wielka sztuka, trzeba tylko umieć patrzeć.

Czuje przy sobie leżącego Bragego, a potem leżącą z nim Ales, obejmując się mocno, dają sobie ciepło i on bierze do ręki różaniec, który od niej dostał, jest bar-

dzo zmęczony, robi znak krzyża i zaczyna odmawiać Pater noster i dalej, aż do *Kyrie eleison*.

Krzysztof Myszkowski

Jon Fosse, *Drugie imię, Septologia I–II*, z norweskiego przełożyła Iwona Zimnicka, Wydawnictwo ArtRage, Warszawa 2023

„...pisarz? sztukmistrz? lub myśliciel?...”

W pierwszym liście stwierdza, że w naszym Narodzie (albo raczej *Społeczeństwie*) „każdy *druk* pojawia się za późno, a każdy *czyn* za wcześniej” i jest to podstawowa prawda, którą potem powtarza kilka razy ze smutkiem, choć może i z nadzieją. Krytycznie pisze o *Panu Tadeuszu*, to jest znane i ten rozdzwięk: sercem jestem po stronie Mickiewicza, ale myślą po stronie Norwida. Pisząc o bytności wieszczą w Rzymie, zauważa: „Mickiewicz był tam jak wszędzie: to jest *sam* w społeczeństwie, które *miał za nic*, dlatego iż przez cały czas jego urabiania się toż społeczeństwo albo miało go za *wariata*, albo za *pół-boga*! Tak robią zawsze *dzicy ludzie* ze wszystkimi wyższymi-umysłami!”. Sam spotyka się z lekceważeniem, obojętnością, wrogością, a nawet nienawiścią, także czołowych pisarzy. Do Józefa Bohdana Zaleskiego pisze: „Ani jednej w tych czasach książki nie dotykam bez znalezienia w niej, że skoro tylko możnaść i tok, i styl, i margines pozwalają, natychmiast mnie uwierzgną i obcasem poczęstują. / Za co?... co?... komu?... wziąłem... sa-

motnie jak nikt całą moją młodość przeżuławszy... Co?... komu?... kiedy?... nie dopuściłem – – ja?... kto?... pokażcie, kto?”.

Wolą łatwość, wodolejstwo, gadanie, żeby chociaż „trzy po trzy”: „to mi Mościumbdzieju styl, to mi pisarz – leje a leje mi sam, a ja siedzę i fajkę palę i czytam Mościumbdziejum!”. Czyż nie jest tak do dziś?

Fakt, że nie był człowiekiem praktycznym. Listy wypełniają różne grzeczności, prośby o pomoc i wsparcie, zabiegi finansowe, i tak najczęściej bez skutku. Żyje w nędzy, głoduje, głuchnie, jest chory, opuszczony, marginalizowany, samotny, niemający poręki „żadnego stronnictwa, żadnej partii, sekty, koterii, urzędu, komitetu...”. Do tego z chorującym psychicznie bratem-hazardzistą i jego bezradną żoną.

Usiłuje utrzymać się z malowania obrazów (jak później Witkacy), ale jest to bardzo trudne i prawie niemożliwe. Mają go za dziwaka, oryginała, nie potrafią ani czytać, ani oglądać. Nehring pisze, że jego „utwory pełne są myśli zagadkowych i uniesień niezrozumiałych” i jest to powszechna opinia; krytykują go Kraszewski, Koźmian, gazety, kto i gdzie może. Jego poetyka i rytmika są tak nowe, że dla wielu niezrozumiałe, rażące i odstręczające, wręcz barbarzyńskie (sic!). Takie były i są u nas gusty, taki poziom i nie ma na to rady. Co rusz kłopoty, utarczki, zaczepki, przykrości, trudności i przeszkody, prawie żadnych pochwał i pomocy. Proponują mu zamieszkanie w przytułku dla starych i ubogich emigrantów, w Zakładzie Świętego Kazimierza i w końcu tam

trafi. Na wydanie czeka pięć większych rzeczy, w tym rewelacyjne i rewolucyjne *Vede-mecum* i *Rzecz o wolności słowa*, która w końcu się ukazuje, ale z koszmarnymi błędami zecerskimi, a Władysław Mickiewicz, który go nie znosi, zamyka cały nakład w piwnicy. Kraszewski napisał o *Rzeczy*, że jest „ułomna, niedoszła, poroniona”. Norwid postanawia przestać „brać udział w literaturze polskiej”, skoro „nikt go nigdy pocziwym słowem nie obdarzył” i przerzucić się na malarstwo i grafikę. Chory, zaniedbany, w anormalnym położeniu, nie może być w towarzystwie, co tym bardziej odsuwa go i izoluje.

Jego listy tworzą ciekawą strukturę stylistyczno-artystyczno-intelektualną, także jakby muzyczną, bo myśli powtarza w różnych kontekstach i okolicznościach, kierując je do różnych adresatów, w formie nowej, która nie może nie robić wrażenia. Nie łatwe płynne wywody, ale lapidarne zapisy – stychy jakby przysłowiowe, choć na opak tych, które obowiązują i panują w powszechnej świadomości, w tym dziwnym społeczeństwie, przez niego „oczyszczone i z-harmonizowane”. Mówi o aforystycznej formie myślenia i pisania właściwej na przykład pisarzom i filozofom starożytnym i angielskim oraz o *toku-ciałości* i uzależnieniu od niego tych „pojedynczych aforystycznych klejnotów”. Kto tak próbował, ten wie, co to znaczy. A oni go „nienawidzą, ile tylko mogą”, żali się w liście do Zaleskiego. Z gniewu pisze „rym francuski” – Epitafium, które tak brzmi w przekładzie: „Tu spoczywa artysta pobożny / Co błó-

tem wielce się splamił / Pracowni szukając / W miejscu bezbożnym!...”. I nie jest przesadną hiperbolą zapis: „A przez cały żywot nic oprócz popiołów nie widziałem dokoła”, chociaż był żarliwym katolikiem.

Krytycznie mówi o malarstwie Matejki, przypominając, że: „Artystów poznajemy po *ideale* a mierzymy ich po wysokości *ideału*”. Czy i dziś stosuje się te miary? A przecież nie ma innych lepszych. Zastanawia zdanie o nim Kraszewskiego: „*Poeta-artysta C. N...* gdyby mu Bóg dał trochę ziemniejszej krwi i praktyczności. / Pomysły rzucane *od-niechcenia* na papier znakomite... ale gdy chce co wypracować, traci siłę”. Coś w tym jest ważnego.

Wspomina, jak zostali potraktowani między innymi Długosz, Skarga, Jan III Sobieski, Czartoryski, Mickiewicz, Mochnacki, Krasiński czy Bem. Pisz: „Jestem samotny na świecie jak nikt z ludzi, których znam. Tak samotny jestem”; „*Sam jestem i Sam byłem!*”. Wie, że jako poeta i pisarz nie ma odbiorców. Wydaje go tylko niemiecki wydawca Brockhaus, Polacy go odsuwają i właściwie eliminują. Nie ma żadnych złudzeń co do ich religijności, potrzeb, gustów, wymagań i intelektualnych możliwości: „*Zawsze się kłaniali pięści i pieniądzom*. Żadnego źródła ducha nigdy nie ocenili – nigdy”; „*Pojęcia najmniejszego a najmniejszego o pieśni nie mają – mazurek i siekanina!*...? Żebyś wiedział jak to boleśnie, skoro się wie, co? To znaczy – co? To znaczy... co? To znaczy”. Ani Polacy, ani język polski nie mają pojęcia o istniej liryce – to, co Polacy nazywają liryką, jest

zawsze mazurkiem i tętmem pańszczyźnianych cepów na klepisku – to zawsze młóckarnia i pańszczyzna – kroku w niczym nie zrobili naprzód – oni by radzi lirykę Ezechiela na nutę »3 Maja« mazurkiem podrygać w butach palonych – tam tam tam! Ram tam tam!” Czy dziś nie jest podobnie? I czy nie było?

Podkreśla, że nie jest czystym „Słowianinem (niewolnikiem)”, ale pochodzi z Normandów i jest „Polakiem, ile? Anglikiem i Francuzem” – jego przodkowie wywodzili się ze Żmudzi, czyli pogranicza Litwy.

Jego siłą jest chyba najpiękniejsza w literaturze polskiej ironia – mistrzowska, a także zestawianie sprzeczności – ostrych i pozornych i poruszanie się w nich. Zawsze mówił prawdę – patronem jego liryki jest Ezechiel. Stwierdza, że „*Rozum uprzedza prawdziwą wiarę* – zawsze – zawsze. Jest to teologiczny i historyczny pewnik”, i daje przykład Matki Zbawiciela. Bardzo mało kto wie, kim i jaki jest Bóg, „ale z tego wszystkiego, co w tej rzeczy wiemy, najświęciej pewną wskazówką jest to: co *On Sam o Sobie* powiedział i nad to *nic* mamy ważniejszego. *Nic*, nigdzie i nigdy, ani w wiedzy, ani w Kościele żadnym – albo wiem to jest świadectwo *Boga o Bogu*”.

Rozróżnia *krzepienie* ducha i *krzepienie* serc. Co w literaturze naszej jest „*na pokrzepienie ducha*”? – pyta i nie widzi go nawet u Mickiewicza. W Polsce największe prawdy wiary nauczają w romansach: „Zniewieściali i niewolnicy są!” – rzuca i dodaje: „Powiadają mi na to: że tym sposobem [»udatną zmianą formy pisarskiej« – przyp. K.M.] zyskuje się powolność

czytelnictwa..., / Niech go pioruny zapalą! Niech go nie będzie wcale – to lepiej jest. Niech wszyscy pisarze polscy założą ręce i milczą – to lepiej. / Ktoś sprzedawał sól – nie chcą soli? – więc ponieważ lubią cukierki, niechże domiesza do soli tak wiele cukru, aby ją za cukier brano – gdzież potem sól? / Zbawiciel wspomniał o tym, i można być pewnym, że On nie omyli – można być pewnym, że On nauczycielem był. –”. W to nas wpychają. Gdzie w tym jest na przykład godność człowieka? Ale czy pomyślą o tym? Norwid powinien być dla nas dzisiaj jednym z najważniejszych poetów i pisarzy. A rzecz jasna, że nie jest – na zgubę i zatrąę. Ale kto tym się przejmuje? Jeżeli nie prawie nikt, to na pewno niewielu. Mówi, że „dopóki będzie rękę trzymał podniesioną i mówił lub czytał, dopóty się w tych węglach żarzyć będzie – – odwróć się... i zgasną... i wyszczerzy zęby zimny popiół”. Znowu zostaną rozjechani i rozbici na miazgę? I znowu potrzebny będzie Duch.

Tak kręci się to, od wieków, w tym błędnym kole (*cercle-viaieux*), które diabeł co rusz podkręca i nakręca. W negatywnej selekcji, a właściwie unicestwianiu się, bo liczą się tu głównie towarzyskość, rekomendacje, „sąsiedzkość” i babranie się w tym. „Zamiast cieszyć się, że przecie jakie imię polskie przy wielkich tradycjach stoi, to oni wszystko obrudzą i zaszkodzą. Nie strawili jeszcze, co pisałem! – nawykli do czytań łatwych i pisań lekkomyślnych”. Przestrzega, że co innego wiedzieć o czymś, a co innego być na to przygotowanym i właściwie postępować, rozwijać się.

Raz po raz zadziwiają zdania i fragmenty, jakże lapidarnie aktualne, nie tylko o Polsce, Polakach, literaturze i sztuce polskiej, także na przykład o świecie, dziennikarstwie i komunikacji. Ale to trzeba rozumieć, być nie niewolnikiem, co ilustruje Norwidowa przypowieść: „Naturalista jeden zasłonił bluszczowi słońce deską, w której odległą od rośliny dziurę pierwej wywiercił – w niewiele dni bluszcz poszedł deską i utrafił w ów otwór – następnie znowu mu badacz zakrył światło, a inny pozostawił otwór gdzie indziej, ile na nowo bluszcz poszedł i tam jeszcze – i tak siedemkroć poszedł i oplótnął deskę całą i strzaskał ją, i zaświeciło całe nad nim słońce”. Czy to jeszcze nie jest jasne? „Tak samo z ich miłością, jak z ich poezją”, dopowiada jakby na dokładkę, a to ważne, bardzo ważne – najważniejsze.

O Europie mówi, że nie jest „*rasą*”, ale *principium*! – bo gdyby byłaby rasą, byłaby Azją!!!”. *Principium* znaczy: zasada. Określa, po czym od razu poznajemy barbarzyńców i że ich cechą główną jest to, że „biorą *przemysł prawdy za prawdę samą*”. Wszystko jak dziś! Wiemy, kim był dla Jana Pawła II.

Ale jest także zawily, hermetyczny, trudny, wymagający wpół- i współmyślenia i wtedy, jeżeli przebijemy się przez to, w popiele spraw znajdujemy prawdziwe diamenty i brylanty. „Niech lepiej nie chcą, aby się *jaśniej* mówiło – – / Czasem się nie mówi jaśniej przez grzeczność”. W dewizie, którą umieścił przed *Rzeczq o wolności słowa* wyznaje, że nie odpowiada mu poezja czekająca na „przed-

mioty niesuche... i wdzięczne”. To nie jest labirynt, raczej dróżki i ścieżki przy drodze głównej i sama droga główna.

Krzysztof Myszkowski

Cyprian Norwid, *Listy 4. 1867–1871*, opracowała Jadwiga Rudnicka, uzupełniła Elżbieta Lijewska, „Dzieła wszystkie”, tom XIII, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, Biblioteka Narodowa, Lublin–Warszawa 2022

Porozumienie

Książę i żebrak, taki tytuł też mógłby mieć ten tekst. Może nie aż tak dosłownie, ale blisko – hrabia i plebejusz. Genealogia obu adresatów sytuuje ich na krańcach polskiej drabiny społecznej. Michał Paweł Markowski, autor przedmowy do *Listów 1964–1988 Józefa Czapskiego i Sławomira Mrożka* pisze:

„*Czapski*: [...] arystokrata, spokrewniony z najlepszymi familiami świata [...], członek jednego z najważniejszych rodów późnego średniowiecza, odnajdujący co rusz koligacje w Almanachu Gotajskim. [...]

Mrozek: nihilista owładnięty manią introspekcji, miesiącami powodującą twórczy paraliż; [...] wnuk chłopca i urzędnika pocztowego z prowincjonalnego miasteczka w prowincjonalnym województwie. [...]

Czy mogli się spotkać? I tak, i nie. Ale raczej nie” (*Niespotkanie*).

Jednak tak. Co zasypało tę dawną przepaść? Po czterech latach korespondencji Sławomir Mrozek wyrazi to następująco:

„Porozumienie – to już jest coś. Prawda zawsze mniej mnie męczy od przystoj-

nego nawet pozoru. Jeżeli mogę ją dzielić z drugim człowiekiem – to już jest bardzo wiele. Może to właśnie jest zasadnicze, żeby tak zwana ludzkość istniała” (list z 11 stycznia 1969).

Nie wiemy, kto zaczął ten listowny związek. Być może Czapski, lecz jego pierwszy list się nie zachował. Drugi ma datę 8 stycznia [1964], ale znajomość została zawarta sześć lat wcześniej, zapewne na początku 1958 roku, kiedy Mrozek przyjechał do Paryża po raz pierwszy, z delegacją krakowskich literatów. Wraz nim poznawali ówczesną stolicę świata Wisława Szymborska, Jan Józef Szczepański i Tadeusz Nowak. Odnotowali to w dziennikach Szczepański oraz Mrozek i w jednym z listów wspomniała o tej wizycie Wisława Szymborska. Zaś w *Baltazarze*, autoterapeutycznej autobiografii, autor *Emigrantów* również pisał o emocjach towarzyszących temu „zakazanemu” spotkaniu:

„Opanowało mnie niedorzeczne uczucie, że ktoś nas śledzi. Uczucie to pozostało, dopóki nie skończyła się wizyta i nie znaleźliśmy się znowu w Paryżu”.

W tych krótkich relacjach nazwisko Józefa Czapskiego się nie pojawia, lecz pierwsze listy obu korespondentów nawiązują do wcześniejszych rozmów: „spotkanie z Panem było dla mnie znaczące – pisze Czapski w drugim liście. – [...] Rozstaliśmy się w chwili, gdy Pan postawił pytanie, co robić z tym, co w człowieku się tłamsi i co w każdej chwili może wybuchnąć, a co na dalszą metę MUSI wybuchnąć. [...] Kiedy Pana cisną tematy nie do druku,

stany wspomnienia, to jeżeli Pan do takich »studni« nie wskoczy, to Pan zginął, a może i my z Panem, bo Panu jednemu jest dane to właśnie na jaw wyprowadzić [...]”.

Początkowo Józef Czapski, człowiek i autor bezkompromisowy, mógł sądzić, że przeszkodą są polityczne realia powojennej Polski, że jego korespondent, choć twierdził – w liście do Piotra Rawicza – że nie miał z cenzurą trudności, może stać się ofiarą cenzury wewnętrznej, która jest „stokrotnie gorsza” i „pisać Pan będzie coraz bardziej aluzyjnie, aż wyląduje Pan w czystej abstrakcji, jałowej abstrakcji”.

W odpowiedzi Mrozek usiłował opowiedzieć starszemu o trzydzieści cztery lata artyście o braku pewności siebie jako pisarza, o depresyjnych stanach zwątpienia w życiowy wybór. Szukał słów, by wyrazić nieustanne poczucie trudnego do określenia braku, które sprawia, że nękająca go neurotyczna potrzeba autoanalizy, „mania introspekcji” – jak to określa Markowski – raz po raz blokowała możliwość pisania.

Korespondencja obu artystów, rwąca się, dzielona długimi pauzami, od początku była niekonwencjonalna. Mrozek to pisał krótko, informował o częstych wyjazdach i zmianach miejsca pobytu, czasem przeproszał za milczenie, proponował spotkanie, dziękował za poprzednie, to znów wysyłał Józefowi Czapskiemu kilka gęsto zapisanych kartek.

Od 1963 roku mieszkał już poza krajem, głównie we Francji i Włoszech. Nie deklarował się jako emigrant, jednak doświadczał emigracyjnego losu, choć nie w pełnym wymiarze. Jego kolejne sztuki

wystawiane były w Europie i w Ameryce, położenie materialne autora ułatwiało mu więc egzystencję. W sierpniu 1968 roku, po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, opublikował we francuskiej prasie swój protest. Ogłosił go również w „Kulturze”, co władze odebrały jako polityczną deklarację i zakazały publikacji tekstów oraz wystawiania sztuk pisarza. Mroźek poprosił we Francji o azyl.

Znajomość, głównie listowna, trwała. W starszym, doświadczonym artyście pisarz znalazł adresata, który jak idealny psychoanalityk starał się wyzwolić w młodszym koledze zdolność do uświadomienia sobie, uporządkowania i dyskursywnej werbalizacji najważniejszych kwestii światopoglądowych. Znajdował dla nich fikcyjny wyraz w twórczości, metaforyczny, jednak miał kłopot z rozpoznaniem ich na osobisty użytek.

Wciąż usiłując określić swą jednostkową tożsamość, opisując Czapskiemu okoliczności, które uważał za dziedziczne determinanty swej osobowości, autor *Emigrantów* stopniowo rozszerzał perspektywę, więc korespondencja szybko stała się rozmową o tożsamości narodowej.

W liście z 1965 roku wysłanym z Genui Mroźek przeprowadza wnikliwą psychoanalizę polskiej duszy: „Polak chce być kochanym, podziwianym, błaga o piękno, o uczucie. [...] W gruncie rzeczy każdy jest na spodzie swoich marzeń dandy i tenor”. Poszukuje właściwej definicji, wydobywa skrajności: „Polacy prosto z bohaterstwa, z barykad, wpadli w *mięłocz*, sparzeni na barykadach, niczego już innego nie

umieli znaleźć dla siebie jak kiepskie ironizowanie, mały sprytek życiowy, a z tak zwanych uczuć w najlepszym wypadku tandetny sentymentalizm [...]”.

W listopadowym zeszycie „Dialogu” (1964) wydrukowano *Tango*, pierwszą sztukę napisaną po wyjeździe pisarza z kraju. Rok wcześniej, w 1963 roku, Sławomir Mroźek opublikował *Monię Clavier*, opowiadanie-metaforę narodowego poczucia niższości zrośniętego z fałszywą wyższością. Zagadnienie to, tak doskonale przedstawiane w dramatach i w całej twórczości, jednak go prześladowało, nadal odczuwał je jako destrukcyjne. W listach powraca do tych napięć jeszcze kilkakrotnie, upatrując źródła w społecznej genealogii. Również własnej. Po dekadzie znajomości i przyjaźni, w roku 1974, przebywający na uniwersytecie w Pensylwanii Mroźek jeszcze raz próbuje sprecyzować swoje tożsamościowe niepokoje i okresowe blokady twórcze. Analizując początkowy stosunek do literatury jako życiowego rzemiosła – „produkowałem utwory, jak stolarz produkuje stoły” – powraca do własnej przeszłości rodzinnej, tym razem krótko nazywając swe społeczne uwarunkowania. Chyba wcześniej ani później tak otwarcie ich nie wypowiedział:

„Społecznie – nie jestem z »rodzin« [...], nie jestem z chłopów, nie jestem z mieszczan, Żydów ani inteligentów. Takie pochodzenia dają taką czy inną formę, którą można operować, przewycięzać, dają jakąś podstawę, grunt, glebę, opór. [...] Jestem z okropnej społecznej próżni i miałości, nijakości drobno-drobno-jakiejś”.

Józef Czapski empatycznie towarzyszył młodszemu autorowi, uważnie i wielokrotnie czytał kolejne jego utwory i komentując je z uznaniem, potwierdzał Mrożkowe rozpoznania własnymi, uzupełniał refleksją, często mało optymistyczną. Oba listy nie są wolne od emocji pisarzy, którzy widzą trwałość i niezmienną narodowych słabości. W październiku tegoż roku w odpowiedzi z Maisons-Laffitte czytamy: „Co mnie przeraża, to ten wieczny powrót – Polak bohater, pan Wołodyjowski, Polak chytrusik [...]”.

W ostatnich dekadach, szczególnie po 2004 roku, proces cywilizacyjnego ujednoliceńa znacznie przyspieszył, jednak zmiany mentalne, kulturowe, choć widoczne, nie dokonują się równocześnie. Już kilkadziesiąt lat przedtem Mroźek znalazł sugestywny i perswazyjnie skuteczny wyraz artystyczny dla zwrócenia uwagi te procesy. A tym samym na ich egzystencjalne i emocjonalne skutki.

Był w tym prekursorem. Obecnie nadrabia te zaległości również literatura naukowa. Publikacje pod tak znamienitymi tytułami jak *Ludowa historia Polski* (Adam Leszczyński, 2020), *Antropologia codzienności* (Roch Sulima, 2020), *Chamstwo* (Kacper Pobłocki, 2021), *Chłopki* (Joanna Kuciel-Frydryszak, 2023), porządkują i przedstawiają te fundamentalne doświadczenia zbiorowości w sposób udokumentowany, a zarazem stają się swoistymi bestsellerami, w czym można upatrywać ewolucji świadomości zarówno dawniejszego „ludu”, jak i byłego „mieszkaństwa”.

Mroźek był prekursorem, gdy w listach do Czapskiego starał się opisać swój stan psychiczny, tak samo jak wówczas, gdy tworzył satyryczne rysunki Polaka z pawim piórem, pisał opowiadania, *Tango* i *Emigrantów*. Dalekowzroczność tego intelektualisty przeraża: „Polska nie upadnie, tylko zakłamię się na śmierć. Załga się sama. Tendencja oficjalna, spon-tanicznie, nawet bez wiedzy podtrzymywana, popierana przez inteligencję twórczą [...] – produkuje szkodliwy, a słodki narodowy sen. Znowu jesteśmy silni, zwarci, gotowi”.

Czytałem tę korespondencję z uporczywym uczuciem powtórki, poniekąd jako rozmowę również o dzisiejszej naszej tożsamości, AD 2023; o samoświadomości sporej części obywateli IV RP. Choć powinienem zastrzec, że w miejscu określić „samoświadomość” oraz „obywatele” precyzyjniej byłoby napisać „niejasne poczucie” oraz „mieszkańcy”.

Józef Czapski, cierpliwy mentor, odpowiadał na wyznania przyjaciela obszernie, solidaryzował się w ocenie rzeczywistości, wspierał początkującego emigranta. Gdy Mroźek podjął decyzję, która oznaczała niemożność powrotu do Polski, napisał: „Tu jest Pana samotność, czystość i wielka siła”. Ukazywał też złożoność egzystencji oraz indywidualnych ocen. Nie reagował dosłownie na niektóre pesymistyczne opinie swego korespondenta, potrafił z opóźnieniem i delikatnie polemizować. „Żał mam [...] do Ciebie – pisał w 1982 roku, po lekturze *Małych listów* – że w jednym z Twoich gorzkich listów z Ameryki

[z 1974, cytowanym wyżej – przyp. A.Z.], w którym pograżałeś całą Twoją rodzinę, nie wspomniałeś o Dziadku Ignacym”.

Współtwórca i lokator niezwykłego ośrodka „Kultury” w Maisons-Laffitte Józef Czapski zmarł w roku 1993, w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Ten malarz, pisarz, filozof, żołnierz i więzień sowieckich obozów, był intelektualnym przyjacielem niejednego artysty i literata, od Czesława Miłosza, poprzez Andrzeja Wajdę do Adama Zagajewskiego, który przed swym niespodziewanym odejściem przygotowywał o starym mistrzu eseistyczną książkę *Najwyższy człowiek świata*, obecnie zawierającą także listy obu przyjaciół, których daty urodzenia dzieliło pół wieku.

Sławomir Mrożek umarł w Nicei 16 sierpnia 2013 roku, nagle, po „banalnym zabiegu chirurgicznym”, jak napisano w prasie. Jego *Tango* jest lapidarną diagnozą XX stulecia i procesów społecznych, którym podlegamy współcześnie. To urzekająca pięknem i przerażająca prawdą metafora.

„Drogi Józefie – wyznawał Mrożek w 1982 roku – piszę do Ciebie [...] nie w żadnej określonej sprawie. [...] dzisiaj wyraźniej niż zwykle uświadomiłem sobie, że jesteś, po prostu [...] i wobec tego chciałem Ci tylko o tym powiedzieć”.

„Twoja przyjaźń dla mnie, nasza przyjaźń jest po jakimś tajemniczym, w ciemności i bez świadków” – odpisywał Czapski.

Listy Józefa Czapskiego i Sławomira Mrożka tworzą wręcz ikoniczny obraz biografii dwóch wypędzonych niezależnych

intelektualistów, którzy pomagali sobie, by rozpoznać i przedstawić niebezpieczeństwa powszechnego losu. Utrwalili te starania również dla nas.

Andrzej Zawada

Sławomir Mrożek, Józef Czapski, *Listy 1964–1988*, wstęp Michał Paweł Markowski, zebrał i opracował Jan Strzałka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

Szyfrogramy Wisławy Szymborskiej

Wydana przez Wydawnictwo a5 książka *Wisława Szymborska. Kryniccy, to przecież dla Was! Listy, karteczki i dedykacje 1966–2011* zajmuje wśród publikowanych korespondencji noblistki miejsce osobne i szczególne. Od razu przykuwa uwagę umieszczenie na okładce jednej z wyklejanek poetki: oto na stosie groteskowo spiętrzonych kufrów i waliz z dawnych epok stoi, grający na lutni, elegancko przyodziały wąsaty mężczyzna z drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Tylną stronę okładki ozdabia zbiorowa fotografia, zrobiona przez Michała Rusinka w Lubomierzu, 6 lipca 2009 roku, na której widnieją: chowająca się na drugim planie Wisława Szymborska, obok Krystyny i Ryszarda Krynickich, Mai i Adama Zagajewskich oraz profesora Wiesława Czyży, który w jednej ręce trzyma kieliszek, w drugiej napoczętą butelkę białego wina. Ale centralne miejsce na zdjęciu zajmuje naturalnej wielkości fotograficzna podobizna „wielbionego” przez poetkę Andrzeja Gołoty w jego

płaszczu pięściarskim. Rzecz zatem będzie o przyjaźni i wspólnej zabawie, relacjach na serio i z przymrużeniem oka. Czyli – całkowicie zanurzona w żywiole jakże bliskim autorce *Stu pociech*.

Czytelnicy poprzednio wydanych przez a5 zbiorów listów Wisławy Szymborskiej ze Zbigniewem Herbertem i Stanisławem Barańczakiem, mogą czuć się zawiedzeni, daremnie bowiem będą oczekiwać w tej korespondencji wymiany poetyckich dialogów, refleksji o literaturze czy oceny twórczości partnera. Poza dwoma listami na ten temat książka zawiera głównie, zgodnie z tytułem, ozdobione wyklejankami kartki, podobizny dedykacji, dwa wywiady z Ryszardem Krynickim oraz garstkę zdjęć, na których poetka występuje w gronie swoich przyjaciół, między innymi jej szwedzkiego tłumacza, Andersa Bodegård, Julii Hartwig, Krystyny Zachwatowicz, Maszy Potockiej oraz osobistego sekretarza Michała Rusinka. Jak wyjaśniają wydawcy, korespondencja jest jednostronna, bo „Ryszard Krynicki pisze listy niezwykle rzadko”, sprawy redakcyjne załatwiano telefonicznie lub osobiście, zaś listy, które dotyczyły tych spraw, są mało interesujące dla osób postronnych i „nie nadają się do publikowania”. Niektóre z tych listów zostały jednak zamieszczone. Szczególnie porusza troska, z jaką Szymborska razem z wydawcami starali się o jakość edycji wierszy Kornela Filipowicza *Powiedz to słowo*. Uderza wyczulenie poetki na ścisły związek tekstu z obrazem. Jak argumentuje w liście, wybór tego właśnie tytułu znakomicie współgra z reprodu-

kowanym na okładce rysunkiem Jerzego Nowosielskiego, przedstawiającym „profil z półotwartymi ustami”. Nie przypadkiem zatem dbałość o wydania przez a5 kolejnych tomów poetyckich oraz korespondencji noblistki wyrażała się poza wszystkim świetnym pomysłem, by ich okładki ozdobić jej wyklejankami.

W nocie *Od wydawców* Krynicy przypominają, że Wisława Szymborska debiutowała i jako poetka, i jako rysowniczka. „W roku 1946 nakładem Akademii Handlowej w Krakowie ukazało się pierwsze wydanie podręcznika Jana Stanisławskiego do języka angielskiego *A New English Manual* z jej rysunkami”, który był wznawiany za granicą. Ilustrując tę książkę, poetka ukryła się pod inicjałami W. S., ale od razu ujawniła w rysunkach swoje poczucie humoru – nawet tam, gdzie chodziło wyłącznie o mnemotechniczne utrwalenie rymowanych słów. *Notabene* w tych ilustracjach, reprodukowanych w książce Krynickich, łatwo odnaleźć inspiracje płynące z estetycznych trendów z lat trzydziestych. Opatrując ilustracjami wydaną dwa lata później książeczkę dla dzieci pióra Adama Włodka *Mruczek w butach*, Szymborska wystąpiła już pod własnym imieniem i nazwiskiem, zaś o jej plastycznej inwencji świadczy wyobrazenie kota na reprodukowanej okładce tej książeczki. Później poświęciła się pisaniu wierszy. Jak piszą wydawcy, „jedynie w listach do przyjaciół i znajomych zamieszczała zabawne rysunki, które z czasem (około 1967–1968) przekształciły się w kolaże” znane wąskiemu gronu. Wprawdzie amerykański wybór jej wierszy,

wydany w 1981 roku pod tytułem *Sounds, Feeling, Thoughts. Seventy Poems* zawierał czarno-białe reprodukcje kolaży autorki, ale do Polski książka ta dotarła z opóźnieniem. „Dopiero po Nagrodzie Nobla kolażowa twórczość Wisławy Szymborskiej stała się u nas znana, przede wszystkim dzięki książce Anny Bikont i Joanny Szczęśnej *Pamiątkowe rupiecie, przyjaciele i sny*, w której znalazły się także reprodukcje kolaży”. Wydawnictwo a5 wydało ponadto w 2003 roku tomik żartobliwych utworów Szymborskiej *Rymowanki dla dużych dzieci*, „ozdobiony reprodukcjami jej dwudziestu dwóch kolaży, które sama wołała nazywać karteczkami albo wyklejankami”.

Wyklejanki Wisławy Szymborskiej, o czym przypominają Krynicy, były formą zabawy, którą uprawiała razem z przyjaciółmi. Dotyczy to zwłaszcza jej życzeń noworocznych. Taka kartka miała określoną formę: pod skreślonymi odręcznie życzeniami, na przykład „Zdrowia na Nowy Rok życzą”, następowały, jak reproduktowane w książce, najbardziej absurdalne zestawienia w rodzaju: „księżna Sara Ferguson”, „sportowcy”, „Najstarsza pracownia blacharska”, „nasze potwory”, „Woody Allen” oraz tym podobne, a na samym końcu, w rogu – „i W.S.”. Ale najważniejsze wyklejanki poetki miały formę, którą nazwałbym szyfrogramami. Nabierają bowiem pełnego znaczenia dopiero wówczas, gdy się je umieści w odpowiednim kontekście. Najważniejszymi kontekstami są: listy i kartki do znajomych i przyjaciół, poetycka twórczość oraz historia sztuki.

W pierwszej odmianie szyfrogramu jest on dopowiedzeniem czy uzupełnieniem językiem plastycznym treści zawartych w tekście. Adresat jest tutaj traktowany jako ktoś wtajemniczony, kto doskonale zrozumie intencje oraz odcyfrowuje zawarty w wyklejance przekaz. W innym położeniu znajduje się oczywiście odbiorca postronny, którym staje się czytelnik tej książki, a który skazany zostaje jedynie do snucia domysłów i stawiania rozmaitych hipotez. Ale nawet to staje się nieraz niemożliwe. Pewnie nikt nie odgadnie, co „poetka chciała przez to powiedzieć”, ozdabiając pocztówkę do Krynicy Krynickiej kapeluszem, do którego przykleiła parę oczu lalki.

Ciekawą ilustracją takich szyfrogramów są listy Szymborskiej do Krynickiego. Można przy tym odnieść wrażenie, że adresowanymi do niego wyklejankami noblistka jak gdyby starała się „zrymować” z jego dykcją poetycką – maksymalnie oszczędną, pełną zamilknięć, niedopowiedzeń, ukrytych treści. Pierwszy z listów elementów plastycznych jeszcze nie zawiera. Jest bowiem napisaną na firmowym papierze odpowiedzią redaktorki działu poezji w „Życiu Literackim” na propozycję publikacji wierszy młodego poety. Odpowiedź z dnia 10 czerwca 1966 nie brzmiała zaledwie pocieszająco, ale zawierała również przyjazną poradę:

„Panie Ryszardzie! Wiersze przeczytałam raz i drugi. Przewidywał Pan, że niezbyt mi się będą podobać – to prawda, wiersze rozsypują się jeszcze w poszczególne frazy i słowa. Jest to budowa zbyt dowolna i niespoista. Jak na razie. Bo przecież to są

próby jeszcze. Może by więc spróbować trochę z innej beczki, mniej estetyzować? Proszę po kilku miesiącach, o ile oczywiście Pan zechce, przysłać coś nowego”.

Autor wziął chyba do serca te uwagi i tę zachętę, skoro ta sama poetka, po wydaniu przez niego tomu *Magnetyczny punkt* w 1996 roku, napisze:

„Ryszardzie, Poeto!

Jestem zachwycona Twoją książką – jak mogłeś mówić, że tylko przekłady są godne czytania? Dziękuję, dziękuję, dziękuję!”.

Wyklejanka dodana do tego listu nie wymaga komentarza: na ogromnej dłoni spoczywa, niczym podarek, *Gioconda*. Wyrazy podziwu i sympatii pojawiają się także w dedykacjach Szymborskiej w kolejnych tomach jej wierszy. W tomiku *Wszelki wypadek*: „Panu Ryszardowi Krynickiemu z przyjaźnią oraz podziwem dla jego małomówności. 25 listopada 1972 r. n.e. (przed nar. J. Chr.)”. Niestety, poetka także nie ustępowała Krynickiemu w małomówności, bo ani słowa nie napisała, dlaczego ceni jego wiersze. Jednakże wciąż nie szczędziła mu słów uznania. Na stronie bibliofilskiego wydania zbioru *Tarsjusz i inne wiersze* napisała: „Ryszardowi Krynickiemu któremu wielu (bardzo) wierszy zazdroszczył (listopad 85)”. W tomiku *Wszelki wypadek*: „Ryszardowi Krynickiemu ulubionemu poecie – czytelniczka W. S. (Kraków 87)”.

W liście z 4 maja 1990 wyznaje:

„Drogi i Wspaniały Panie Ryszardzie!

[...] Proszę mi wybaczyć, że dopiero teraz dziękuję za: »Niepodległych« – ale za to dziękuję z całego serca! To wiersze,

których się po przeczytaniu nie odkłada, ale chce się je mieć stale pod ręką! Reszta komplementów (ale szczerych – kto powiedział, że komplement musi być nieszczerzy?) w Krakowie, na miejscu, jeśli Pan tylko przyjedzie. Dziękuję i bardzo pozdrawiam –”.

Tym razem zamiast wyklejanki Szymborska posłużyła się angielską kartką pocztową z lat trzydziestych, na której zostało umieszczone zdjęcie żeńskiego zespołu piłki nożnej z dumnym stwierdzeniem: „Hard to beat”.

Ale zanim runęła lawina komplementów, wiele lat wcześniej, tym razem Krynicki, jako redaktor działu poetyckiego w „Studencie”, zwrócił się do Szymborskiej z prośbą o wiersze. Odpowiedź poetki w liście z 22 sierpnia 1972 była wielce wymowna:

„Drogi Panie Ryszardzie!

Wysyłam na Pana miłe zaproszenie jeden wierszyk – ale mam pewne skrupuły, czy nie będzie on zajmował miejsca przeznaczonego przecież dla innego już pokolenia...

Ja sama »pokoleniowo« staram się nie myśleć o poezji, ale rozumiem że każde nowe pokolenie musi do pewnego czasu myśleć »pokoleniowo«. Toteż boję się, że ten wiersz w »Studencie« wyda się młodym poetom trochę nie na miejscu. No ale to już Pan, jako sprawca tego wszystkiego, musi rozstrzygnąć”.

Pamięć o tym okresie, gdy myślała „pokoleniowo”, od czego już się, jak wyznaje, uwolniła, sąsiaduje tutaj u Szymborskiej, która urodziła się w 1923 roku, z wyraźnym poczuciem przynależności do innej poetyc-

kiej generacji, a zatem do posługiwania się odmienną dykcją. Skrupułem poetki, że zajmie w czasopiśmie miejsce przynależne młodemu adeptom pióra, towarzyszy, jak widać, wyrażający nieklamana skromność wyraźny dystans do własnej twórczości, wielce symptomatyczne staje się nazwanie swojego wiersza, jak gdyby był czymś blahym, zaledwie „wierszykiem”.

List został opatrzony trzema naklejkami w języku francuskim: pierwsza to adres w Paryżu: rue du Bac 135–137 et rue Vel-pau, druga to data listu: 27 Février 1875. Trzecia jest fragmentem reklamy środka wzmacniającego i odżywczego Viande-Quina, który ma łączyć walory odżywcze mięsa z quina, czyli (używany w medycynie do dziś) ekstraktem z kory chinowca z Ameryki Południowej. Jak głosi reklama, ów środek został przeznaczony dla „suchotników, cierpiących na anemię oraz dzieci umysłowo chorych”. Trudno do końca dociec, jaka była intencja autorki. Czyżby sugerowała w ten sposób żartobliwie, że pisze jak gdyby w innej epoce, a chciałaby wzmocnić siły twórcze adresata oraz innych młodych poetów?

W każdym razie wspomniany „wierszyk” to *Wielka liczba*, utwór ważny i dobrze czytelnikom Szymborskiej znany, który, jak z właściwą sobie pedanterią przypomina Krynicki, ukazał się po raz pierwszy „na początku nowego roku akademickiego (w 20 numerze »Studenta« z datą 25 IX–X 1972)”. Co ciekawe i co skłania do głębszego namysłu, opublikowana w wydaniu książkowym, przedrukowana przez Krynickich wersja tego utworu

różni się w sposób zasadniczy od wersji pierwotnej. Czytelnik ma zatem okazję, chyba jedynie raz!, zajrzeć do poetyckiej kuchni Szymborskiej i śledzić metamorfozy jej tekstów. Uderza od razu, że ostateczna wersja *Wielkiej liczby* z 1976 roku jest bardziej zwięzła, poetycko celniejsza, mniej „rozgadana”, skupiona na temacie, pozbawiona zbędnych elementów.

Przykładem drugiego rodzaju szyfrogramu może być wyklejanka z małpą, która „zadaje pytanie”: „Dlaczego mam się stale tłumaczyć?”. Nie trzeba dowodzić, że z wierszy o małpach dałoby się w poezji Wisławy Szymborskiej ułożyć niemal małą antologię. Poczynając od jednego z pierwszych utworów pod tytułem *Zwierzęta cyrkowe* z 1952 roku, gdzie opis: „małpa w żółtej tunice na rowerze jedzie”, poetka opatruje komentarzem: „Wstydzę się bardzo, ja – człowiek”. Z kolei w napisanym w 1957 roku wierszu *Dwie małpy Bruegla* z 1957: „siedzą dwie małpy przykute łańcuchem”, a poetka z widoczną skrucą wyznaje: „Zdaję z historii ludzi. / Jąkam się i brnę”, czego małpa „ironicznie słucha”. W wyklejance sytuacja zostaje odwrócona: to nie człowiek, ale małpa ma się tłumaczyć. Ale właściwie – z czego? To nie jest przecież jej wina, że człowiek traktuje zwierzęta instrumentalnie, nie dostrzega, że zadaje im cierpienie, że w sposób zupełnie nieusprawiedliwiony uważa się za „koronę stworzenia”, podczas gdy sekwencja DNA jego i szympanśów jest w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach identyczna.

Ostatni przykład dowodzi, jak dalece umowna staje się granica nie tylko mię-

dzy wierszami i wyklejankami, ale także wyklejankami i dziejami sztuki. To trzecia odmiana szyfrogramu. Wyklejanki poetki stanowią, kompetentnie dowodzi Krynicki, „indywidualną i bardzo osobistą interpretacją tej metody w sztuce XX wieku, która nazywana jest kartką pocztową artysty (*Künstler-postkarte* albo *artist's postcard*)”. Jego zdaniem, prace Szyborskiej „można by spokojnie wystawić obok prac na przykład Hannach Höch, Maxa Ernsta, niektórych twórców Fluxusu”. Innym kontekstem jest „mail art, sztuka poczty”. „W odróżnieniu od mail artu, gdzie powstawały głównie edycje – były to kartki unikatowe, niepowtarzalne”. To bez wątpienia prawda. Ale wyklejanki dają się również umieścić w kontekście rozmaitych nurtów plastycznych – od wielorakich odmian surrealizmu po kreskówki. Jest to z pewnością zagadnienie domagające się osobnego opracowania, tym trudniejsze, że prace Szyborskiej mieszczą się nierzadko na przecięciu rozmaitych form i nurtów artystycznych. Powstaje przecież zasadne pytanie, do których kierunków w sztuce Szyborska wprost nawiązywała? Jakie jest jej miejsce w obrębie tych kierunków? Na czym polegały jej innowacje? Jakiego rodzaju spory wiodła z tradycją? Zamieszczone w książce pocztówki zachęcają do choćby prowizorycznych prób odpowiedzi na te pytania.

Kiedy na przykład poetka przykleja oko do frontalnie przedstawionej pięty, czyli dodaje ze sobą elementy niezborne, zderzone w sposób zaskakujący, prowokacyjny, zdaje się odwoływać pośrednio do takich twórców, jak choćby Salvador

Dalí, który domalowywał wąsy Giocondzie. Ale w wyklejance Szyborskiej brak przekreślenia tradycji i obrazoburstwa. Jest to z pewnością wyraz swobodnej gry wyobraźni, niemal dziecinnej zabawy, rodzaj żartu. Ale czy nie został w nią wpisany, powracający również w wierszach, namysł nad trudną do zrozumienia dowolnością cielesnych kształtów i arbitralności, z jaką natura je ze sobą łączy nieraz w zaskakujące, dziwaczne na pierwszy rzut oka, konfiguracje? Jest to z pozoru naiwne zdumienie, które ostentacyjnie umieszcza w nawiasie Darwinowską teorię, zgodnie z którą zmienność wszystkich form biologicznych daje się łatwo wyjaśnić ewolucyjnym przystosowaniem się gatunków do środowiska. Kiedy poetka przykleja podobiznę ludzkiego oka do głowy klasycyzującej rzeźby, to jej nie ośmiesza, lecz jakby ożywia, skłania do namysłu o odległości dzielącej to, co wytworzone przez człowieka i utrwalone w dziełach sztuki, z tym, co znane z potocznego doświadczenia, kamienia z żywą częścią ciała. Ale czy nie ujawnia zarazem estetycznego, odświeżającego percepcję efektu zderzenia się już trochę rutynowego szacunku dla dawnych artefaktów z ich przewrotną aktualizacją? Zmiana otoczenia sprawia, że infantka z obrazu Diega Velasqueza *Panny dworskie* umieszczona na łączce pełnej baranków pośrednio uwidacznia zasadniczą sztuczność wytworów kultury w obliczu natury. Ale czy równocześnie nie jest to demaskacja wpisanych w barokowe wyobrażenia przymusu i fałszu, skoro sztywny ubiór i konwencja dworska zamieniły dziecko

w lalkę, zaś zwykłą łąkę w wysłodzone malarsko przedstawienie przyrody?

Szyborska nawiązuje również między innymi do Renè Magritte'a, który listy ilustrował zabawnymi rysunkami i u którego wyobraźnia artystyczna nie miała źródeł podświadomych, lecz charakter konceptualny, szła nieraz w parze z wyrażoną bezpośrednio intelektualną refleksją. Ta odmiana surrealizmu była Szyborskiej, jak sądzę, najbliższa. Świadczy o tym choćby wyklejanka, na której przekrój mózgu, z jego zwojami oznaczonymi cyframi, opatrzony zostaje komentarzem: „Tajemniczy scenariusz”. Schodząc z wyżyn sztuki wysokiej do poziomu kultury masowej, łatwo skojarzyć dodane do obrazków „myśli” postaci z „dymkami” kreskówek. Na przykład jedna z wyklejank przedstawia wyraźnie rozleniwioną, rozpartą na szezlongu damę, która z nieco filuternym uśmiechem „zadaje prowokacyjne pytanie”: „Żadnych życzeń?!”.

Zastanawia predylekcja Szyborskiej do dziewiętnastego wieku. Jej koleże mają przy tym wyraźny rys feministyczny. Przedmiotem refleksji i nierzadko demaskacji staje się położenie kobiety spętanej tyleż przez suknie, bardzo niewygodne i niepraktyczne z punktu widzenia dwudziestowiecznych przyzwyczaję, co przez pozycję społeczną i z góry przypisaną rolę. Tak naprawdę zdegradowanej, zamkniętej w domu, ograniczanej w aktywności do wąskiego kręgu zajęć. Symbolicznego znaczenia nabiera choćby robienie na drutach. Oto podczas gdy lejący balonem, wychyleni z jego kosza mężczyźni

z namysłem i powagą lustrują okolice przy pomocy lunet, towarzysząca im dama siedzi osobno i zdaje się być bez reszty pochłonięta dzierganiem. Zamyślony aniołek, który przywędrował do wyklejanki z dolnej części obrazu Rafaela Santi *Madonna Sykstyńska*, zagląda przez okno do pokoju, gdzie siedząca na krześle kobieta, robiąc na drutach, tęsknie spogląda w dal. Ale Szyborska potrafi również spojrzeć na społeczną sytuację kobiet w dawnym stuleciu z innej strony. Oto przyodziana w gorset panna, wygodnie rozparta na zdobnym krześle, „wyznaje” z uśmiechem: „Uczyłam się słabo”. Jeszcze inna, wytwornie ubrana, w kapeluszu i z laseczką, „zamieszcza” ofertę matrymonialną: „Panna 28 r. życia, miłej powierzchowności posiad. 2000 M. gotówki poszukuje męża. Pano wie, mający pewną egzystencją (wdowcy posiad. jaką własność nie wykluczeni), raczą łask. swe oferty z fotografią przesłać pod Adr.”. Swoistym podsumowaniem tych zabarwionych współczuciem, lecz także ironią refleksji staje się obrazek współczesnej naburmuszonej dziewczynki opatrzony napisem: „Mężczyznom ginąć, kobietom trwać”.

Jak już miałem o tym okazję pisać, wyklejanki i szyfrogramy Szyborskiej, z ich niekłamany wdziękiem i dezynwolturą, wypada uznać za integralną część jej swego rodzaju artystycznego i życiowego performansu. Obejmował on nie tylko twórczość pisaną, a zatem wiersze „poważne”, felietony literackie, żartobliwe utwory i wielorakie zabawy poetyckim słowem, ale także, na równych prawach,

wyklejanki oraz aktywność pozornie pozaartystyczną – na przykład robienie sobie zdjęć pod drogowskazami miejscowości o zabawnych nazwach czy urządzenie loteryjek podczas kolacji, na które poetka zapraszała swoich przyjaciół. Książka Krystyny i Ryszarda Krynickich stanowi jak gdyby dalszą część tego performansu, który jest przez nich kontynuowany już po odejściu Wisławy Szymborskiej, jako wyraz serdecznej o niej pamięci, pozostający w zgodzie z intencją wpisaną w styl życia i całą twórczość noblistki.

Aleksander Fiut

Wisława Szymborska, *Kryniccy, to przecież dla Was! Listy, karteczki i dedykacje 1966–2011*, Wydawnictwo a5, Kraków 2023

Mrozek w półpancerzu

28 lipca 1976 roku pisał Sławomir Mrożek w liście do Tadeusza Konwickiego jako czterdziestosześcioletek: „Literaturę jako zawodowstwo znosiłem tylko na początku chętnie, a nawet wtedy, na początku, nie tylko za moją zgodą i inicjatywą, ale nawet z entuzjazmem. Potem, stopniowo, coraz bardziej jako przymusowy syfilis. Dzisiaj jego najostrejsze formy są już zaleczone, chociaż wiem, że nigdy się go już nie pozbędę. Co do formy skondensowanej, zagęszczonej, środowiskowej – przebyłem ją w Krakowie, a już przez Warszawę przeszedłem nie jakby środkiem, tam gdzie wszyscy, ale jakoś bokiem”. Nie wiem wprawdzie, co znać czy być zawodowym pisarzem, ale wizja

uprawiania literatury jako formy niebezpiecznej jednostki chorobowej niewiadomego pochodzenia, choć mocno związanej z naturalnymi potrzebami, nie jest mi całkiem obca – co więcej, imponuje mi ten autoironiczny dystans do *fatum*, zaprezentowany tutaj przez Sławomira Mrożka, tym bardziej, że zdradza powagę, z jaką, będąc satyrykiem, prześmiewcą i diagnostą-szydercą, traktował własne pisarskie zatrudnienia albo dramaty, jakie w pocie czoła, mozolnie i przez całe dorosłe życie, układał. Tego już dzisiaj nie ma. Kropka. Takiego stawiania spraw na ostrzu noża. Skończyło się, wyczerpało, przejadło – jak obfita epistolografia. Może nawet i zaryzykuję tezę, że dzisiaj wyłącznie biografowie traktują pisarzy i tworzone przez nich dzieła, napisane przez nich i do nich listy, prywatne archiwa, fotografie, fiszki, wspominki i wypominki, na serio – choćby z takiego powodu, że biografistyka jako złożona i trudna do opanowania dyscyplina zobowiązuje, wymaga zaangażowania, poświęcenia, cierpliwości i uwagi, słowem – jest bardzo bliska pasji. A to pozostawia ślady. Mniej lub bardziej – ale przeważnie – trwałe.

Moja wiedza na temat twórczości Mrożka, mówiąc najogólniej, jest mocno podstawowa. Nie czytałem jego opowiadań w czasach chmurnej młodości, bo, podobnie jak większość moich przyjaciół, nie schodziłem poniżej Witkacego, Schulza i Gombrowicza. Tak się nosiliśmy, że łatwiej było znaleźć na dnie naszych chlebaków, poza wymienioną trójką, Dostojewskiego, Marqueza, Fuentesesa czy

Cortazara, bo na *Wesele w Atomicach* brakowało czasu, zaś na *Słonia* – miejsca. Ale nie koniec na tym. Widziałem w Teatrze Starym *Portret* w reżyserii Jerzego Jarockiego, który to spektakl, głównie może za sprawą kreacji Jerzego Radziwiłłowicza, był wydarzeniem i przeżyciem. Widziałem przygotowanych przez studentów krakowskiej PWST w sali na Małym Rynku *Emigrantów*, których do dzisiaj pamiętam. Wreszcie, po wielu latach, *Miłość na Krymie*, w reżyserii Erwina Axera, które to dzieło pokazywane było w ramach festiwalu teatralnego w Bonn w środkowych latach dziewięćdziesiątych – jak to dziś brzmi! – ubiegłego stulecia, z niezapomnianymi przeze mnie: Henrykiem Biszą, Krzysztofem Kowalewskim, Ewą Gawryluk. Sztandarowe *Tango* przeczytałem na studiach, po prostu: nie wypadało już dłużej tego tekstu, o którym i bez uważnej lektury wiedziało się wszystko, ignorować. Inne poczucie humoru? Być może. W każdym razie powtarzana wtedy przez wielu fraza: „jak z Mrożka”, raczej irytowała, niż coś wyjaśniała. Była pojmowana jako wyraz bezsilnej i pobłażliwej zgody na upiorny rozwój wypadków schyłkowego już PRL-u. Dawala szansę, i owszem, ale na oswojenie złego – natomiast żadnych szans, nawet najmniejszych, na zerwanie i odmowę współudziału... W końcu: wtedy zarówno Jerzy Urban, jak i Mieczysław F. Rakowski mogli sobie też na nią pozwolić nad Winiakiem Klubowym. A więc tak, miałem luki w Mrożku i nieprzeczytane do chwili obecnej *Dwa listy* na półce, pochodzące – tak, tak – z legendarnej

księgarni Kazimierza Romanowicza. Powrotu Mrożka z Meksyku do Stołecznego Królewskiego Miasta niespecjalnie zarejestrowałem, jak również za bardzo nie przejąłem się jego ucieczką do legendarnej Nicei – ale: byłem za to pod wielkim wrażeniem jego zwycięskich zmagających z afazją, co mi bardzo imponowało. Postanowiłem wtedy bez odwołania, że muszę przeczytać *Baltazara*. Podczytywałem nawet tę rzecz w księgarni kilkakrotnie, ale odkładałem ją też po wielokroć na półkę rezerwową, gdzie czeka do dzisiaj. Do tego podchodzenia w stronę Mrożka dołączyły się stosunkowo niedawno plany lektury jego korespondencji z Błońskim i Lemem. Ale dlaczego o tym piszę? Otóż dlatego, że w tak zwanym międzyczasie Anna Nasiłowska zdążyła napisać obszerną biografię autora *Monizy Clavier*, zaś tę jej biografię przeczytałem z dużą przyjemnością, a ona (biografia i autorka w jednej osobie) sprawiła, że teraz już na pewno sięgnę po listy i autobiografię. Kto wie: może i po dzienniki? Zobaczymy.

Mroźek Anny Nasiłowskiej jest dokładnie taką książką, jaką autorka chciała napisać – i nie ma powodu, aby jej wstępne deklaracje poddawać w wątpliwość. „Nie jest to biografia totalna, ale sprofilowana: na pierwszym planie znajdują się kwestia relacji Mrożka z rzeczywistością polityczną PRL-u oraz linia rozwoju jego twórczości” – pisze autorka, zaznaczając przy tym wcześniej, że na tym „styku biografii i twórczości pisarza pozostało do wyjaśnienia wiele spraw”. Jak się okazuje, te „sprawy” dotyczą głównie okresu

okupacji i życia w Przodującym Ustroju – od początkowej akceptacji pojałtańskiej smuty poprzez kompromisy trudnej do utrzymania tolerancji po odrzucenie i całkowitą negację nacechowaną sprzeciwem. To jak kształtuje się ta postawa Mrożka, widać dobrze na przykładzie dwóch wydarzeń o charakterze symbolicznym. Pierwszym będzie złożenie podpisu pod „Rezolucją Związku Literatów Polskich w Krakowie w sprawie procesu krakowskiego” z 8 lutego 1953, w której Mroźek wraz z Wisławą Szymborską, Hanną Mortkowicz-Olczakową, Kornelą Filipowiczem, Janem Błońskim i Andrzejem Kijowskim deklaruje (podaję tutaj te nazwiska wybiórczo, ale nie ze względu na jakieś spóźnione zapędy rewanżystowskie czy im podobne resentymenty, lecz w głównej mierze dlatego, że z tymi osobami zetknąłem się albo osobiście, albo były one dla mnie ważne z racji uprawianej działalności literackiej – jak również z tego powodu, że to ich wspólne wystąpienie jest dla mnie do dziś źródłem ważnego i bardzo dotkliwego dysonansu poznawczego), przytoczę fragment tego dokumentu: „bezwzględne potępienie dla zdrajców Ojczyzny, którzy wykorzystując swe duchowe stanowiska [...] uprawiali – za amerykańskie pieniądze – szpiegostwo i dywersję”. (Gdyby nie wiało od tej deklaracji grozą, można by napisać: „jak z Mrożka”... jednak wypada pamiętać, że choć księża, pomimo tego iż w tym procesie pokazowym pierwotnie zostali skazani na śmierć, uniknęli wykonania wyroku, to jednak jeden

z nich, Józef Fudali, został tak dotkliwie pobity podczas przesłuchania, że zmarł w wyniku odniesionych obrażeń). Drugim takim wydarzeniem symbolicznym w życiu pisarza będzie napisane przez niego z wolnej i nieprzymuszonej woli 24 sierpnia 1968 oświadczenie w sprawie inwazji zbrojnej wojsk Układu Warszawskiego na Czeską Socjalistyczną Republikę Ludową, która rozpoczęła się trzy dni wcześniej. Tekst tego oświadczenia ogłosi, mieszkając w tamtym okresie w Paryżu, między innymi w „Le Monde” i później – w „Kulturze”. Oba wydarzenia, niechlubne krakowskie i godne podziwu, paryskie, dzieli zaledwie piętnaście lat. Ta przemiana, świadectwo działania – jak może napisałaby również i w tym kontekście Nasiłowska – „mistycznego parcia”, warta jest pogłębionego namysłu – i to bez dwóch zdań, ale nie tylko: gdyż jest także, prawie na tym samym polu, argumentem za przypominaniem nowym czytelnikom autora *Policji* tej politycznej hybrydy, jaką była Polska Rzeczpospolita Ludowa. Bo to tam tkwią korzenie naszej współczesności... I to przypominanie Nasiłowskiej bardzo dobrze wychodzi. Wraz z, dodajmy w tym układzie, rozbrajaniem mitu Mrożka jako „jednego z najważniejszych mitów PRL-u”. Bo, jak wiadomo: mit to bomba z opóźnionym zapłonem.

Przed lekturą biografii, że powtórzę tę samą myśl w innej formie, niewiele wiedziałem o Mrożku. Wiedziałem, że urodził się w Borzęcinie, niedaleko podkrakowskiego Brzeska, ale obca mi była cała wiedza na temat jego domu rodzinnego,

matki, ojca, brata i siostry. Nie wiedziałem, do jakich chodził szkół, w jakim krakowskim liceum zdawał maturę ani z kim się przyjaźnił i zadawał, ani też na jakich kierunkach zapisany był jako student i czemu nie zdołał ukończyć żadnego z nich. Zresztą, nie tylko ten okres w jego biografii opisany został przez autorkę w sposób, pokadźmy trochę: mistrzowski, z wyczuciem, stosownym dystansem, nieprzesadną atencją, a nawet i niekiedy z potrzebną ironią – zawsze z podziwu godnym wyczuciem dla tak zwanej psychologii twórczości i pierwszoplanowym wglądem w wewnętrzne mechanizmy pisarskich impotencji i potencji. Bardzo mi imponuje, że Nasiłowska nie boi się opisywanej przez siebie postaci – i że równocześnie: ani nie szarżuje, ani nie wycofuje na z góry upatrzone pozycje, co czyni zawsze w stylu, który jest własny tudzież wolny, także: nieskrępowany zbędnymi zdaniem. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale Nasiłowska wciąga w Mrożka, książkę chce się czytać dalej, ba, lubi się tego Mrożka w jej odświeżeniu, co może, myślę teraz głośno, prowadzić do nazbyt gładkiego przejścia do porządku dziennego nad, a jednak, boleśnie dwuznaczną postawą, jaką na pewno prezentuje ten niezwykle uzdolniony i dający się lubić Mroźek – i to aż do czasu, kiedy już nie będzie mógł nie „wybrać wolności” na brzegu morza, w Chiavari. W końcu, kiedy kibicujemy postaci, na pewien sposób też idealizujemy jej warunki brzegowe.

Mroźek jednak nie byłby Mroźkiem, gdyby nie sprzyjające okoliczności ze-

wewnętrzne. Byłby na pewno innym człowiekiem i autorem, gdyby nie te, a nie inne osoby, które na swej drodze napotkał. To, powiedzmy otwarcie, stwierdzenia przynależące do repertuaru oczywistości, niemniej mające najczęściej największe znaczenie dla twórczych realizacji, bowiem bez sprzyjających okoliczności nie zostaje się postacią pierwszoplanową, zaś historia kultury to nie wyłącznie pochod bohaterów po czerwonym dywanie w rześmistym oświeceniu, lecz również towarzyszący jej w charakterze cieniów, mar i upiorów, nieprzeprowadzony rejestr przypadłych i zapomnianych idei, gestów, zdań i głosów, niezrealizowanych, może nawet genialnych, pomysłów, wygenerowany przez zapomniane lub niezaistniałe postaci. Piszę tak, bo jestem przekonany, że sztuka to energia. Sławomir Mroźek miał pod tym względem szczęście. Duże. I to w zasadzie od samych początków. Od klasy w Nowodworku do Krupniczej 22. Od przyjaźni z Wisławą Szymborską i Leszkiem Herdegenem do obecności na łamach kultowego „Przekroju” pod batutą Mariana Eilego. Od Daniela Mroza do Wojciecha Plewińskiego, by posłużyć się tutaj skrótami czy nazwiskami nieobojętnymi, wręcz – mającymi moc symbolu, choć to ledwie wierzchołek góry lodowej. Tak, książka Nasiłowskiej jest również opowieścią o tych właśnie, *zrealizowanych w pełni*, możliwościach życiowych i twórczych. W przypadku autora dramatu *Tango* taką zapewne najważniejszą postacią – i zarazem osobą godną szczególnego przypomnienia – była

Maria Obręba, jego pierwsza żona, artystka, której delikatnym portretem jest również *jego* biografia. Zresztą, wątek, nazwijmy go tak na użytek niniejszego omówienia – *kobiety* (albo „pań”, jak wolałaby Nasiłowska) w *życiu Mrożka* jest też niezwykle i niewątpliwie frapujący, żywy, ba, ukazujący bohatera od niezna-nej i bardzo przecież ludzkiej strony, co trzyma go z dala od cokołu pomnika. I to też jest w tej książce dobre.

Nie samymi znajomościami z kobie-tami żyje jednak nasz bohater, opisywany przez autorkę *Historii miłosnych*. Bo prze-cież też jego przyjaźnie z mężczyznami są tu równie istotne – to pasmo biogra-fii, eksponujące rozległe i intelektualnie imponujące relacje osobiste z pisarzami tej miary, co Stanisław Lem, Witold Gom-browicz, Jan Błoński, Gustaw Herling-Grudziński, że pominę całe środowisko paryskiej „Kultury”, a przywołam tu jesz-cze trzy postaci: Adama Tarna, Stefana Themersona i Piotra Rawicza, jest wyjąt-kowo ciekawe, żywo przedstawione i nie-ulegające emfazie, której można byłoby się choćby trochę spodziewać, jeśli wziąć pod uwagę ciężar gatunkowy, właściwy dla każdej z tych postaci. (No i wyszło tu trochę na to, że *męskie* kontakty drama-turga wywierają na mnie większe wraże-nie niż *kobiece* – nic jednak bardziej myl-nego, przeciwnie!)

Fotografie Bohdana Paczowskiego, głównie Gombrowicza i Konstantego Jeleńskiego, dobrze pamiętam jeszcze ze świetnego 21. numeru „Zeszytów Literackich” z 1988 roku, które były po-

święcone Kotowi. Do biografii Sławo-mira Mrożka nie trafił jednak, szkoda, pewien dający do myślenia podwójny portret. Widniejący na nim Gombrowicz i Mrozek odziani są niemal identycznie: obaj mają koszule, zapięte na ostatnie guziki, i obaj noszą niemal niemożliwe do odróżnienia, bo fotografia jest czarno-biała, wełniane sweterki w serek. Obaj patrzą też z góry i jakby z ukosa na fo-tografa. Mrozek ma na nosie charaktery-styczne „francuskie” okulary, jak dowia-dujemy się od Anny Nasiłowskiej (takie same oprawki nosił, zdaje się, Andreas Baader, głowy jednak za to tutaj nie dam, ale tak mi się w każdym razie zapamię-tały, więc dla mnie są one „niemieckie”). Twarz o prawie trzydzieści lat starszego od naszego bohatera autora *Ferdydurke* jest wyraźnie naznaczona zmęczeniem i znudzeniem kogoś, kto przeżył wiele i nie czeka na cudowną odmianę. Dla przeciwwagi Mrozek nie wygląda na niej sympatycznie: sprawia wrażenie osoby zdystansowanej, pewnej i zarazem dość niepewnej siebie, wycofanej, wręcz, za-pewne przez te „niemieckie” szkła i wą-skie usta, zimnej. Wersja Filidora i anty-Filidora? Bardzo ciekawa jest opowieść o znajomości obu panów. W każdym razie – dla niżej podpisanego. O wycho-dzeniu Mrożka z przytłaczającego i zo-bowiązującego cienia wielkiego mistrza. O tych wizytach wzajemnych, Mrożka w Vence, Gombrowicza w Chiavari, o tym ostatnim fakcie nie wiedziałem, oraz o intrygujących: Ricie i Marii Paczowskiej, obecności i nieobecności Marii Obręby,

zapachu dymu fajkowego, spacerach po okolicach – to wszystko jest z elegancją przez Nasiłowską przekazane, do tego stopnia, że chciałoby się podsłuchać, o czym rozmawiali. Chciałoby się dowiedzieć, z czego się śmiali, jakiego stopnia wyróżniało ich poczucie humoru, czy nudzili się sobą, razem i osobno, po wstępnych rozpoznaniach? Bohdan Paczowski, widać to dobrze na innych fotografiach z tego okresu, kokietował Ritę, co się jej chyba, bo sprawia takie wrażenie, dosyć podobało – atmosfera musiała być więc przynajmniej trochę luźna. To mogło być ciekawe, pouczające i zabawne: usłyszeć jak Witold Gombrowicz przepytuje Mrożka z neokantyzmu badeńskiego... I kto wtedy mył statki, jeśli jadano w ogóle w domu kolacje, no bo przecież zmywarek jeszcze nie było. Tego się już nie dowiemy. Możemy się jednak dowiedzieć, czego nie podejrzewaliśmy, że Mrożek był śledziennikiem, który uciekał przed światem do pisanego do późnych godzin wczesnych dziennika, napełniając wieczne pióro rzadziej atramentem niż whisky, bo przecież, jako nieznoszący hałasów, wrażliwy na tym punkcie niczym Kafka w Zürau, nie stukał palcami w klawisze maszyny do pisania na rue Chevalier-de-la-Barre – jako „Żyd honoris causa”. Temu towarzyszy, wspomniane już, umiłowanie płci przeciwnej, żeby rzec cokolwiek staromodnie, a także to, o czym również udało nam się zapamiętać – że w 2005 roku nie został laureatem Literackiej Nagrody Nobla, gdyż tę otrzymał podziwiany przez niego, za

i na ironię, Harold Pinter... Ta solidna porcja dobrze podanej wiedzy o Sławomirze Mrożku, jaką dostarcza biografia Nasiłowskiej, pozwala na weryfikację dawnych, tkwiących już w lamusie lub półpamięci, sądów o pisarzu, zachęca do przemyślenia postaci na nowo i oceny twórczości z poszerzonej i empatycznej perspektywy. Czego więc chcieć więcej?

A jednak... Biografia *Mrożek* na pewien sposób też rozczarowuje. Pod sam koniec – ale przed czym autorka ostrzega już na samym początku narracji, w słowie wstępnym, w którym pisze, że nie widzi „potrzeby opisywania jeszcze raz, z większą dokładnością, na przykład okresu pobytu w Meksyku, skoro wydana została w 2021 roku książka Susany Osorio-Mrożek *Przylepka i potwór*, wcześniej niedużą książkę o tym czasie opublikował Jacek Żakowski, powstał też film dokumentalny Pawła Łozińskiego *Sławomir Mrożek przedstawia*, wreszcie sam Mrożek opisał to doświadczenie w *Dzienniku powrotu*. Autor biografii w tej sytuacji mógłby jedynie powielać istniejące zapisy”. Czyli – jak? Ja jako czytelnik biografii zadowolę się mam takim zbywającym moje czytelnicze apetyty odesłaniem do wyżej wymienionych pozycji, podczas gdy po prostu chciałbym, by Nasiłowska, bo wiem podoba mi się jej ujęcie i styl, doprowadziła narrację do zadowalającego finału na własnych warunkach? Nie ma tu zgody. I nie będzie. I też „tłumaczenie się autorki” nie brzmi ani przez chwilę przekonująco. Bo przecież, mając w rękach biografię, chciałbym mieć Mrożka w cało-

ści: bez wybiegów, wykrętów i bez – jak to w rozdziale *Trzecia ucieczka na południe* – deklaracji „dalszy ciąg w skrócie”, gdyż „Mrozek jest wciąż pisarzem obecnym w polskiej powszechnej świadomości i to sprawia, że definitywne zamknięcie jest niemożliwe”. Czyli – co? Mrozek żyje, żeby nie powiedzieć – wiecznie żywy? Żarty jednak na bok... To z mojego punktu widzenia, nie był najlepszy pomysł. Nie znam, poza kilkoma ogólnikami, życia autora w spornym okresie – poza tym, co *jednak* pozwoliła mi poznać w swoim odautorskim skrócie Anna Nasiłowska, a okres ten całkiem żywo mnie – i chyba, o tak, najbardziej – interesuje, budząc przy zainteresowaniu spore emocje. Nie mam dostępu do książki pani Mrożkowej ani do filmu Łozińskiego, który, skądinąd, z chęcią bym obejrzał, gdyby był jakoś szerzej albo w ogóle dostępny... Więc albo biografia cała, albo niedokończona – co, jako czytelnik, uważam

za mało satysfakcjonujące kognitywnie, wręcz, w pewnym sensie, co podam tu jeszcze raz: rozczarowujące... Trochę więcej niż trochę. Powtórzę, aby być dobrze zrozumiany: chciałbym przeczytać od początku do końca, od a do z, to, co Anna Nasiłowska miałaby w pełnym wymiarze godzin, bez samoograniczania się, do przekazania o Mroźku – bez usprawiedliwień lub tłumaczeń, jakie przedstawia, chcąc uzasadnić podjętą arbitralnie decyzję.

Okładka książki, moim skromnym zdaniem, jest zbyt krzykliwa czy kiczowata, ale dobrze, że wydawca przypomniał rysunki Sławomira Mrożka – również i dzisiaj aktualne, a więc: ponadczasowe. Kto jednak wpadł na te odpustowe turkusy i jarzeniowe odbłaski? Cztery gwiazdki z pięciu. Nie zawsze mniej znaczy więcej.

Artur Szłosarek

Anna Nasiłowska, *Mrozek. Biografia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

N O T Y O A U T O R A C H

JERZY ANDRZEJEWSKI (1909–1983), pisarz, autor m.in. *Ładu serca*, *Nocy*, *Bram raj*, *Apelacji*, *Miazgi*, *Ciemności kryją ziemię*, *Już prawie nic i Nikt* (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1997, nr 4, 2000, nr 1, 2000, nr 2, 2000, nr 3, 2009, nr 4).

SAMUEL BECKETT (1906–1989), dramaturg, prozaik, poeta, eseista; pisał po angielsku i francusku; autor m.in. *Końcówki*, *Ostatniej taśmy Krappa*, *Szczęśliwych dni*, *Komedii*, *Katastrofy*, powieści: *Molloy*, *Watt*, *Malone umiera*, *Nienazywalne*, tomików wierszy i esejów (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1996, nr 4, 1999, nr 4, 2006, nr 3–4, 2007, nr 1, 2008, nr 4, 2010, nr 4, 2012, nr 4, 2022, nr 4).

KAZIMIERZ BRAKONIECKI, ur. w 1952 roku w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował m.in. *Dziennik olsztyński 1989–1993* (2022) oraz *Lekcję poezji dla zaawansowanych* (2023). Mieszka w Olsztynie.

STEFAN CHWIN, ur. w 1949 roku w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował *Wolność pisaną po Jalcie* (2022) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 3, 2016, nr 4). Mieszka w Gdańsku.

MICHAŁ CZORYCKI, ur. w 1978 roku w Warszawie, historyk sztuki, italianista; ostatnio opublikował tomik wierszy *Ciąg dalszy* (2021). Mieszka w Londynie.

MIROSŁAW DZIĘĆ, ur. w 1965 roku w Bielsku-Białej, poeta, eseista, profesor Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej; ostatnio opublikował *O męczeństwie rozumu i zarazie świata* (2021) oraz *Wobec. 21 esejów o zarazie Świata* (2023). Mieszka w Bielsku-Białej.

ALEKSANDER FIUT, ur. w 1945 roku w Żywcu, historyk literatury, eseista, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował m.in. *Wyglądy i wglądy* (2022) oraz *Wariacje faustyczne* (2024). Mieszka w Krakowie.

MAREK KĘDZIERSKI, ur. w 1953 roku w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przeegrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

BOGUSŁAW KIERC, ur. w 1943 roku w Bielsku-Białej, poeta, eseista, aktor, reżyser; ostatnio opublikował *Tyle na chwilę. Wiersze z lat 1967–2020* (2022), *Był sobie* (2022) i *Dla tego* (2023). Mieszka we Wrocławiu.

PIOTR MATYWIECKI, ur. w 1943 roku w Warszawie, poeta, eseista; ostatnio opublikował *Skrytkę* (2021) i *Cykle* (2024). Mieszka w Warszawie.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, ur. w 1952 roku w Toruniu, prozaik, eseista; ostatnio

opublikował *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzierskim (2020) i *Fragmenty murów obronnych* (2021). Mieszka m.in. w Toruniu.

ANNA NASIŁOWSKA, ur. w 1958 roku w Warszawie, autorka wierszy, prozaik, eseistka, profesor IBL PAN; ostatnio opublikowała tomik *Sztuczne światła* (2021), *Mroźek. Biografia* (2023). Mieszka w Warszawie.

ROBERT PAPIESKI, ur. w 1965 roku w Warszawie, eseista, tłumacz; ostatnio opublikował *Spór o Rosję i inne eseje* (2022) oraz *Oblicza Iwaszkiewicza* (2023). Mieszka w Warszawie.

KRYSTYNA RODOWSKA, ur. w 1937 roku we Lwowie, poetka, tłumaczka; ostatnio opublikowała wybór wierszy *Nic prócz O. Wiersze z lat 1968–2018* (2019) oraz tom *Cudze moje. Wiersze (wybór przekładów poezji z lat 1968–2020)* (2021). Mieszka w Warszawie.

TADEUSZ RÓŻEWICZ (1921–2014), poeta, dramaturg i prozaik; autor ponad trzydziestu pięciu tomów poetyckich, m.in. *Niepokój, Płaskorzeźba, Zawsze fragment, Kup kota w worku, To i owo*; pięciu tomów opowiadań, m.in. *Śmierć w starych dekoracjach, Próba rekonstrukcji*; dwunastu dramatów, m.in. *Kartoteka, Grupa Laokoona, Pułapka* (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2004, nr 2, 2006, nr 2, 2010, nr 4, 2011, nr 4).

KRZYSZTOF SIWCZYK, ur. w 1977 roku w Knurowie, poeta, eseista; ostatnio opublikował *Manual II. Felietony, szkice, portrety z lat 2020–2022* (2024). Mieszka w Gliwicach.

PIOTR SOBOLCZYK, ur. w 1980 roku w Lublinie, autor wierszy, prozaik, eseista; pracownik IBL PAN; ostatnio opublikował *Wydechy z bezrybocia* (2022). Mieszka w Warszawie.

LESZEK SZARUGA, ur. w 1946 roku w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, tłumacz poezji niemieckojęzycznej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. *Jeszcze trochę inne historie* (2022) i *List* (2023) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016, nr 1). Mieszka w Warszawie.

PIOTR SZEWC, ur. w 1961 roku w Zamościu, prozaik, poeta; ostatnio opublikował tomiki poetyckie *Sekretne przejścia* (2023) oraz *Zielony anioł i inne oktysty* (2023). Mieszka w Warszawie.

ARTUR SZLOSAREK, ur. w 1968 roku w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Wagary w czyścicu* (2022). Mieszka w Berlinie.

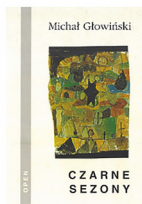
MACIEJ WRÓBLEWSKI, ur. w 1968 roku w Elku, eseista; profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował „...a małe dzieci do ognia wrzucali”. *Antologia wypracowań szkolnych (1945–1946) na temat II wojny światowej* (2021). Mieszka w Toruniu.

ANDRZEJ ZAWADA, ur. w 1948 roku w Wieluniu, eseista; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pracownię literacką* (2021). Mieszka we Wrocławiu i Dębniakach.

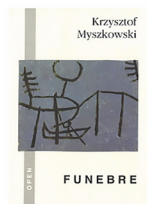
Biblioteka Kwartalnika Artystycznego



Grzegorz Musiał
Al fine
1997, nakład wyczerpany



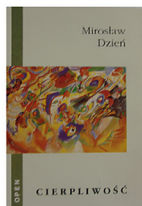
Michał Głowiński
Czarne sezony
1998, cena 20 zł



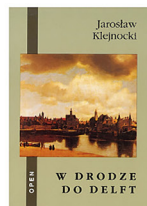
Krzysztof Myszkowski
Funebre
1998, cena 20 zł



Piotr Matywiecki
Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa
1998, cena 20 zł



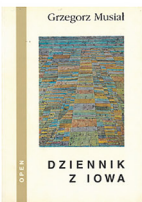
Mirosław Dzień
Cierpliwość
1998, nakład wyczerpany



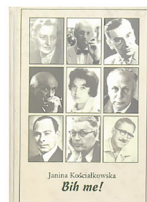
Jarosław Klejnocki
W drodze do Delft
1998, nakład wyczerpany



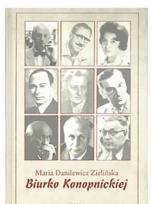
Bożena Keff
Nie jest gotowy
2000, nakład wyczerpany



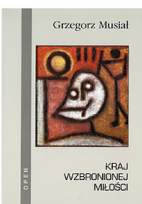
Grzegorz Musiał
Dziennik z Iowa
2000, cena 20 zł



Janina Kościalkowska
Bih me!
2000, nakład wyczerpany



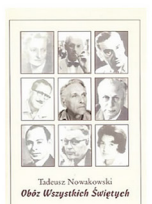
Maria Danilewicz Zielińska
Biuorko Konopnickiej
2000, cena 20 zł



Grzegorz Musiał
Kraj wzbronionej miłości
2001, nakład wyczerpany



Jerzy Andrzejewski
Dziennik paryski
2002, nakład wyczerpany



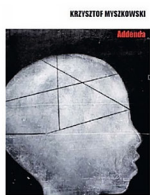
Tadeusz Nowakowski
Obóz wszystkich świętych
2003, nakład wyczerpany



Mieczysław Orski
Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji
2002, nakład wyczerpany



Kazimierz Hoffman
Znaki
2008, nakład wyczerpany



Krzysztof Myszkowski
Addenda
2017, cena 30 zł



Krzysztof Myszkowski
Puste miejsce
2018, cena 35 zł



Krzysztof Myszkowski
W rozmowie
2018, cena 25 zł



Krzysztof Myszkowski
Punkt wyjścia
2019, cena 40 zł



Marek Kędzierski
Krzysztof Myszkowski
Pulapka Becketta
2020, cena 35 zł

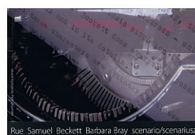


Krzysztof Myszkowski
Fragmenty murów obronnych
2021, cena 35 zł

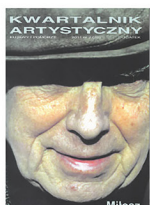
Dodatki do „Kwartalnika Artystycznego”



Zbigniew Herbert
2008, nr 2 (58)
nakład wyczerpany



Marek Kędzierski, Piotr Dzumala
Rue Samuel Beckett: Barbara Bray
2015, nr 4 (88)
cena 12 zł



Czesław Miłosz
2011, nr 2 (70)
cena 12 zł



Hanna Borawska
Kwartalnik Artystyczny. Bibliografia 1993–2017
2017, nr 4 (96)
cena 12 zł



Marek Kędzierski
Giacometti
2013, nr 4 (80)
cena 12 zł

Prenumerata

to



KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

wszędzie

w kraju

i

za granicą



Książnica
Kopernikańska
w Toruniu

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu

Adres redakcji:

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

tel. 56 622 57 01

e-mail: kwartalnik@ksiaznica.torun.pl

www.kwartalnik.art.pl



Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

Prenumerata: Anna Broda, tel. 56 622 66 42 wew. 105

Warunki prenumeraty 2024:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 60 zł
- zagranicznej – 40 USD / 40 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł + koszt wysyłki Poczta Polska
(list ekonomiczny – 8 zł; paczka krajowa – 17 zł)
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

72 1160 2202 0000 0003 5585 9625

„Kwartalnik Artystyczny”

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Na okładce zdjęcie Ewy Bathelier: fragment fresku z kościoła Saint-Pierre-le-Jeune w Strasburgu

Korekta: Beata Antczak-Sabala, Katarzyna Dunajko

Skład: Karol Cyranowicz

Druk i oprawa:

Machina Druku Sp. z o.o.

ul. Kociewska 26f

87-100 Toruń

www.machinadruku.pl



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

Dofinansowano z budżetu
Samorządu Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

N O W E K S I A Ź K I

Słowo/obraz/terytoria

George Steiner, *Śmierć tragedii*, przekład Krzysztof Filip Rudolf, Gdańsk 2024

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział Kraków

Mariusz Sambor, *Pani Kołodziej. Kawki i gołębie*, Kraków 2023

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział Lublin

Mariusz Solecki, *Plonąca katedra*, Lublin 2023

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział Łódź

Mateusz Andała, *Jeziorko C*, seria Szumy, zlepy, ciągi, Łódź 2023

Ewa Filipczuk, *Hieroglify w Sekwanie*, seria Szumy, zlepy, ciągi, Łódź 2023

Izabela Kawczyńska, *Rozarium*, seria Szumy, zlepy, ciągi, Łódź 2023

Martyna Łogin-Trenda, *Myśli o ciele, ale nim nie jest*, seria Szumy, zlepy, ciągi, Łódź 2023

Marcin Polak, *Kondensaty*, seria Szumy, zlepy, ciągi, Łódź 2023

Joanna Stryjecka, *Nakarm! To nie jest miejsce dla was, dziewczynki*, seria Szumy, zlepy, ciągi, Łódź 2023

Grzegorz Tomicki, *Sto kilo kości*, seria Szumy, zlepy, ciągi, Łódź 2023

Wydawnictwo Aspektspress

Barbara Stawicka-Pirecka, *I blask i szept*, Inowrocław 2023

Wydawnictwo Forma

Adrian Gleń, *Jest*, seria Struktury, Szczecin-Bezrzecze 2023

Gustaw Rajmus, *Dwie historie i inne historie*, seria Kwadrat, Szczecin-Bezrzecze 2023

Andrzej Wojciechowski, *Budzą mnie w nocy słowa do zapisania*, Szczecin-Bezrzecze 2023

Wydawnictwo mg

Fiodor Dostojewski, *Biesy*, przekład Tadeusz Zagórski, Kraków 2024

Fiodor Dostojewski, *Bracia Karamazow*, przekład Barbara Beaupré, Kraków 2023

Paweł Jasienica, *Rzeczpospolita Obojga Narodów. Srebrny wiek*, Kraków 2024

Bolesław Prus, *Lalka*, Kraków 2024

Maria Rodziewiczówna, *Dewajtis*, Kraków 2023

Maria Rodziewiczówna, *Magnat*, Kraków 2024

Leopold Tyrmand, *Cywilizacja komunizmu*, Kraków 2024

Wydawnictwo Oficyna

Miklós Bánffy, *Trylogia siedmiogrodzka. T. 1 Policzone (1934)*, przekład Irena Makarewicz, Łódź 2023

Krzysztof Bartnicki, *Sad zapięty. Krótka antologia przekładu*, Łódź 2023

Marcel Proust, *W poszukiwaniu utraconego czasu. Uwięziona*, przekład Tomasz Swoboda, Łódź 2023

Przewodnik po historii literatury Tajwanu, przekład Eryk Hajndrych, Łódź 2023

Tajwan na końcu języka: współczesne opowiadania tajwańskie, przekład Hanna Gau, Katarzyna Proctor, Katarzyna Sarek, Maciej Szatkowski, Łódź 2023

Wydawnictwo Teofrast

Bogdan Białek, *Ostatni Hiob*, Kielce 2024